

Nadine Miller

Kobieta, którą kocham

Prolog

Londyn, Anglia, sierpień 1816

- Zbrodniarza powinna spotkać zasłużona kara, ale publiczne oskarżanie lorda i para królestwa o zdradę jest nie do pomyślenia. Proszę także zaprzestać wypytywania urzędników państwowych.

Yves St. Armand wyczuł, że jest to ostateczna decyzja lorda Castlereagh, markiza Londonderry, ale udał, że nie rozumiał.

- *Mon Dieu, pourquoi?* - zapytał, w podnieceniu przechodząc na swój ojczysty język.

- Pańskie pytania mogłyby wywołać niepokoje w niewłaściwych miejscach.

Yves od początku miał przeczucie, że zaproszenie przez jednego z najpotężniejszych ludzi w Anglii do Klubu White'a mieszczącego się w pałacu w St. James nie wróży nic dobrego. Teraz wiedział już, co się za tym kryje. Musi więc postarać się dobrze ukryć przed brytyjskim ministrem spraw zagranicznych, że nie ma najmniejszego zamiaru przystać na jego ultimatum.

Gdy wojna skończyła się na dobre, Yves przyjechał do Londynu szukać sprawiedliwości i kary dla angielskiego szlachcica, który zdradził jego oraz

drugiego francuskiego rojalistę, wraz z którym działali na dworze Napoleona jako agenci generała Wellesleya. Nie miał najmniejszego zamiaru opuszczać miasta, zanim nie wypełni swej misji.

Castlereagh wezwał kelnera i zamówił dwa kieliszki doskonałej brandy, stanowiącej słuszną dumę Klubu White'a.

- Anglia to beczka z prochem gotowa w każdej chwili wybuchnąć - ciągnął lord, gdy kelner się oddalił. - Dzielnice nędzy stanowią punkty zapalne grożące tym samym, co stało się w Paryżu w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym dziewiątym.

Yves powstrzymał się od komentarzy, chociaż trudno mu było wyobrazić sobie gilotynę w Hyde Parku albo brytyjskich arystokratów wieszonych na ścięcie.

- Problem pogarszają rzesze zdemobilizowanych żołnierzy, bez powodzenia poszukujących zarobku - ciągnął minister. - Nieliczne głosy w parlamencie pojawiające się w ich obronie zagłuszane są wołaniem chciwości i egoizmu. Sytuacji nie poprawia fakt, że nasz książę regent żyje jak turecki basza. Nic zatem dziwnego, że nienawiść do arystokracji wzrasta z dnia na dzień.

- A więc wierzy pan szczerze, że podanie do publicznej wiadomości faktu, iż angielski szlachcic sprzedawał Bonapartemu tajemnice wojskowe może stać się iskrą, która rozpali całą Londyn?

- Jest to możliwe. - Wyraz twarzy lorda Castlereagh dodawał powagi jego słowom. - Jeśli prawdą jest to, co opowiadano mi o pańskiej przeszłości, powinien pan doskonale rozumieć, dlaczego nie

możemy pozwolić, by taki proces mógł zostać wykorzystany przez podżegaczy tłumu.

Yves zdrzął na wspomnienie żadnego krwi motłochu, który, podniecony przez takich właśnie ludzi, zamordował jego rodziców i dziadków. Miał wtedy sześć lat, ale groza owej tragicznej nocy nigdy go nie opuści. Mimo to musiał zadać swoje pytanie.

- A więc dla zachowania spokoju Whitehall* i pan ma zamiar pozwolić, aby zdrajca nie został ukarany?

- Wręcz przeciwnie, zrobimy wszystko, by znaleźć dowody niezbędne do skazania zdrajcy. - W błękitnych oczach Castlereagha zabłysnął gniew.

- Macie jakichś podejrzanych? - spytał Yves, czując podniecenie na myśl, że łotr mógłby wreszcie wpaść mu w ręce.

- Prawdę powiedziawszy, w chwili obecnej mamy czterech podejrzanych.

- Nazwiska - zażądał zdławionym z emocji głosem Yves.

- Nie tak prędko. Przede wszystkim, musi mi pan obiecać całkowitą dyskrecję oraz przyrzec, że jeśli jako pierwszy odkryje pan, który z nich jest winny, natychmiast nas pan o tym zawiadomi.

Yves zmarszczył brwi.

- Po co?

- Osobiście zadbam, aby zdrajca został bez głosu wysłany do kolonii więziennej na Ziemi van Diemena**, gdzie spędzi resztę życia na ciężkich robotach. Chyba zgodzi się pan ze mną, że lepsza śmierć na szubienicy niż taki los?

* Whitehall - siedziba rządu brytyjskiego (przyp. tłum.).

** Ziemia van Diemena - dawna nazwa Tasmanii (przyp. tłum.)

Yves wahał się tylko przez chwilę.

- Dobrze, ma pan moje słowo. Jak sam pan powiedział, byłbym ostatnim człowiekiem, który zechciałby sprowokować spuszczenie ze smyczy psów rewolucji.

Castlereagh rozejrzał się dookoła, czy nikt ich nie słyszy.

- Poza mną tylko czterech wysoko postawionych w Whitehall szlachciców znało informacje, które sprzedano Francuzom wiosną 1812 roku. Jesteśmy prawie pewni, że jeden z nich jest zdrajcą. Ale nasze założenia mogą być mylne, dlatego zanim podejmiemy jakiegokolwiek działania, musimy zdobyć nieodparte dowody.

Yves zacisnął palce na kieliszku brandy.

- A czy pan wątpi w to, że jeden z tych czterech mężczyzn jest tym, którego szukamy?

Castlereagh pokręcił głową.

- Nie, ale mogę nie być bezstronny, gdyż bardzo chciałbym, aby nikczemnik zapłacił za swoje występki. Mój ulubiony kuzyn był majorem w kompanii dragonów, która wpadła w zasadzkę pod Salamanką za sprawą informacji, jakiej zdrajca dostarczył Bonapartemu. Kuzyn i jego dzielni żołnierze zginęli w krzyżowym ogniu francuskich kul.

- A więc podaj mi pan ich nazwiska, a przysięgam, że nie spocznę, dopóki nie znajdę dowodu wystarczającego, by wysłać tego łotra na Ziemię van Diemena - albo do piekła.

Castlereagh odchrząknął.

- Żaden z podejrzanych nie ma żadnych osobistych związków z Francją. Z tego wynika, że po-

pełniał swoje ohydne występki dla pieniędzy, którymi Bonaparte chętnie płacił za informacje. Jeden z nich, markiz Haversham, jest moim bliskim przyjacielem od czasu, gdy dorastaliśmy razem w Irlandii. Znam go jako człowieka honoru, a zarazem wielkiego bogactwa. Nie wyobrażam sobie, by mógł zdradzić swoją ojczyznę dla pieniędzy.

- A pozostali?

- To dosyć dziwne, ale wszyscy trzej przyjęli posady rządowe, gdy ich finanse znalazły się w krytycznym stanie, i wszyscy trzej nieoczekiwanie uzyskali spadek latem tysiąc osiemset dwunastego roku. Do dzisiaj ani moi ludzie, ani Bow Street* nie są w stanie wyjaśnić tego niesłychanego zbiegu okoliczności.

Yves niecierpliwie zabębnił palcami o blat stołu.

- Nazwiska, milordzie.

- Pierwszy z nich to wicehrabia Blevins, spokojny, rozmiłowany w nauce człowiek, który lepiej czuje się w bibliotekach Oxfordu niż na salach balowych Londynu. Ale to go nie uwalnia od podejrzeń, bo jest namiętnym kolekcjonerem starych manuskryptów. Ja także zajmuję się tym hobby, więc wiem dobrze, ile takie cuda mogą kosztować. Drugi to baron Thornton, prawdziwy król wielkiego świata i mój główny podejrzany, do chwili gdy postarałem się go poznać osobiście. Teraz poważnie wątpię, żeby temu głupcowi starczyło wyobraźni i odwagi, by zostać szpiegiem... chyba że jego przesadna dbałość o wygląd jest tylko pozorem, który ma ukryć jego prawdziwą naturę.

*Bow Street - ówczesna siedziba policji (przyp. tłum.).

- To bardzo być może - przyznał Yves, wspominając, jak na dworze cesarza sam wcielał się w głupkowatego złotego młodzieńca. Popatrzył badawczo na zmęczoną twarz ministra spraw zagranicznych. - A kim jest ostatni podejrzany?

- Edgar Hanley, hrabia Fairborne - powiedział Castlereagh głosem pozbawionym wyrazu. - Przy stojny, miły człowiek, lubiany w towarzystwie, a zwłaszcza przez regenta. Moi koledzy twierdzą, że jest najmniej podejrzany, a ja się z nimi zgadzam: do niedawna.

- A co wpłynęło na zmianę pańskiego stanowiska?

- Zazwyczaj mieszka w swojej miejskiej rezydencji przy Grosvenor Square i często pokazuje się na mieście. Ale jak twierdzi policjant, który go śledzi, ostatnio odwiedził starą ciotkę w Yorkshire i zaczął się zalecać do bogatej plebejuszki o nazwisku Rachel Barton. To dosyć dziwne zajęcie o tej porze roku jak na jednego z przyjaciół księcia. Tak samo niezwykle jest, że ten elegancki kawaler zapragnął uczynić swoją żoną „taką okropną brzydulę”, jak ją określił policjant.

Yves zmarszczył brwi.

- Chyba że teraz, kiedy wojna się skończyła, a Napoleon siedzi na Wyspie Świętej Heleny, hrabia musi sobie znaleźć nowe źródło dochodów.

- To samo pomyślałem i w ten sposób Fairborne stał się moim głównym podejrzany. Nie ma łatwiejszego sposobu na pomnożenie fortuny niż poślubienie kobiety z niższej sfery, ale za to dziedziczki jednej z przynoszących największe zyski przędzalni w Yorkshire. Zgodnie z angielskim prawem wszystko, co posiada kobieta, staje się własnością męża

z chwilą podpisania aktu ślubu. - Castlereagh zmarszczył brwi. - Współczuję tej biedaczce. Fairborne jest podobno mistrzem w czarowaniu dam.

Yves wzruszył ramionami. Los brzydkiej panny zupełnie go nie interesował. Popatrzył przez okno na zapałacza latarni, który krążył po ulicach, przygotowując miasto do nadchodzącej nocy.

- Mogę zajmować się nimi tylko po kolei - powiedział w zamyśleniu. - Tak jak pan uważam, że zachowanie hrabiego Fairborne jest niezmiernie podejrzane, więc zacznę od niego, zostawiając na razie policji resztę osobników z naszej listy. Jeśli hrabia jest teraz w Yorkshire, można by przesukać jego dom w mieście.

Castlereagh kiwnął głową.

- Istotnie. Niestety przeszukanie to musi zostać przeprowadzone na własną odpowiedzialność, gdyż żadnemu z tych czworga nie przedstawiono oficjalnych zarzutów. A zatem ani Whitehall, ani Bow Street nie będą mogły tego zatuszować.

Yves wzruszył ramionami.

- Na szczęście ja nie muszę się tym przejmować. — Mimo to pański zamiar jest dosyć ryzykowny. - Minister popatrzył z powagą na Yves'a. - Mam nadzieję, że zdaje sobie pan z tego sprawę. To, że jest pan hrabią de Rochemont i obywatelem Francji, nie uchroni pana przed więzieniem albo czymś jeszcze gorszym, jeśli zostanie pan złapany podczas włamania. A ja nie będę mógł w niczym panu pomóc. Prawdę mówiąc, wątpię, aby nawet pański protektor, książę Wellington, odważył się wstawiać się za panem w takich okolicznościach.

- Nie boję się ryzyka - powiedział Yves cicho - i dawno już nauczyłem się liczyć tylko na siebie. Zdaję sobie sprawę, że zdrajca, kimkolwiek jest, z pewnością wie, jaką rolę odegrałem w wojnie przeciwko Bonapartemu. Mimo to przyjechałem do Londynu i zamierzam zmusić go do odkrycia kart.

- To niebezpieczna gra, mój przyjacielu.

Yves uśmiechnął się.

- To dla mnie nie pierwszyna.

" - A więc niech tak będzie. Jeśli chce pan ruszyć tym tropem, załatwię panu honorowe członkostwo w Klubie White'a. Fairborne należy do niego już od wielu lat.

- *Merci*, panie. Doskonały pomysł. Najlepszym sposobem na upolowanie lisa jest wykurzyć go z jamy.

- To mogę dla pana zrobić. Gdyby nie tacy jak pan, Korsykanin pewnego dnia zamieszkałby w Carlton House.

Yves wstał, zażenowany pochwałami lorda Castlereagh.

- Dziękuję, milordzie. Ale, za pozwoleniem, na mnie już czas. Jestem dziś zaproszony na obiad do mojego przyjaciela, hrabiego Stratham, a potem chciałbym przejść się trochę po Grosvenor Square.

Castlereagh również się podniósł.

- Jeszcze jedno. Wyjaśniłem panu moje osobiste powody, dla których pragnę, aby zdrajca został schwytany. Chciałbym poznać pańskie. Czuję, że to coś więcej niż tylko ujawnienie pańskiej tożsamości Bonapartemu.

Yves zamrugał oczami, zaskoczony domyślnością ministra.

- Amalia de Maret, kobieta, którą kochałem, dowiedziała się o zdradzie Anglika wcześniej niż ja - powiedział, zaciskając palce na oparciu krzesła. - Została zastrzelona przez jednego ze sług Foucheta, kiedy próbowała mnie ostrzec. Na jej grobie przysiągłem, że nie spocznę, dopóki jej nie pomszczę. Francuz, który do niej strzelał, już dawno spotkał się ze swoim Stwórcą, ale angielski zdrajca wciąż chodzi na wolności.

1

Rachel Barton przebywała w Londynie zaledwie od dwunastu godzin, ale już zaczęła żałować, że dała się namówić na przyjęcie gościny w domu hrabiego Fairborne. Odwiedzała Londyn wcześniej już dwa razy i uznała, że wcale się jej tu nie podoba. Ale hrabia nalegał i nie potrafiła mu odmówić.

Prawdę powiedziawszy, czuła się zaszczycona, że tak uroczy człowiek jak lord Fairborne obdarzył ją swoją przyjaźnią. Wiedziała doskonale, że jej zbyt wysoki wzrost i przenikliwy umysł stanowią cechy zrażające do niej kawalerów. Jej własny ojciec stwierdził już dawno, że nie grozi jej oblężenie przez łowców posagów, gdyż żaden mężczyzna nie będzie skłonny wiązać się z takim dziwadłem.

Rachel żałowała teraz, że jej ojciec nie dożył dnia, w którym ona - w dojrzałym wieku dwudziestu czterech lat - otrzymała propozycję małżeństwa od bogatego szlachcica, który nie potrzebuje jej pieniędzy. Stał się bowiem cud: hrabia poprosił miejscowego pastora, aby przedstawił go Rachel, i po zaledwie trzytygodniowej znajomości poprosił ją o rękę. Westchnęła. Jakie to było romantyczne. Fairborne uniósł jej dłoń do ust i rzekł: „W pani znalazłem kobietę, która zrozumie mą duszę i będzie mi pomocą”.

Nie wątpiła w uczciwość jego zamiarów: hrabia był człowiekiem honoru. Ale mimo to nie rozumiała, jak doszedł do tego zadziwiającego wniosku. Nie przypominała sobie, żeby rozmawiała z nim na tematy poważniejsze niż krój jego nowego płaszcza albo genealogia pary jego gniadoszy. Gdy zaś próbowała poruszyć temat najbliższy jej sercu - reformę przędzalni - uprzejmie poinformował ją, iż ludzie szlachetnie urodzeni nie interesują się takimi sprawami.

Była to jednak jej pierwsza w życiu propozycja małżeństwa i najprawdopodobniej ostatnia. Zawsze będzie żywić głęboką wdzięczność dla człowieka, który ją jej złożył. Przez jedną szaloną chwilę miała ochotę powiedzieć „tak”, gdy ją pocałował, a ona uznała to doświadczenie za całkiem przyjemne. Podejrzewała, że inne aspekty pożycia męża i żony są równie atrakcyjne.

Owdowiała kuzynka jej ojca, pani Verity Dalrymple, która była damą do towarzystwa Rachel, namawiała ją do przyjęcia propozycji hrabiego.

- Łap go, moja droga - powiedziała ze swą zwykłą żenującą bezpośredniością. - Najważniejsze, że jest przystojny i dość wysoki, żeby móc spojrzeć ci w oczy.

Ale ostatecznie, pomimo nalegań Verity i własnego skrywanego pragnienia, by mieć męża i dzieci, Rachel posłuchała głosu rozsądku. W końcu nie jest pierwszą lepszą. Jest właścicielką jednej z największych przędzalni w Yorkshire oraz stad owiec, które dostarczały do owej przędzalni wełny. W grę więc wchodzi nie tylko jej osobiste szczęście. Po-

winna bardzo dokładnie poznać mężczyznę, któremu miałaby powierzyć dobro ponad dwustu rodzin, których los zależał od niej.

Z niechęcią poinformowała więc hrabiego, że potrzebuje czasu, by rozważyć jego propozycję. W takiej sytuacji nie mogła jednak odrzucić zaproszenia do Londynu, gdzie Fairborne pragnął jej przedstawić korzyści, jakie odniosłaby, zostając jego żoną.

Teraz więc leżała bezsennie w elegancko urządzonej sypialni, którą hrabia polecił swojej gospodyni dla niej przygotować. Chciało jej się śmiać z tego wszystkiego. Gdyby hrabia znał ją choć trochę, wiedziałby, że nic nie mogłoby bardziej skłonić ją do odmowy niż myśl, że miałaby przez resztę życia korzystać z sypialni takich jak ta. Ałtasowe prześcieradła, złoczone tapety, bezcenne meble z całą jasnością uświadamiały jej, że jako hrabina będzie sprawiała wrażenie kury usiłującej udawać rajskiego ptaka.

Tęskniła za swoim wygodnym, starym domem, książkami i porankami spędzonymi przy pracy w ogrodzie. Najbardziej jednak brakowało jej zarządzania przedsiębiorstwem i kontaktu z pracującymi tam ludźmi. To oni byli jej rodziną i wypełniali pustkę w jej sercu. Westchnęła, zastanawiając się, jak długo jeszcze powinna pozostawać w mieście, aby móc wyjechać, nie raniąc uczuć hrabiego.

Zegar nad kominkiem wybił północ i Rachel porzuciła nadzieję, że zdoła zasnąć. Przyszło jej do głowy, że mogłaby skorzystać z bogatej biblioteki hrabiego, którą widziała, zwiedzając dom. Założyła więc swój bawełniany szlafrok i ranne pantofle

i ze świeczką w dłoni wyszła na korytarz. Przemknęła się cicho obok pokoju Verity i apartamentu hrabiego, potem schodami w dół i hallem do biblioteki.

Na razie idzie mi jak z płatka, pogratulowała sobie w duchu, podchodząc do drzwi biblioteki. Jednak w chwili, gdy je uchyliła, przeciąg zgasił jej świeczkę.

- A niech to diabli - sarknęła, używając ulubionego wyrażenia swego ojca. Ktoś najprawdopodobniej zostawił otwarte okno, a ona w ciemnościach nie zdoła z powrotem trafić do swojego pokoju.

Wtedy zobaczyła słaby blask sączący się ze szpary pomiędzy drzwiami a futryną. Uchyliła drzwi i ku swojemu zdziwieniu ujrzała sylwetkę mężczyzny pochylającego się nad biurkiem i najwyraźniej szukającego czegoś w szufladach.

Blask, który wcześniej dostrzegła, pochodził ze świecy osłoniętej przed przeciągiem trzema dużymi książkami ustawionymi pionowo na biurku. Uśmiechnęła się do siebie. Tylko mężczyzna mógłby wpaść na takie rozwiązanie. Kobieta po prostu zamknęłaby okno.

Ale cóż to za upokorzenie pojawić się przed oczami hrabiego w środku nocy w samej tylko koszuli nocnej i szlafroku. Co on sobie o niej pomyśli? Z całego serca zapragnęła rozpuścić się w powietrzu, by oszczędzić zakłopotania sobie i hrabiemu. Ale jedyne, co mogła zrobić, to spróbować nie pogarszać i tak złej sytuacji.

- Proszę sobie nie przeszkadzać, milordzie. Przyszłam tylko po książkę, bo nie mogę zasnąć - po-

wiedziała energicznie i ujrzała, że mężczyzna podrywa głowę jak spłoszony zając. - Ale muszę zapalić sobie świeczkę od pańskiej...

Zaparło jej dech w piersiach. Nawet w słabym świetle jednej świecy wyraźnie zobaczyła, że nie ma przed sobą jasnowłosego, brązowookiego hrabiego. Ten mężczyzna, równie wysoki jak Fairborne, miał niemodnie długie włosy, czarne niczym skrzydła kruka, a jego niesamowite srebrzyste oczy błyskawicznie odnalazły ją w mroku. Urodą przypominał jej jednego z upadłych aniołów, widzianych kiedyś na witrażu w opactwie benedyktyńskim w pobliżu Yorku.

- Kim... kim pan jest? Co pan robi w bibliotece hrabiego? - wyjąkała Rachel i natychmiast pożałowała tych pytań. Patrzył na nią chłodno, jakby była natrętnym owadem, którego należało zgnieść. Stłumiła okrzyk przerażenia, ponieważ zdając sobie sprawę, że zdemaskowała złodzieja, który właśnie okrada hrabiego. Nigdy dotąd nie znalazła się w takiej sytuacji; w jej małej wiosce w Yorkshire takie rzeczy się nie zdarzały. Ale wydało się jej logiczne, że człowiek parający się złodziejskim procederem musi być niebezpieczny i zdolny do najgorszego.

Jak gdyby chcąc potwierdzić słuszność jej osądu, złodziej podniósł świeczkę, obszedł biurko i ruszył w jej stronę w sposób nie wróżący nic dobrego.

- Trzymaj się pan z dala ode mnie - poleciła Rachel rozpaczliwie.

Cofnęła się do drzwi. Wolała znaleźć się w ciemnym hallu niż w kręgu światła rzucanym przez

świeczkę włamywacza. Sama myśl o tym, do czego mógłby doprowadzić go widok kobiety w negliżu, zmroziła jej krew w żyłach. Przez jej rozgorączkowany umysł przebiegły słowa „hańbić” i „bezcześcić”.

- Jeszcze krok, panie, a przysięgam, że będę krzyzczeć tak głośno, że obudzi się cały ten dom i wszystkie inne na Grosvenor Square - powiedziała stanowczo, starając się mówić spokojnie.

- Nie radzę, pani. Nie chcę robić ci krzywdy, ale jak pani sama widzi, sytuacja jest dosyć delikatna.

Rachel otworzyła usta ze zdziwienia. Tajemniczy człowiek mówił bardzo poprawnie, z akcentem klas wyższych. Jego wymowa była aż za staranna, czym sprawiał wrażenie cudzoziemca. W każdym razie pocieszający był fakt, że wyglądał na dżentelmena.

Co więcej, przyszło jej do głowy, że jeśli zamierzał coś ukraść, to chyba nie bardzo zna się na rzeczy. Tylko zupełny nowicjusz szukałby pieniędzy i klejnotów w szufladzie biurka. Pewnie biedak niedawno utracił majątek i posunął się do przestępstwa, by przeżyć.

- Pańskie groźby mnie nie przerażają - stwierdziła, mając nadzieję, że obcy mężczyzna nie dosłyszeli drżenia w jej głosie.

Akurat! Yves widział wyraźnie, że bardzo się go boi. Poczuli niesmak na myśl o tym, jak nisko upadł, zastraszając bezradną kobietę, aby zdobyć potrzebne mu dowody. Jeszcze jedna zbrodnia, za którą odpowiada ten zdrajca.

Podniósł wyżej świeczkę, aby przyjrzeć się tej, jak przypuszczał, pokojówce hrabiego, która wpadła na niego tak niefortunnie. Bo kimże innym mo-

że ona być? Żadna kobieta zajmująca pozycję powyżej gospodyni nie chciałaby posiadać, a tym bardziej nosić, tak ohydneho szlafroka.

A jednak, co dziwne, ubiór ten w jakiś sposób do niej pasował. Była o głowę wyższa niż przeciętne kobiety i wysmukła jak gałązka wierzby. Jej twarz była może nie tyle brzydka, ile zwyczajna, a gładko zaczesane ciemnoblonde włosy, zaplecione w gruby warkocz, pasowałyby raczej nowicjusze w klasztorze niż dojrzałej kobiecie. Prawdę powiedziawszy, poza niezwykłym wzrostem i parą wyrazistych oczu ze złotymi plamkami nie było w niej zupełnie nic godnego zapamiętania.

- Chcę wiedzieć, co zamierzasz pan ze mną uczynić - powiedziała surowo, jakby była nauczycielką, a nie zwykłą służącą.

- Po pierwsze, uduszę panią, jeśli natychmiast nie zniżysz głosu - zagroził i zamknął drzwi za jej plecami. Odskakując na bok, uderzyła głową o ścianę i wydała lekki okrzyk. Zgodnie ze swymi obawami po chwili Yves usłyszał kroki w hallu.

Szybko zgasił świeczkę, wepchnął irytującą istotę do wnęki między dwoma półkami na książki i położył na jej ustach dłoń. Wrywała mu się z całych sił, a niestety miała ich sporo.

Trzymając w jednej ręce świeczkę, a drugą zakrywając jej usta, musiał posłużyć się ciałem, żeby utrzymać ją we wnętrzu. Był to błąd. Najwyraźniej potraktowała to jak próbę gwałtu i zaczęła się histerycznie szarpać, wydając stłumione jęki.

- Nie dajesz mi wyboru, pani - mruknął i uciszył ją, przyciskając usta do jej warg. Poczuli, że zesztwy-

niała, a potem zacisnęła wargi i zaczęła uderzać go pięściami. Nieszczęsna, najwyraźniej wyobrażała sobie, że zaatakował ją najgorszy nikczemnik, a on nie mógł zrobić nic, by wyjaśnić nieporozumienie. W tej bowiem chwili drzwi otworzyły się i do biblioteki wkroczyło dwóch mężczyzn. Jeśli natychmiast nie uciszy tej Amazonki, będzie miał poważne kłopoty.

Nie pozostało mu nic innego, jak tylko zastosować sposób, który nigdy go nie zawiódł. Zaczął ją całować z zapamiętaniem godnym namiętnego Francuza, który spędził wiek młodzieńczy w ramionach najzdolniejszych kurtyzan Paryża i Wiednia. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wargi wrywającej się Amazonki odpowiedziały na jego pocałunek.

Za plecami Yves'a ktoś powiedział:

- Wydawało mi się, że słyszałem kobiecy krzyk.

Drugi głos, mówiący z silnym akcentem irlandzkim, potwierdził:

- Mnie też, milordzie. Ale to chyba tylko wiatr wyl w tym otwartym oknie.

- Diabła tam, wydawało mi się, że je zamykałem, idąc na spoczynek - odrzekł pierwszy głos. - Ale chyba nic się nie stało.

Jeden z mężczyzn zamknął okno, które Yves zostawił sobie jako szybką drogę ucieczki. Po chwili stuknęły zamykane drzwi, a kroki ucichły w głębi hallu.

Yves podniósł głowę i odetchnął z ulgą... a potem usłyszał westchnienie kobiety, którą trzymał w ramionach. Odczuł wstrząs, gdy zdał sobie sprawę, że podczas pocałunku niezgrabna służąca po prostu

stopniała w jego ramionach. A jej namiętna, acz niezręczna reakcja świadczyła ponad wszelką wątpliwość, że była całkowicie niewinna. To tylko pogarszało sytuację.

Zaczął łagodnie wyzwałać się z jej objęć. Ona jednak zarzuciła mu ręce na szyję i zbliżyła usta do jego warg, jakby zapraszając do kolejnego pocałunku. Mężczyzna poczuł przypływ pożądania, które znieścacka rozпалиło jego gorącą, galijską krew.

Mon Dieu, co tu się dzieje? Ta wysoka, chuda tyka w niczym nie przypominała kobiet, które zazwyczaj działały na jego zmysły: wolał niewysokie, wyrafinowane brunetki o słodko zaokrąglonych kształtach. Takie kobiety przypominały mu ukochaną Amalię.

Stanowczym gestem odsunął służącą od siebie.

- Muszę zapalić świecę - szepnął i drgnął, *słyszac* jej proszący jęk. Pogardzał mężczyznami ze swojej klasy, którzy wymuszali względy od bezradnych kobiet z grona służby. A jednak skalał tę niewinną kobietę tak samo, jakby uwiódł.

Dręczony tą myślą po omacku trafił do kominka i zapalił świecę od żarzącego się węgla. W jej blasku ujrzał, że istotnie wywołał wielki wstrząs. Ujął dziewczynę pod łokieć i poprowadził do jednego z foteli stojących przed kominkiem.

- Muszę teraz odejść - powiedziała.

Kiwnęła głową.

- Wszystko w porządku?

Pokręciła przecząco głową.

- Wątpię, czy kiedykolwiek będzie ze mną „wszystko w porządku”, ale odejdz pan, proszę.

Grozi panu niebezpieczeństwo. Chyba zdaje pan sobie sprawę, że wielu angielskich sędziów skazuje złodziei na szubienicę?

Szczerłość nieznajomej zaskoczyła go; jej troska o jego bezpieczeństwo wywołała w nim uczucie wstydu. Ta niezgrabna dziewczyna kryła w sobie wiele niespodzianek. Zdawał sobie sprawę, że powinien błagać ją o przebaczenie za to, iż wykorzystał jej niewinność. Powiedział jednak tylko:

- Zapamiętam sobie twoje ostrzeżenie, pani - i złożył jej dworski ukłon godzien cesarzowej Józefiny. A potem otworzył okno i wyszedł do ciemnego ogrodu.

Wracając mrocznymi ulicami do hotelu, doznawał mieszanych uczuć na wspomnienie wydarzeń minionej godziny. Z jednej strony przerwano mu poszukiwania, zanim zdążył znaleźć dowody przestępstwa hrabiego. Z drugiej zaś stwierdził, że informacja policjanta śledzącego hrabiego Fairborne jest nieaktualna. Irlandczyk zwracał się w bibliotece do swojego towarzysza „milordzie”. Najwyraźniej hrabia wrócił do Londynu wcześniej niż się spodziewano, co oznaczało, że Yves także musi zmienić swoje plany.

Nie wiadomo dlaczego miał wrażenie, że gospodyni hrabiego nie stanowi dla nich zagrożenia. Mogła, oczywiście, powiedzieć hrabiemu, że jego bibliotekę odwiedził „włamywacz”, ale wątpił, żeby w powojennym Londynie włamania stanowiły taką rzadkość. Ogólnie więc, wieczór nie zakończył się całkowitym fiaskiem.

Był już w pobliżu hotelu Pulteney, gdzie zwykł

był zatrzymywać się, przyjeżdżając do Londynu, kiedy przypomniał sobie, że na biurku hrabiego zostawił osłonę z trzech książek. Zaklął cicho. Robi się niedbały. Na dworze cesarza taki błąd mógł kosztować życie.

Nie chciał się sam przed sobą przyznać, że niezgrabna, płaska angielska gospodyni mogła go do tego stopnia wyprowadzić z równowagi. Ale wspominając nagłe pożądanie, które ogarnęło go, gdy ją całował, a potem pełne wyrzutu spojrzenie jej ciemnych oczu, gdy się rozstawali, odczuł ulgę, że należała do służby i że nigdy nie będzie miał okazji spotkać jej na gruncie towarzyskim.

Niemniej jednak żałował, że nie może znaleźć sposobu, aby wynagrodzić jej to, jak ją potraktował. Ale jak, skoro nawet nie wie, jak się nazywa?

Rachel spostrzegła trzy książki zaraz po tym, jak czarnowłosa włamywacz zniknął w ciemnościach. Kiedy już odzyskała władzę w nogach, odstawiła wielkie, oprawne w skórę tomy na dolną półkę, z której zostały zdjęte, i uporządkowała biurko.

Gdyby ktoś powiedział jej kilka godzin wcześniej, że praworzędna poddana króla będzie czyniła starania, by chronić złodzieja, uznałaby tego kogoś za szaleńca. Nie chciała jednak, aby przystojny Francuz zakończył życie na szubienicy. Dzięki niemu bowiem doznała czegoś, co można było nazwać objawieniem. Weszła do biblioteki jako niedoświadczona stara panna, a wyjdzie jako kobieta świadoma swej zmysłowej natury. Ale cóż za ironia losu! Co myślał Stwórca, obdarzając mało uro-

dziwą dziewczynę z prowincji pragnieniami, których ona nigdy nie zdoła zaspokoić?

Jednak miała u czarnowłosego nieznajomego dług wdzięczności. Nieważne, że pocałował ją tylko dlatego, żeby zamilkła. Dał jej doznać cudownej i szalonej namiętności, czegoś, co kobieta może zaznać z osobnikiem upadłym... co ona odczuła jako niezwykle wyzwolenie. Posiadłszy tę wiedzę, miała o wiele lepsze podstawy, by podjąć rozumną decyzję w związku z propozycją hrabiego Fairborne.

Żałowała, że nie może podziękować za to nieznajomemu. Gdy ją żegnał, widać było, że czuje się winny i nieszczęśliwy. Ale jak miała to zrobić, skoro nawet nie wiedziała, jak się nazywa?

2

Hrabia Fairborne był troskliwym gospodarzem. Aż nazbyt, zdaniem Rachel. Najwyraźniej uważał za swój obowiązek dostarczać jej rozrywek jak dzień długi. Ona zaś wcale tego nie pragnęła: zdołała nawet uprosić go, by podczas jej wizyty w Londynie od czasu do czasu spędzał wieczór w swoim klubie. Szczerze mówiąc, brakowało jej samotności, a niekończące się ekskursje, wyprawy do teatru i przejażdżki powozem po Hyde Parku męczyły ją niewymownie.

Niemniej jednak, kiedy po raz kolejny bez większego entuzjazmu szykowała się do jeszcze jednego towarzyskiego występu, głos sumienia podszeptał jej, że byłaby o wiele mniej zmęczona, gdyby mogła przespać choć jedną noc, nie marząc o śmiałym, kruczowłosym włamywaczu, którego przyłapała na okradaniu domu hrabiego.

Śniła bowiem o nim za każdym razem, gdy przyłożyła głowę do poduszki. Przeżywała ponownie chwile, gdy jego smukłe, mocne ciało przywarło do niej, a jego ciepłe usta przyprawiły ją o niewymowny dreszcz.

Sumienne pocałunki, jakimi co wieczór obdarzał ją lord Fairborne, powiększały tylko jej poczucie

winy. Nie ma wątpliwości: jest grzeszną, zepsutą kobietą, niegodną czyścić butów tego szlachetnego człowieka, który zaofiarował jej swe serce i nazwisko. To samobiczowanie moralne przerwała Rachel Mary Tucker, pokojówka, przysłana jej przez gospodynię hrabiego.

- Nie założyłaby panienka na ten wieczorny spacer po ogrodach Vauxhall czegoś innego zamiast tej prostej, brązowej sukienki? - spytała, jak zwykle czyniąc aluzję do skromnej garderoby swej nowej pani. - Aż szkoda zakrywać taką piękną bieliznę - dodała.

- Może nie zauważyłaś, Mary - powiedziała Rachel cierpliwie - ale o ile dotyk jedwabiu na ciele sprawia mi przyjemność, na zewnątrz jestem po prostu nieatrakcyjną kobietą.

- Za pozwoleniem, panienko, opowiada pani bajki. Każda kobieta może oczarować mężczyznę pod warunkiem, że się odpowiednio ubierze i uczesze.

Rachel już jakiś czas temu zauważyła, że chociaż Mary często sprawiała wrażenie przygnębionej, była jednak bardzo atrakcyjną młodą kobietą. Miała duże niebieskie oczy, bujne, wijące się blond włosy, a jej kragłości wydawały się rozsadzać skromny strój pokojówki w najbardziej intrygujących miejscach.

- Ciekawa filozofia - rzekła Rachel z uśmiechem. - Jednak obawiam się, że nawet Michał Anioł tworzył swe arcydzieła z doskonałych bloków marmuru.

Mary skrzywiła się.

- Nie mam pojęcia, co tu ma do rzeczy ten Michał-jak-mu-tam, panienko, ale wiem, że ma pani piękne oczy i gęste włosy, które, mimo swego nie-

ciekawego koloru, wymagają tylko odpowiedniego uczesania.

Verity Dalrymple podniosła wzrok znad haftu.

- Ta dziewczyna ma rację, a ty mylisz się, sądząc, że brzydka suknia sprawi, iż będziesz wydawała się niższa. Mogłabyś założyć coś z większym dekoltem, zwłaszcza że będziesz w towarzystwie tak eleganckiego mężczyzny jak hrabia. Dziwię się, że ten miły człowiek nie zaproponował ci wizyty u jakiejś dobrej londyńskiej krawcowej.

Prawdę mówiąc, uczynił to, ale Rachel nie miała zamiaru się do tego przyznawać.

- Zastanowię się nad tym - powiedziała z niezadowolaniem. - A tymczasem założę tę brązową z perkalu. Wystarczy na spacer po ogrodzie publicznym.

Rachel przestała zwracać uwagę na własny wygląd zewnętrzny w dniu swych czternastych urodzin, kiedy to ojciec zapisał ją na pensję panny Frogmire. Zetknięcie ze szkołą okazało się bowiem bolesnym doświadczeniem. Okazało się, że Rachel jest nieładna i o głowę przerasta koleżanki. Gwoździem do trumny zaś stał się jej prowincjonalny akcent, taki sam, jakim mówili rolnicy i pracownicy przędzalni. W rezultacie dziewczynka stała się obiektem najokrutniejszych drwin.

Wtedy to uznała, że jedynym wyjściem jest niczym się nie wyróżniać. Zaczęła z pasją pracować nad poprawą swojej wymowy i zadbała, by jej suknie były gładkie, praktyczne i aby nie przyciągały niczyjej uwagi.

Verity popatrzyła na Rachel znad okularów.

- Kiedy rezydowaliśmy z droгим Wilfredem w Londynie, często odwiedzałam Vauxhall. Jest to coś więcej niż ogród publiczny i każdy, kto tam się udaje, stroi się jak najpiękniej. Jeśli musisz koniecznie założyć tę burą suknię, przynajmniej rozjaśnij ją jednym z moich haftowanych kołnierzyków. Poza tym powinnaś zmusić swoją leniwą pokojówkę, aby uczesała cię modnie. Najwyższa pora, żeby zaczęła pracować na swoją zawyżoną pensję, jaką płaci jej hrabia.

Nie po raz pierwszy Rachel pożałowała swych nalegań, by Verity czuła się członkiem jej rodziny, a nie tylko płatną damą do towarzystwa. Kobiecina uznała, że może mówić, co myśli, a było to zazwyczaj coś, co Rachel najmniej chciałyby usłyszeć.

Zbyt zmęczona, by się kłócić, przyjęła oferowany jej kołnierzyk, a nawet pozwoliła Mary przyciąć i zakręcić pasemka włosów po obu stronach twarzy.

- Tak jest o wiele lepiej - powiedziała pokojówka, skończywszy swe fryzjerskie zabiegi.

Rachel popatrzyła w duże lustro i z zaskoczeniem stwierdziła, że drobna zmiana w uczesaniu znacznie złagodziła jej rysy, a jasny kołnierzyk sprawił, iż oczy nabrały blasku.

Humor poprawił się jej jeszcze bardziej, gdy hrabia, a raczej, jak po wielokroć domagał się, aby Rachel się do niego zwracała, Edgar, skwitował zmianę jej wyglądu, chociaż uznała, iż posunął się chyba trochę za daleko, twierdząc, że „jak bogini piękności opromienia swym blaskiem mrok nocy”. Niemniej jednak był to pierwszy prawdziwy komplement w jej życiu i jeszcze jeden powód, dla którego

powinna być wdzięczna temu szlachetnemu człowiekowi.

Zapały już ciemności, gdy znaleźli się w ogrodach Vauxhall.

- Mamy szczęście - powiedział Edgar, patrząc na niebo usiane gwiazdami. - Dzisiejszego wieczoru wiatr przesunął miejskie dymy w górę rzeki.

- Gwiazdy wydają się tak blisko, że można by je wziąć do ręki - zgodziła się Rachel, czując narastającą radość. Była zamiłowaną ogrodniczką i chociaż londyński park stanowił tylko marną replikę jej własnego ogrodu pełnego kwiatów i krzewów, z przyjemnością znalazła się z dala od miejskiego zaduchu.

Wkrótce jednak stwierdziła, że Vauxhall nie przypomina zwykłego parku. Owszem, były tu klomby z kwiatami i wiele starych drzew, ale w odróżnieniu od jej własnego ogrodu, tu na gałęziach wisały setki gazowych lampionów, które rywalizowały z blaskiem gwiazd na firmamencie. Park stanowił bajkową krainę pełną marmurowych posągów i świątyń, sztucznych grot i jaskiń oraz kaskad wodnych, które miały ożywić wyobraźnię i połechtać zmysły setek zwiedzających, pragnących odpocząć od upału i zgiełku.

Tym razem Verity im nie towarzyszyła.

- Idźcie sami - powiedziała, mrugając porozumiewawczo do hrabiego. - Pragnę pamiętać Vauxhall takim, jakim zwiedzałam go z mym drogim Wilfredem, a właścicielka przędzalni nie musi wszędzie chodzić z przyzwoitką.

Ta mało subtelna próba wepchnięcia jej w ramiona

nieszczęsnego hrabiego przyprawiła Rachel o dreszcz. Teraz jednak ogarnęło ją zadowolenie, że jej towarzyszka zdecydowała się pozostać w domu. Edgar najwyraźniej starannie zaplanował wieczór, a Verity mogłaby wszystko zepsuć swą niemądrą paplaniną.

Na początek przepłynęli łodzią na południowy brzeg Tamizy.

- To mniej dogodne niż przeprawa przez żelazny most, ale o ileż bardziej romantyczne - wyjaśnił Edgar, obdarzając Rachel czułym uśmiechem, a oczy dziewczyny wypełniły się łzami wzruszenia.

Potem okazało się, że na kolację zarezerwował prywatną lożę sąsiadującą z parkietem do tańca i mogli obserwować pary tańczące walca pod gwiazdami. Rachel z całego serca pragnęłaby do nich dołączyć, ale niestety nie umiała tańczyć. Ojciec uważał, że nie warto wydawać pieniędzy na lekcje dla dziewczyny jej wzrostu. A szkoda, pomyślała, bo wcale nie górowałaby nad Edgarem, gdyby z nim zatańczyła. Ani nad pewnym czarnowłosym włamywaczem.

Na litość boską! Skąd jej to przyszło na myśl! Przyzwoita panna nie powinna marzyć o pospolitym złodzieju... zwłaszcza podczas kolacji z tak eleganckim dżentelmenem jak hrabia. Zawstydzona, porzuciła wspomnienie srebrzystych oczu i ciepłych, zmysłowych warg, postanawiając stać się na dzisiejszy wieczór idealną towarzyszką dla swego czarującego kawalera.

Nie było to trudne, bo z każdą chwilą okazywało się coraz wyraźniej, że wieczór został zaplanowany z wielką dbałością. Gdy tylko zasiedli przy

stole, jak spod ziemi wyrósł kelner z tacą, na której znajdowały się dwa kieliszki najlepszej, jak zapewniał hrabia, sherry. Rachel po raz pierwszy w życiu spróbowała tego złotego trunku i odczuła pewne rozczarowanie. Uznała, że z pewnością „doskonały, orzechowy aromat” spodobałby się jej znacznie bardziej, gdyby nie przypominał tak bardzo zapachu kadzi z płynem, którym co wiosny odwszawiała swe owce rasy Wensleydale.

Posiłek składający się z kurcząt na zimno, cienko krojonej szynki i świeżych truskawek przypadł jej znacznie bardziej do gustu, ale miała niewiele czasu, by się nim delectować, gdyż co chwila zatrzymywał się przy ich stoliku jakiś przyjaciel Edgara, aby się z nimi przywitać. Widać było jasno, że Edgar cieszy się popularnością wśród londyńskiej socjety. Rachel po raz kolejny stwierdziła, że doprawdy nie rozumie, dlaczego mężczyzna, który może wybierać pośród najpiękniejszych kobiet ze swej sfery, chce właśnie ją uczynić swoją hrabiną. Jednak tego właśnie najwyraźniej w świecie pragnął. Przemiły ten człowiek trzymał ją za rękę, gdy słuchali muzyki Haendla i przyglądali się linoskoczkom, zonglerom i śmiałym woltyżerkom.

Ścisnął jej dłoń jeszcze mocniej podczas wspaniałego pokazu fajerwerków. Była to kolejna przyjemność, której doświadczyła po raz pierwszy w życiu. Rachel zawsze zastanawiała się, jak to jest. Teraz już wiedziała. Czuła się kobieca i... trudno jej to było inaczej nazwać... uwielbiana.

Ciesząc się chwilą, pomyślała, że właśnie tego rodzaju związek może dać prawdziwe zadowolenie.

Dziki emocje, których doznała w ramionach czar-nowłosego nieznanego, były tylko odbiciem gor-szej części jej charakteru, którą powinna na zawsze ukryć przed światem.

- Czy pragniesz przejść się po ogrodach, zanim wrócimy do domu, moja droga? - zapytał Edgar, gdy skończyły się fajerwerki.

Rachel uśmiechnęła się do swego czułego wielbi-ciała.

- Z największą przyjemnością, milordzie... Edga-rze. - Wyczuwała, że zorganizował ten uroczy wie-czór, mając na uwadze określony cel. Znowu zaprag-nie poprosić ją o rękę, a ona tym razem udzieli mu innej odpowiedzi...

Ramię w ramię szli wraz z innymi parami dys-kretnie oświetloną Aleją Zakochanych. Rachel na-słuchiwała szmeru szczęśliwych głosów, muzyki śmiechu odbijającej się echem wśród drzew i po raz pierwszy w życiu doznała poczucia przynależności: nie była już tylko samotną osobą obserwującą z da-leka innych.

To jej wystarczyło: ziszczenia takiego cudu ni-gdy nie oczekiwała. Powtarzała sobie, że ma wiel-kie szczęście i powinna być niezmiernie wdzięczna temu dobremu, wspaniałomyślnemu człowiekowi, który chciał dać jej dom i dzieci, o czym wszak za-wsze marzyła. Czy to ważne, że tak mało mają ze sobą wspólnego? Dwoje przyzwoitych ludzi o czy-stych intencjach powinno w końcu umieć się po-rozumieć... bez względu na to, jakie są ich osobiste cele. Musi po prostu wytłumaczyć mu, że prowa-dzenie przedsiębiorstwa jest dla niej bardzo ważne. Na

pewno zrozumie, nawet jeśli sam się tym wcale nie interesuje.

Podniosła wzrok na widok zbliżającej się do nich pary. Wcześniej minęli już wiele takich par, ale w tej było coś, co zwróciło uwagę Rachel. Może dlatego, że oboje byli niezwykle piękni i tak doskonale do siebie pasowali, że przyciągali uwagę wszystkich, a może dlatego, że różnili się od niej i Edgara jak niebo i ziemia.

Kobieta była niedużą, kruczowłosą piękną o wielkich ciemnych oczach i nieoczekiwanie bujnych jak na tak drobną osóbkę krągłościach. Jej śmiało wydekoltowana suknia z jakiegoś przejrzystego błękitnego materiału pobłyskiwała w świetle lampionów, gdy tak szła przytulona do ramienia wysokiego mężczyzny o włosach równie czarnych jak jej.

Rachel zamruwała powiekami. Towarzysz pięknej kobiety miał w sobie coś nieoczekiwanie znajomego... było coś w jego ruchach, sposobie, w jaki pochylał głowę, gdy zwracał się do swej towarzyszki.

Zamruwała raz jeszcze, a potem zamarło jej dech, a serce zamarło na chwilę. Jednak dopiero, gdy mijając ich zmierzył ją śmiałym spojrzeniem, nabrała całkowitej pewności, że ma przed sobą owego niegodziwego człowieka, który nawiedzał jej sny przez ostatnie dwa tygodnie.

Minęła dobra chwila, zanim Rachel zdała sobie sprawę, że mężczyzna wymienił z hrabią chłodny ukłon.

- Zna pan tego człowieka? - zapytała, starając się zapanować nad drżeniem głosu.

- To francuski arystokrata... hrabia de Rochemont, czy coś w tym rodzaju.

- H-hrabia? - wyjąkała Rachel. - Ten człowiek jest francuskim hrabią? Czemu pan tak sądzisz?

- Nie sądzę, ja to wiem. - Fairborne zacisnął zęby. - Przedstawiono mi go w klubie kilka dni temu. Właśnie został członkiem honorowym, co wydaje mi się dosyć niesmaczne. Cudzoziemcy, a zwłaszcza Francuzi, nie powinni być przyjmowani. Ale najwyraźniej ma spory majątek, w przeciwieństwie do swoich innych rodaków, którzy zazwyczaj nie śmierzają groszem. Mówi się, że jego dziadek zdołał ukryć większość ich fortuny.

Rachel patrzyła na Edgara w oszołomieniu. Nic jej tu nie pasowało. Dlaczego bogaty francuski arystokrata miałby włamywać się do cudzego domu? Zadrzała na myśl, że mógłby szukać w biurku hrabiego czegoś innego niż pieniądze i klejnoty.

Słyszała kiedyś, że Francuzi są podstępni i niegodni zaufania. Czyżby zdradziecki osobnik chciał tam znaleźć jakieś ważne papiery związane z pracą Edgara w Whitehall?

Nie wiedziała dokładnie, co Fairborne robił podczas wojny. Był taki skromny i nigdy nie przechwalał się swoimi dokonaniem. Ale z tego, co jej wyznał, zrozumiała, że odegrał główną rolę w pokonaniu Napoleona Bonaparte i to właśnie on przekonał Calstle-reagha, że Wyspa Świętej Heleny będzie najlepszym miejscem ostatecznego zesłania korsykańskiego potwora.

Serce biło jej jak młotem, a myśli wirowały w głowie niczym drewniane wrzeczona, które jej robot-

nicy strugali dla swoich dzieci. Czyżby Bonaparte planowała nową ucieczkę? Czy jakieś dokumenty, znalazłszy się w niepowołanych rękach, mogłyby mu ją ułatwić? O mój Boże, czyżby niechcący zdradziła swój kraj tylko dlatego, że przystojny Francuz oszołomił ją swymi pocałunkami?

Rzut oka na twarz Edgara upewnił ją, że nieoczekiwane spotkanie hrabiego de Rochemont zaniepokoiło go w równym stopniu jak ją samą.

- Wydaje mi się, że nie lubi pan tego francuskiego hrabiego - zaryzykowała.

- Jestem Anglikiem i jako Anglik nie ufam Francuzom.

Rachel spróbowała opanować dławiące ją poczucie winy.

- Chce pan powiedzieć, że człowiek ten mógł przyjechać do Londynu z jakąś wrogą misją polityczną?

Fairborne zatrzymał się jak wryty.

- Skąd, u diabła, przyszło ci coś takiego do głowy?

- N-nie wiem - wyjąkała Rachel zaskoczona niezwykłą szorstkością i gniewnym spojrzeniem hrabiego. - Po prostu o galijskim charakterze mówi się wiele złego.

- I słusznie. Stwierdzam to z przykrością, moja droga, ale jedyny dobry Francuz to martwy Francuz.

Rachel popatrzyła na swego wielbiciela z konsternacją.

- Chyba nie mówi pan serio!

- Owszem, i nie jestem jedynym Anglikiem, który tak sądzi! - Hrabia potarł prawą skroń, jak gdyby chciał odegnać nadchodzący ból głowy, a potem ruszyli dalej ciemną ścieżką. - Jednak sytuacja ta

ma swoje dobre strony. Przez chwilę obawiałem się, że ten hultaj zechce zatrzymać się i wymieniać jakieś uprzejmości, co oczywiście byłoby katastrofą.

- Dlaczego?

- Musielibyśmy przedstawić sobie nasze towarzyski. Na szczęście od razu pojął, kim jesteś, i odalił się, unikając nietaktu.

Rachel zeszywniała.

- Kimże to jestem, milordzie, że ten francuski hrabia natychmiast to rozpoznał?

- Ależ oczywiście damą, a tego nie da się powiedzieć o tej wystrojonej kreaturze, którą prowadził.

- Przez twarz Fairchilda przebiegł grymas obrzydzenia. - Jacqueline Esquare cieszy się złą sławą w Londynie.

- Złą sławą? Dlaczego?

Niesmak na obliczu hrabiego pogłębił się.

- Uczciwszy twoje niewinne uszy, jest kurtyzanką. Albo mówiąc wprost, kosztowną francuską dziwką, której wymagania mogłyby doprowadzić do bankructwa najbogatszych.

- Och! - Rachel była zdruzgotana. Ruszyli dalej, ale cała jej radość minęła bezpowrotnie.

Edgar wydawał się być także wstrząśnięty tym nieoczekiwanym spotkaniem. Popatrzyła z ukosa na jego zaciętą twarz i sztywne ramiona i uznała, że rozsądniej będzie, jeśli dopiero jutro wyzna mu, że zapomniała go powiadomić, iż dokładnie dwa tygodnie temu natknęła się na hrabiego de Rochemont grzebiącego w jego biurku.

Westchnęła, mając tylko jedną pewność: dzisiejszego wieczoru nie będzie musiała podejmować de-

cyzji, jak odpowiedzieć na oświadczyzny swego szlachetnego zalotnika.

- Znasz hrabiego Fairborne, *cheri*? Nie "wiedzia-
łam. - Głos Jacqueline Esquare jak nóż przeszył
mgłę otaczającą Yves'a.

- Przedstawiono nas sobie w zeszły czwartek -
wykrztusił indagowany.

- A więc dlaczego masz taki wyraz twarzy? Ed-
gar Hanley jest czarującym mężczyzną i nie mógł
cię z punktu do siebie zrazić. - Przyjrzała mu się
badawczo. - Chyba nie rozwścieczył cię widok tej
chudej, brązowej tyki, która mu towarzyszyła?

Yves opanował się.

- Ależ ja wcale nie jestem rozwścieczony - odparł
chłodno. W rzeczywistości znajdował się w szoku.
Jeden rzut oka na wysoką towarzyszkę Fairborne'a
wystarczył mu, by stwierdzić, że pomylił się, uzna-
jąc ją za gospodynię. To musiała być ta bogata dzie-
dziczka z Yorkshire, którą obserwujący hrabiego
policjant opisał jako „okropną brzydulę”. Określe-
nie rzeczywiście pasowało doskonale: jej sukienka
była równie nieatrakcyjna jak szlafrok, w którym
ujrzał ją po raz pierwszy.

Ale dlaczego zamieszkała w londyńskiej rezyden-
cji Fairborne'a? Czyżby ten nikczemnik zdążył już
ją uwieść? Jeśli tak, to niewiele ją to nauczyło. Po-
stawiłby cały swój majątek, że kobieta, którą poca-
łował, była całkowicie niewinna, chociaż drzemały
w niej ukryte namiętności. Było mu to obojętne:
prowadzenie się nieatrakcyjnych angielskich sta-
rych panien to zupełnie nie jego sprawa.

- Jednak chodzi o tę kobietę. Teraz to widzę. - W melodyjnym głosie Jacqueline pojawiła się ironia. - *Mais pourquoi?* - Co może cię interesować w tej chudej tyce z Yorkshire? Przecież nie brak ci pieniędzy?

- Nie lubię wysokich, chudych Angielek - stwierdził stanowczo Yves. - Jakże by? - Uśmiechnął się uwodzicielsko i powiedział to, czego od niego oczekiwano: - Ja uwielbiam drobne, ciemnowłose Francuzki takie jak ty: kobiety o czarnych oczach, w których mężczyzna gotów jest z radością zatonać i zginać.

Nie było to zupełne kłamstwo. Gardząc wyrażeniem Jacqueline, Yves czuł pociąg do kobiety, która wyglądem tak bardzo przypominała mu jego ukochaną Amalię.

Milczał przez chwilę.

- Zauważyłem jednak, że bardzo dużo wiesz o sprawach hrabiego. Czyżbym powinien być zazdrosny?

Jacqueline niedbale wzruszyła szczupłymi ramionami.

- Hrabia Fairborne zakochał się we mnie jak szaleniec w chwili, gdy mnie ujrzał po raz pierwszy - stwierdziła z typowym dla siebie brakiem skromności. - Ale między nami wszystko skończone.

Yves przybrał zaskoczony wyraz twarzy, chociaż, prawdę mówiąc, właśnie jej związek z hrabią był przyczyną, dla której się nią w ogóle zainteresował. Czekał tylko na stosowną chwilę, by dowiedzieć się więcej o jej byłym protektorze.

- Musi być głupcem, dając ci wakacje - powiedział żartobliwie.

Jacqueline błysnęła gniewnie oczami.

- To nie on dał mi wolne, tylko ja jemu, kiedy nie opłacił mi mieszkania i krawcowej. Cóż miałam począć? Widać było, że nie stać go na utrzymanie kobiety o moich potrzebach.

- A kiedy to się stało?

- Czynsz był płatny pierwszego dnia czerwca. Uwierzysz, że musiałam go sama uiścić, a także wynagrodzić krawcową. Inaczej ta niedobra kobieta nie wykończyłaby mi sukni na doroczny bal półświatka. - Westchnęła. - Jakież to smutne. Bardzo lubiłam Edgara i zgodziłam się go przyjąć z powrotem, gdy zdobędzie majątek, poślubiając tę bogatą pannę.

Yves popatrzył z niesmakiem na uroczą kobietę uwieszoną u jego ramienia.

- Wydaje mi się to nie bardzo fair wobec tej panny.

Z różanych ust Jacqueline wydobył się perlisty śmiech.

- Od kiedy to hrabia de Rochemont stał się taki wrażliwy? - Uniosła delikatną brew. - A z jakiegoż innego powodu można by poślubić taką kobietę?

- Prawdę mówiąc, sam nie wiem - powiedział szybko Yves.

Jacqueline Esquare była nieziemsko piękną kobietą, ale zarazem podstępna kokietką biegłą w sztuczkach, dzięki którym stała się najbardziej poszukiwaną kurtyzaną Londynu. Lepiej więc nie przyznawać się przed nią, że pocałunek złożony na ustach niepięknej starej panny, jaką była Rachel Barton, przypawił go o zawrót głowy niczym jakiegoś zupełnie zielonego młodzika. Jacqueline była niechętnie nastawiona do brzydkich kobiet. Wie-

dział, że plamą na jej honorze stał się fakt, iż opieką tak wysoko postawionych osobistości, jak księżę Wellington i księżę Argyll, cieszyła się jej zupełnie nieciekawa rywalka nazwiskiem Harriette Wilson.

Jak podejrzewał, urazę powiększało także to, że dzięki szczodroblewości jednego ze swych opiekunów Harriette miała własną lożę w teatrze na Drury Lane, gdzie regularnie pojawiała się na oczach całego modnego Londynu. Yves był skłonny wynająć lożę dla Jacqueline, gdyby udało mu się w ten sposób zmusić hrabiego Fairborne do jakiegoś nieprze-myślanego czynu.

Jacqueline spuściła swe nieprawdopodobnie długie rzęsy.

- Ale może go nie zechcę z powrotem, jeśli mi nie ładnie poprosisz, *cheri*.

Yves zaśmiał się.

- Pod warunkiem, że nie skończą mi się pieniądze.

- Wybacz. - Jacqueline z urazą pociągnęła nosem. - Nie urodziłam się bogata, tak jak ty. Nie mogę pozwolić sobie na sentymenty, gdy muszę zachowywać pozory, a zarazem oszczędzać na staro lata. Wątpię, czy którykolwiek z panów ubiegających się dzisiaj o moje względy zechciałby mnie utrzymywać, gdy stracę urodę.

Rozumowanie to nie było pozbawione logiki. Yves zatrzymał się na chwilę w cieniu, aby podnieść jej smukłe palce do swych warg.

- Podziwiam twą galijską praktyczność, Jacqueline - wyszeptał. Równocześnie jednak zastanawiał się, czy podejrzenia lorda Castlereagh wobec Fairborne'a są uzasadnione. Czy mężczyzna zamierzający bez-

względnie oskubać Rachel Barton z jej fortuny, aby móc zaspokajać zachcianki pięknej kurtyzany, jest tym samym człowiekiem, który spowodował śmierć Amalii?

Zmroziła go pewna myśl. Jeśli jest to ten sam człowiek i jeśli Castlereagh poprawnie interpretował prawo angielskie, Fairborne pozbędzie się brzydkiej panny zaraz po podpisaniu kontraktu ślubnego. A w takim wypadku naiwna prowincjuszka może utracić znacznie więcej niż tylko majątek.

3

Po bezsennej, niespokojnej nocy Rachel wstała z pościeli, gotowa wyznać hrabiemu prawdę. O ileż łatwiej by jej jednak było, gdyby potrafiła podać rozsądny powód, dla którego czyni to dopiero teraz, kiedy upłynęło już sporo czasu od chwili, gdy zaskoczyła hrabiego de Rochemont na przeszukiwaniu biurka Edgara w bibliotece.

Wielokrotnie ćwiczyła swoje upokarzające kwestie:

- Ach, milordzie, zapomniałam o tym wspomnieć wcześniej... - albo: - Od jakiegoś czasu chciałam coś panu powiedzieć... - Jednak każda następna brzmiała jeszcze gorzej niż poprzednia.

Wreszcie postanowiła, że powie hrabiemu to bez żadnych wstępów. Co za pech! Tyle lat czekała na propozycję małżeństwa, a teraz musi zaryzykować, że zrazi do siebie najszlachetniejszego z ludzi tylko dlatego, że przystojny nieznajomy pocałował ją i zmałił jej rozum. O tym jednakże nie miała zamiaru wspominać.

Ponura, ale zdeterminowana weszła do pokoju śniadaniowego, gdzie lokaj wręczył jej liścik. Hrabia zawiadamiał ją, że musiał udać się do miasta w interesach, ale wróci na kolację. Dodawał też, że

jego powóz jest do jej dyspozycji, i życzył przyjemnego dnia.

- A niech to licho! - mruknęła i nalała, sobie filiżankę herbaty, by uspokoić wzburzone nerwy. Teraz będzie musiała dusić się we własnym sosie *przez* kolejnych dziesięć czy dwanaście godzin. Wyrzuty sumienia były dla niej czymś nowym i bardzo niemiłym.

- A więc czym będziemy się zajmować do powrotu hrabiego? - zapytała Verity, gdy Rachel pokazała jej list.

Rachel zastanawiała się przez chwilę.

- Chętnie pojechałabym do księgarni Hatcharda. Mam listę książek, które chciałabym zabrać do Yorkshire. A potem, jeśli starczy mi czasu, poszłabym do Biblioteki Sztuki Ackermana albo może zwiedziłabym Opactwo Westminsterskie.

- Mój Boże, co za nudy! - Verity aż się otrząsnęła. - W takim razie będę musiała cię prosić o zwolnienie mnie na dzisiaj z obowiązku towarzyszenia ci i pójść do łóżka. Czuję, że zaraz rozboli mnie głowa.

- Bardzo rozsądnie - zgodziła się Rachel, ciesząc się z wolnego dnia bardziej niż skłonna byłaby przyznać. Szybko wezwała powóz i pobiegła do swojej sypialni po czepek i rękawiczki, zanim Verity zdąży zmienić zdanie.

- Do księgarni Hatcharda, proszę - poleciła młodemu woźnicy.

Ten spojrział na nią tępo, a jego okrągła, piegowata twarz wyrażała zdziwienie.

- A wie panienka, gdzie to jest?

- Powiedziano mi, że na Piccadilly Street.

- To już wiem, panienko. Znam Piccadilly jak własną kieszeń. Często woziłem tam hrabiego. - Poodrapał się po głowie. - Ale nigdy do księgarni.

Jakie to dziwne, pomyślała Rachel. Kiedy powiedziała Edgarowi, że zamierza odwiedzić Hatcharda, odparł, że jest to jego ulubiona księgarnia. Jednak oprawne w skórę tomy, które zapełniały jego bibliotekę, świadczyły o tym, że zapewne po prostu gustuje on przede wszystkim w klasykach, których wszystkie dzieła już posiada.

Znając szlachetność hrabiego, uznała, że po prostu nie chciał sprawić jej przykrości uświadomieniem jej, że tak eklektyczną księgarnię może odwiedzać tylko ktoś, kto z równą przyjemnością czyta dzieła Platona, jak powieści Fanny Burney. Po raz kolejny Rachel zadziwiło, co taki bogaty, elegancki mężczyzna jak hrabia Fairborne mógł dostrzec w nieciekawej plebejuszce z Yorkshire jak ona.

Znalazłszy się na miejscu, Rachel stwierdziła, że sława księgarni Hatcharda jest w pełni zasłużona. Oczarowana widokiem niekończących się półek zastawionych najrozmaitszymi książkami, stała w wejściu i upajała się zapachem skóry, papieru i druku, dopóki nie spostrzegła, że zwraca na siebie uwagę innych klientów.

Znalazła więc sobie prędko mały wózek, pozostawiony w pobliżu przez jednego z subiektów, i powędrowała wzdłuż półek, gromadząc książki ze swojej listy i jeszcze tuzin innych, które miały zapewnić jej rozrywkę podczas długich zimowych wieczorów.

Po upływie, jak jej się zdawało, chwili, spojrzała

na swój zegarek przypięty do paska i zamrugała ze zdziwienia. Okazało się, że jej czarowne zajęcie trwa już ponad dwie godziny, a tymczasem nieszczęsny woźnica i para pełnych życia koni czekają na nią w kurzu i upale.

Przytłoczona poczuciem winy pospieszyła ze swą cenną kolekcją do wyjścia i zdążyła usłyszeć znajomy niski głos, mówiący do subiekta przy ladzie:

- Czy macie już może książkę, którą zamówiłem w zeszły wtorek?

Rachel z trudem zatrzymała przepełniony wózek, wysypując przy tym cztery książki na podłogę.

- Mamy, panie - odparł subiekt - oto ona: „Legenda o kawalerze de Bayard” Christiana Trencholm.

- *Chevalier sans peur et sans reproche**. Ciekawe, w jakim świetle przedstawi Anglik jednego z największych bohaterów Francji. Ile jestem panu winien?

Rachel nie dosłyszała odpowiedzi subiekta. Porzucając swój bagaż, ukryła się pośród półek i pozostała tam, dopóki nie usłyszała, jak za Francuzem zamykają się drzwi. Wtedy z bijącym sercem cichutko wróciła do wózek, podniosła książki i ruszyła w stronę kontuaru.

Gdy była już blisko, subiekt podniósł na nią oczy.

- Wielkie nieba, pani, pozwól, że ja się tym zajmę!
- wykrzyknął. Podbiegł do Rachel i wyjął uchwyt wózka z jej rąk. - Zapewniam panią, że Hatchard nie oczekuje, iż jego klientki będą pracowały fizycznie. Mamy do tego subiektów, którzy chętnie pomogą.

* *Chevalier sans peur et sans reproche* (fr.). - Rycerz bez trwogi i skazy (przyp. tłum.).

Oblawszy się rumieńcem, Rachel dyskretnie rozejrzała się dookoła i stwierdziła, że oczy wszystkich skierowane są na nią. Ona zaś była przyzwyczajona radzić sobie sama i nie przyszło jej do głowy, że żadna londyńska dama nawet nie wpadłaby na to, żeby postąpić w taki sposób.

Na domiar złego subiekt, który ruszył jej na pomoc, był bardzo niewysokiego wzrostu. Czubek jego głowy sięgał zaledwie do ramienia Rachel. Prawdę mówiąc, idąc za nim do kontuaru, czuła się jak słoń prowadzony przez mysz.

Za plecami słyszała szmer głosów, a także śmiech. Słowa „amazonka” i „plebejuszka” sprawiły, że jej uszy i policzki zapłonęły żywą czerwiecią. Dawno już nauczyła się nie słuchać komentarzy na temat swojego niezwykłego wzrostu. Tu jednak było inaczej: trudno zignorować fakt narażenia się na posmiewisko ze strony złośliwych londyńczyków z powodu prostego, wiejskiego zachowania. W ich oczach Rachel popełniła monstrualną gafę i nie pozostawało jej nic innego, jak zacisnąć zęby i czekać cierpliwie, aż subiekt powoli i starannie zsumuje ceny jej rozlicznych nabytków.

Nareszcie cała transakcja została zapisana i policzona, a dwóm pomocnikom polecono przenieść zakupy do powozu.

- Hatchard uniżenie dziękuje jaśnie panience za odwiedzenie naszego sklepu - powiedział subiekt z powagą. Ale wąsik zadrgał mu podejrzanie i męczyzna jeszcze bardziej niż dotychczas stał się podobny do myszy.

Rachel rzuciła mu spojrzenie, które wywołało

krwisty rumieniec na jego zapadniętych policzkach, uniosła dumnie głowę i wyszła ze sklepu z całą godnością, na jaką ją było stać.

- Połóżcie paczki na przednim siedzeniu - poleciła pomocnikom i zaczęła obok powozu, aż się uporają ze swoim zadaniem.

- To wszystko, proszę panienki? - zapytał jeden z nich.

- Tak, dziękuję - odparła, ale oni jakby czekali na coś jeszcze.

- Domyślam się, że chodzi wam o to. - Francuz, z którym Rachel za wszelką cenę nie chciała się spotkać, oderwał się od słupka latarni i rzucił każdemu z pomocników monetę.

- To za usługę - powiedział, uśmiechając się do Rachel. - Tak się przyjęło i w Londynie, i w Paryżu. Gdyby nie to, ci nieszczęśnicy nie byłiby w stanie się wyżywić.

Uchylając bobrowej czapki, ukłonił się Rachel dwornie tak samo jak wtedy, gdy żegnał ją w bibliotece hrabiego.

- Dzień dobry, panno Barton. Miło mi znowu panią spotkać.

- D-dzień dobry - wyjąkała Rachel, czując, że serce wali jej jak młotem.

- Cóż za szczęśliwy przypadek, że odwiedziliśmy Hatcharda o tej samej porze - zauważył. Jednak przekorny błysk stalowych oczu sprawił, że Rachel zwątpiła, aby ich spotkanie było rzeczywiście przypadkowe. Myśl, że tajemniczy francuski hrabia śledzi jej poczynania, przyprawił ją o dreszcz niepokoju.

- Pani pozwoli - zaczął, gdy skierowała się ku powozowi. Ujął ją pod łokieć i pomógł jej wsiąść z taką łatwością, jakby była lekka jak piórko, a potem cofnął się o krok.

- Dziękuję - szepnęła, zastanawiając się, w jaki sposób poznał jej nazwisko, aż wreszcie przyszło jej do głowy, że szpiedzy mają na to swoje metody.

- Dokąd teraz, panienko? - zapytał cierpliwie woźnica, zaglądając przez otwór w dachu powozu.

Miała ochotę powiedzieć: „Na Grosvenor Square”. Ale nic z tego. Nawet jeśli tajemniczy Francuz przyprowadził ją o niepokój, nie da mu się zastraszyć i nie zaszyje się z jego powodu w murach domu.

- Wiesz, gdzie jest Biblioteka Sztuki Ackermana? - zapytała.

- Nie, panienko, nie wiem.

- A Opactwo Westminsterskie?

Woźnica uśmiechnął się.

- Tak, panienko, to wiem, jak każdy, kto może zwać się londyńczykiem. Do Opactwa? Będziemy tam ino mig.

Rachel odczekała, aż zamknie klapę i ruszy, a potem ostrożnie wyrzała przez okno. Hrabia de Rochemont stał na chodniku i marszcząc w zamyśleniu czoło, przypatrywał się odjeżdżającemu powozowi.

Przeszedł ją dreszcz. Dlaczego ten tajemniczy Francuz wywiera na nią taki dziwny wpływ? Dlaczego jego najlżejsze dotknięcie budzi w niej sensację, jakich dotychczas nigdy nie doznawała? Nawet teraz, gdy miała wobec niego najczarniejsze podejrzania, czuła, że ciało jej pulsuje w miejscu, gdzie

dotknęła go jego dłoń, a nogi jej drżą zupełnie tak jak tamtej nocy w bibliotece.

Rachel niewiele wiedziała o mężczyznach. Verity ostrzegała ją jednak, że w Londynie jest mnóstwo przystojnych, pozbawionych skrupułów hulaków, którzy są w stanie skłonić każdą porządną kobietę do porzucenia zasad uczciwości. Musiała przyznać, że jednym z nich jest z pewnością stalowooki Francuz, albowiem ona sama wyrzekła się kilku swoich zasad już po jednym z nim pocałunku.

Ma to jednak za sobą. Rzuciła Francuzowi ostatnie spojrzenie i postanowiła skazać go na zapomnienie, a potem, oparłszy się wygodnie o miękkie poduszki powozu, przysięgła sobie jak najmiej spędzić każdą pozostałą chwilę tego dnia. Mając jednak w pamięci to, co zamierzała wyznać Edgarrowi, kiedy się z nim spotka, obawiała się, że wieczór może nie okazać się specjalnie przyjemny.

Yves patrzył, jak ciemnozielony powóz hrabiego Fairborne oddala się od krawężnika, pozostawiając chłopakowi od Hatcharda uprzątnięcie kupki końskiego łajna.

- Korzystaj z luksusów, dopóki zdołasz, panienko - mruknął, obserwując pojazd znikający pośród wielu innych na ruchliwej ulicy. Tego ranka dowiedział się, że chociaż hrabia posiada ten kosztowny ekwipaż już od roku, nie zapłacił za niego jeszcze ani pensa.

Jeśli nie nastąpi cud, panowie Browne and Forbes, Ltd., wkrótce postarają się odzyskać swoją własność, a gdy to nastąpi, wszyscy pozostali wierzyciele spad-

ną na hrabiego niczym sępy na kawał ścierwa. Yves zamierzał zadbać, aby pewna niepiękna dziedziczka z Yorkshire nie sprawiła cudu, dając Fairborne'owi dostęp do swojej fortuny.

Miał już do czynienia z ludźmi typu hrabiego na dworze cesarza. Im bardziej brakowało im pieniędzy, tym łatwiej stawali się nieostrożni... a nieostrożni ludzie często popełniają błędy.

Kiedy Fairborne poszkapi, Yves będzie czekał w pobliżu. Jeśli okaże się, że rzeczywiście to on jest zdrajcą odpowiedzialnym za śmierć Amalii, Yves postara się, aby bez rozgłosu znalazł się na Ziemi van Diemena. Jeśli jednak jest tylko głupcem o nadmiernym zamiłowaniu do hazardu i francuskich dziwek, to zupełnie co innego.

Ale po kolei. Yves doskonale zdawał sobie sprawę, że potrzebuje pomocy Rachel Barton, aby dokończyć śledztwo w sprawie Fairborne'a i w związku z tym musi porozmawiać z nią poważnie. Kusiło go ogromnie, żeby pojechać za nią do Opactwa Westminsterskiego, ale zrezygnował z tego pomysłu. Wyraz jej twarzy powiedział mu, że ma się przed nim na baczności, więc lepiej nie pogarszać sprawy, jawnie tam za nią podążając.

Wzruszył ramionami. Kolejne „przypadkowe” spotkanie można będzie zaaranżować z łatwością, jeśli naiwna prowincjuszka będzie nadal wędrować po Londynie bez swej podstarzałej towarzyszki albo chociaż pokojówki, jak przystało na dobrze ułożoną pannę. Wystarczyło tylko systematycznie wynagradzać słabo opłacanego przez hrabiego lokaja, aby wiedzieć, jak dama zamierza spędzać czas.

Czym jednak ma przekonać tę nieurodziwą plebejuskę, żeby nie skorzystała z szansy poślubienia przystojnego, czarującego kawalera? Pamiętając, jak wspaniałomyślnie odniosła się do niego, choć miała prawo przypuszczać, że jest pospolitym złodziejem, Yves podejrzewał, że jest zbyt ufna i dobra, by pojąć zło, jakie czai się w sercach łotrów podobnych Fairborne'owi.

A potem przypomniał sobie jeszcze coś. Rachel odpowiedziała na jego pocałunek jak namiętna, lecz nierozbudzona jeszcze kobieta... a więc hrabia nie zdążył posunąć się za daleko. Jeśli wierzyć lokajowi, starając się o względy Rachel, Fairborne odgrywał rolę idealnego dżentelmena.

Kobieta taka jak ona byłaby bardzo podatna na uwodzicielski wdzięk doświadczonego dandysa... a mało który mężczyzna dorównywał Yvesowi w tej sztuce, nabytej na rozpustnym dworze cesarza. Jeśli nie będzie miał innej możliwości, po prostu ją uwiedzie.

Yves wiedział, że nie jest to rozwiązanie godne człowieka honoru, i w normalnej sytuacji nigdy by się do czegoś takiego nie posunął. Nie gustował także we wprowadzaniu w tajniki miłości niedoświadczonych panien.

Jednak nietypowe sytuacje wymagają niezwykłych środków. Yves pocieszał się myślą, że nieurodziwą dziedziczka lepiej wyjdzie, tracąc dla niego cnotę, niż gdyby miała stracić nie tylko to, ale także swoją fortunę, a może także i życie przez Fairborne'a, jeśli okaże się on poszukiwanym przez Yves'a nikczemnikiem.

Rachel dawno nie odczuwała takiej frustracji. Hrabia nie wrócił na obiad, mimo że obiecywał. Nie pojawił się także nawet wtedy, gdy poszły z Verity spać, ani nawet o północy, gdy Rachel odłożyła książkę i zgasiła świeczkę. Jednak musiał w końcu pojawić się w domu, bo gdy następnego ranka weszła do pokoju śniadaniowego, lokaj czekał z liścikiem od niego.

Edgar przeproszał za kolejny dzień nieobecności przy jej boku i zapewniał, że zakończy swoje niecierpiące zwłoki interesy na mieście tak wcześnie, że zdąży udać się z nią do teatru wieczorem.

- Czymże mam się zajmować, zanim wróci? - mruknęła Rachel, podając liścik Verity.

- Gdybyś miała choć trochę rozumu, spędziłabyś czas, nabywając stosowne stroje - odparła Verity, poprawiając czepek na swych siwych włosach. - Skoro hrabia tak się zachwycał zwykłym koronkowym kołnierzykiem, jadłby ci z ręki, gdybyś sprawiła sobie kilka modnych sukien u dobrej krawcowej.

- Ani przez chwilę nie pragnęłam, aby jakkolwiek męczyzna jadł mi z ręki - zaprotestowała Rachel. - A suknie, które mam, są wystarczająco strojne jak na Yorkshire. Najbardziej potrzebuję nowego czepka do kościoła i może kolorowego szala do mojej najlepszej sukni z szarego perkalu.

Verity wybrała sobie następną bułeczkę, przełamała ją i obficie posmarowała masłem, a potem dżemem morelowym.

- Do takich lichych zakupów moja pomoc nie jest ci potrzebna. Poza tym kości łamią mnie na deszcz, a moje zdrowie stało się zbyt delikatne,

bym mogła biegać od sklepu do sklepu przy takiej pogodzie.

Rachel nie mogła uwierzyć swemu szczęściu. Ma kolejny cały dzień dla siebie! Poczowała wyrzuty sumienia, że zostawia Verity samą... do tego stopnia, że zaproponowała jej, aby odwiedziła swoją niezamężną siostrę.

- Jestem pewna, że panna Patience z przyjemnością się z tobą zobaczy - powiedziała. - Polecę woźnicy, żeby zostawił mnie na Bond Street i wrócił po mnie po trzech godzinach. W tym czasie zawiezie cię na Bloomsbury Square.

Cudownym zrzędzeniem „delikatne zdrowie” Verity poprawiło się natychmiast na myśl o wizycie u ulubionej krewniaczki, dzięki czemu Rachel mogła rozkoszować się wolnym dniem bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

W ten sposób w dwie godziny później znalazła się sama na Bond Street, podziwiając wystawę sklepu z czepkami, który poleciła jej pokojówka. W porównaniu z innymi sklepami na tej ulicy sprawiał wrażenie bardzo skromne, ale Mary zapewniała, że właśnie tu kupują swoje czepki najmodniejsze damy Londynu.

Dyskretny szyld z napisem CZEPKI MADAME FRANCINE znajdował się w rogu niewielkiej wystawy, przypominając Rachel, że modystka jest emigrantką z Paryża... jedną z wielu. Mary mówiła, że każdy dobry kucharz w Londynie to Francuz, a każda modystka i krawcowa to Francuzka.

- Ale co to nam przeszkadza, panienko? - zapytała niewinnie pokojówka. - Przecież wojna z żabojadami już się skończyła.

Rachel miała powody, by wątpić w prawdziwość tego twierdzenia, ale musiała przyznać, że czepki na wystawie madame Francine były wspaniałe. Zwłaszcza jeden z nich spodobał jej się szczególnie. Wykonany z lśniącej, bladzielonej słomki miał płaski wierzch ozdobiony różami z żółtego jedwabiu, wąskie rondo oraz ciemnozielone aksamitne wstążki do zawiązywania pod brodą. Prawdziwa nowość, a poza tym doskonale tuszowałaby jej wzrost. Bez chwili wahania weszła do maleńkiego sklepiku i spytała, czy może przymierzyć to чудо.

Panna Francine wyglądała zupełnie inaczej niż Rachel sobie wyobrażała. Była nieduża, a jej zdeformowana figura przywodziła na myśl gnoma. Miała małe, brązowe oczka, a jej włosy były czarne i lśniące jak heban. W pierwszej chwili Rachel uznała, że przypomina raczej złą czarownicę z bajek dla dzieci niż słynną modystkę.

Jednak wkrótce się przekonała, że pozory mylą. Z niezwykłą jak na swoje kalectwo zręcznością madame pozbawiła Rachel parasolki, którą ta wzięła ze sobą w wyniku nalegań Verity, usadowiła ją na krześle przed jedynym lustrem, jakie znajdowało się w sklepie, i zdjęła czepkę z wystawy. Potem, z precyzją artysty tworzącego arcydzieło, umieściła zielonożółte чудо na głowie Rachel i zawiązała wstążkę pod brodą.

Rachel wstrzymała oddech, gdy modystka cofnęła się o krok, by podziwiać swoje dzieło. Miała wrażenie, że gdyby madame nie była zadowolona z rezultatu, po prostu odmówiłaby sprzedaży czepka... a z niezupełnie jasnych dla samej siebie przyczyn Rachel pragnęła nabyć ten właśnie.

- Mademoiselle zrobiła doskonały wybór - powiedziała po chwili madame, mówiąc z silnym francuskim akcentem, a Rachel poczuła nieoczekiwany dreszcz zadowolenia.

Jakby chcąc upewnić się co do słuszności swego sądu, modystka, opierając się o laskę, przeszła się kilka razy po małym pokoiku, przyglądając się Rachel pod różnymi kątami, aż wreszcie stwierdziła z powagą:

- To jest doskonały czepek dla takiej wysokiej kobiety, smukłej jak gałązka wierzby.

Smukłej. Jakie to piękne słowo. Rachel rozpromieniła się. Dotychczas najwyżej mówiono na nią „chuda sawantka”, a wolała nie pamiętać innych, znacznie mniej pochlebnych określeń.

- Kupuję go - powiedziała, uśmiechając się do swego odbicia w lustrze. Nie miała najmniejszych wątpliwości: od szyi w górę wyglądała naprawdę elegancko.

- To bardzo roztropna decyzja i z pewnością mademoiselle zechce go nosić od razu. - Z wypisanym na twarzy niesmakiem madame Francine ułokowała stary czepek Rachel w pudełku na kapelusze i zawiązała je sznurkiem. - Gdyby mademoiselle zechciała mi teraz podać adres mężczyzny, któremu mam wysłać rachunek, nasza transakcja zostanie ku obopólnemu zadowoleniu zakończona.

Rachel uniosła brwi.

- Żaden mężczyzna nie odpowiada za moje zakupy. Jak pani jestem kobietą interesu i sama płacę swoje rachunki - stwierdziła, a potem omal nie zemdląca, gdy madame podała jej żadaną kwotę.

Ostrzegano Rachel, że w Londynie ceny są zawrotne, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że jeden nieduży czepek może kosztować więcej niż trzy suknie, które uszyła jej krawcowa w Yorkshire. Ale było już za późno. Ujrzała swoje odbicie w lustrze i tym razem jej kobiecy instynkt wziął górę nad zmysłem praktycznym. z determinacją sięgnęła do woreczka i odliczyła żadaną kwotę.

Ciemne oczy madame rozszerzyły się ze zdziwienia, gdy klientka wyjmowała pieniądze.

- To rzadkość, aby klient płacił tak prędko. Większość pań, które kupują moje czepki, to żony lub kochanki szlachetnie urodzonych panów, i podstawowa zasada brzmi: im wyższy tytuł, tym dłużej muszę czekać na pieniądze.

- Dobrze więc się składa, że nie mam w żyłach ani kropli błękitnej krwi.

- Nawet bardziej niż panienka myśli. Pieniądze, które mi zapłaciłaś, przeznaczone są na czynsz za tę mysia dziurę, w której tworzę moje arcydzieła. - Z uśmiechem zadowolenia madame umieściła pieniądze w metalowej puszcze, którą zamknęła na klucz zawieszony na łańcuszku na szyi.

- A teraz, mademoiselle, za to, że byłaś wobec mnie tak rzetelna, wynagrodzę cię dobrą radą, zupełnie za darmo.

- Radą? Na jaki temat, madame?

- Mam, jak to się nazywa w branży, „dobre oko” i widzę wyraźnie, że w tej brązowej, zapiętej pod szyję sukni nie jest pani do twarzy. Chowa pani, jak to mówią, swoje „światło” pod tym okropnym strojem.

Rachel zarumieniła się.

- Posiadam przędzalnię w Yorkshire, madame Francine. Przejrzyste tkaniny i głębokie dekolty tak lubiane przez panie z londyńskiego towarzystwa dla mnie się nie nadają. Moja krawcowa ma jeden wykrój, który pasuje na moją figurę, i kiedy potrzebuję nowej sukni, wykonuje ją według niego w dowolnym kolorze i z dowolnego materiału.

Madame wzruszyła ramionami.

- To przynajmniej niech te suknie z dekoltem do uszu będą wykonane z dobrych tkanin i w pięknych kolorach. Na pewno nawet na prowincji można nosić ładne kolory.

Rachel nie mogła temu zaprzeczyć. Nie uważała jednak za stosowne przyznawać się, że uważa, iż ponure kolory tuszują jej wysoki wzrost. W końcu madame tak pięknie go określiła.

Małeńka modystka uznała jednak jej milczenie za zachętę do dalszych rad. Spośród zwojów materiału leżących na stole opodal wybrała kawałek błękitnego aksamitu i przytrzymała pod brodą Rachel. Potem znalazła jedwab o barwie wiosennej trawy.

- Tak jak myślałam - stwierdziła. - To są kolory, które powinnaś nosić - barwy, którymi natura otacza twój odpowiednik - wierzbę, a nie kolor ziemi, w której rośnie.

Rachel zachichotała w duchu, słysząc to sformułowanie. Musiała jednak przyznać, że porównanie było bardzo obrazowe.

Madame przechyliła głowę i przyjrzała się Rachel badawczo.

- Nie zostaniesz nigdy jedną z tych porcelanowych piękności, które Anglicy tak sobie upodobali

- rzekła z powagą. - Jednak przy odrobinie wysiłku będziesz wyglądać niezwykle, jak może tylko ktoś twojego wspaniałego wzrostu. - Westchnęła. - Ileż bym dała za to, by mieć takie długie nogi i proste plecy. Ale widzę, że moje propozycje są zbyt radykalne. Dobrze więc, zacznij od noszenia kolorowego jedwabnego szala na tych ponurych sukniach, dopóki nie nabierzesz więcej odwagi.

Rachel zmarszczyła brwi. Nigdy nie utożsamiała pragnienia, by stać się niezauważalną, z tchórzostwem. Po prostu pogodziła się z tym, kim jest i jak wygląda, i zgodnie z tym postępowała.

Ale przecież to nie jest sprawa madame Francine. Odsuwając od siebie swe niepokojące myśli, Rachel uśmiechnęła się do maleńkiej kobiety.

- Dziękuję pani za jej mądre rady, a prawdę mówiąc, chciałam dzisiaj kupić i czepek, i szal.

- Więc niech panienka koniecznie tak zrobi. Ale niechże ten szal będzie równie idealny jak mój czepek. Doskonałość potrafi czynić cuda.

Rachel kiwnęła głową.

- Obiecuję nie zawieść pani - powiedziała, sięgając po pudło ze starym czepkiem i parasolkę. Pożegnała się z karzełkowatą modystką i wyszła na Bond Street. Zamierzała poświęcić jeszcze jakieś dwie godzinki na zwiedzanie sklepów.

Niestety tylko na to sobie mogła w danej chwili pozwolić, gdyż po zakupie kosztownego czepka w woreczku miała zaledwie kilkanaście pensów. Cóż, jeśli spodoba jej się jakiś szal, może zawsze wrócić po niego jutro.

Teraz zostało jej jeszcze masę wolnego czasu:

luksus, z którego zamierzała w pełni skorzystać. I tak uczyniła: wędrowała od sklepu do sklepu, delektując się widokiem cudownych przedmiotów na wystawach.

Oderwała wzrok od szczególnie interesującej wystawy i stwierdziła, że dwie modnie ubrane panie po drugiej stronie ulicy patrzą na nią, jakby była jakimś dziwadłem. Przyszło jej do głowy, że przez ostatnich kilka minut ludzie zwracali na nią uwagę znacznie częściej niż dotychczas. Dwóch elegancko ubranych dżentelmenów posunęło się nawet do tego, że uchyliłi jej kapelusza z bardzo przyjacielskim uśmiechem.

Co mogło spowodować takie zainteresowanie londyńczyków jej skromną osobą? Od pierwszej chwili sprawiali na niej wrażenie ludzi nieprzyjemnych i zarozumiałych. To niemożliwe, aby nowy czepek mógł wywołać taką zmianę. Chyba że jest to „idealny czepek” madame Francine.

Zachichotała. Jeśli właściwy czepek może czynić tak dużą różnicę, to co się stanie, jeśli przypadkiem znajdzie dla siebie idealny szal? Czy cud, obiecywany przez małą Francuzkę, naprawdę się ziści?

Z niepojętym przeczuciem, że zaraz nastąpi coś niezwykłego, Rachel szła dalej Bond Street, z uwagą oglądając wszystkie po drodze okna wystawowe. W końcu, gdy już miała zawracać i skierować się do miejsca, gdzie umówiła się z woźnicą, natrafiła na sklepik równie mały jak zakład madame Francine, wciśnięty między dwa spore budynki.

Wystawa była nieduża: wystarczyło tam miejsca na tylko jeden przedmiot: jedwabny szal tak pięk-

ny, że Rachel dosłownie zaparło dech. Cudowne, delikatne, żółte i białe różyczki pokrywały bladozielone tło o odcieniu takim samym jak jej czepek, a szerokie frędzle w ciemniejszej zieleni wykańczały brzegi.

To był ten „idealny szal”, który zaleciła jej znaleźć madame Francine. Tak samo jak w przypadku czepka, Rachel poczuła nieprzewartą chęć, by mieć go na własność. Było to tym dziwniejsze, że nigdy dotąd nie przejawiała najmniejszego zainteresowania tego rodzaju wyrobami.

Jednak było coś w tym jedwabistym szalu, co przemówiło do umiłowania piękna głęboko ukrytego w duszy Rachel, tak samo jak kwiaty w jej ogrodzie i obrazy na ścianach domu w Yorkshire.

Gdyby miała przy sobie pieniądze, weszła by do sklepu i dokonała natychmiastowego zakupu, bez względu na cenę. Ale tak, musiała wracać do domu i sięgnąć po „pieniądze na czarną godzinę” ukryte w czubku jednego z jej bucików. Nie śmiała czekać, bo do jutra ktoś inny mógłby kupić jej „idealny szal”.

Oderwała się od wystawy, zamierzając natychmiast wracać do miejsca, gdzie się umówiła z woźnicą, gdy tymczasem z przeciwka nadeszło trzech młodzieńców. Nosili misternie związane krawatki, niebotycznie wysokie kołnierzyki i kwieciste kamizelki, więc Rachel uznała, że ma do czynienia z przykładem tego, co Edgar nazwał modnymi młodzieńcami z towarzystwa, pokazując jej w Vauxhall podobnie odzianych młodych zuchów.

- No i co my też tu mamy? - zapytał jeden z nich, przyszczaty chłopak w morwowej barwy tużurku

o guzikach wielkości spodka i ramionach o wiele szerszych niż mogła go obdarzyć natura.

- Czyżbyś stracił wzrok, Percy? Na Jowisza, to prawdziwa Amazonka, a do tego, jak się wydaje, plebejuszka. - Najwyższy z trójki, którego Rachel i tak przerastała o głowę, zdjął swą bobrową czapkę i wykonał nią głęboki ukłon. - Do usług, panno plebejuszko - powiedział z szyderczą powagą.

Ten, którego nazwano Percy, podniósł do oczu lognon.

- Słowo daje, masz rację, Clyde.

Trzeci, najniższy wzrostem chłopiec, przyłożył dłoń do ciemnobrazowej prążkowanej kamizelki okrywającej jego chudy tors.

- Na Boga! Chyba się zakochałem! - zawołał i czknął głośno. - Zawsze pożałowałem wysokich kobiet, a pani, madame, jest najwyższą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem.

Rachel ironicznie uniosła brew.

- Pan zaś jest najgorzej wychowanym młodym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałam.

- Tu cię złapała, Reggie - stwierdził młodzian imieniem Percy i wszyscy trzej wybuchnęli gromkim śmiechem.

Rachel instynktownie zakryła nos, chroniąc się przed zapachem przetrawionego alkoholu, który nagle ją owionął.

- Piliście, a jest dopiero pierwsza po południu - stwierdziła chłodno, odsuwając się od wonnego tria pod samo okno wystawy,

- *Au contraire* - Reggie wydobył złoty zegarek z kieszonki kamizelki i podniósł go do oczu. - We-

dług mnie jest wciąż wieczór, a nas czeka jeszcze jedno przyjęcie u znajomego kawalera przy St. James Street. Nalegam, abyś była pani moim gościem. - Zachichotał. - Albo raczej zdobyczą.

- Nie mam najmniejszego zamiaru i będę wdzięczna, jeśli odsuniecie się tak, abym mogła odejść.

Ku zaskoczeniu Rachel natychmiast zbliżyli się do niej jeszcze bardziej, zacieśniając krąg.

Reggie zmrużył złośliwie oczy.

- Śmiesz odrzucać moje zaproszenie? A może nie zdajesz sobie sprawy, że jestem szlachcicem, panno plebejuszko?

- Jak my wszyscy - wtrącił się Clyde. - Czyżby nikt ci nie powiedział, że powinnaś szanować lepszych od siebie?

- Lepszych ode mnie? - Rachel ostatkiem sił panowała nad sobą. Trzej młodzi pankowie najwyraźniej spędzili noc na hulance i byli pijani w sztok. Dostatecznie często widywała w takim stanie swego ojca, by wiedzieć, że nie ma sensu próbować się z nimi porozumieć.

Jednak musi w jakiś sposób pozbyć się tych głupków, zanim narobią jej jeszcze więcej wstydu. Mocniej ujęła rączkę parasolki, ale miała nadzieję, że nie będzie musiała użyć przemocy. Nie chodziło o to, że miała jakieś skrupuły przed nabiciem smarkaczom paru guzów na ich wysoko urodzonych czołach, ale przechodnie zaczynali już się na nią gapić.

- Szukacie guza, młodzi panowie - powiedziała, uznając, że najlepszym rozwiązaniem będzie sprowokować ich do działania. - Oczekuję przyjaciela, który pojawi się lada chwila. Nie będzie zadowolono-

ny, widząc, że mnie niepokoiacie: nie jest to człowiek, którego należy drażnić.

Percy i Clyde objęli się, pozorując przerażenie, a Reggie zaśmiał się w sposób świadczący o tym, że groźba Rachel nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia. Przeciwnie, zbliżył się do niej tak bardzo, że jego nos znalazł się na wysokości jej piersi, a jego gorący oddech przeniknął przez cienką tkaninę jej letniej sukni.

- Drżę ze strachu na myśl o tym twoim „przyjacielu”, panno plebejuszko - powiedział, patrząc na nią szyderczo przekrwionymi oczami.

Rachel zacisnęła palce na rączce parasolki, ale zanim zdążyła ją unieść do ciosu, zbliżyła się do nich znajoma, czarno odziana postać, chwyciła Reggiego za kołnierz i odstawiła o jakieś trzy stopy dalej. Dwaj pozostali pankowie błyskawicznie znaleźli się obok swego kompana.

- Czy te dzieciaki niepokoiły panią, panno Barton? - zapytał mężczyzna niepokojąco groźnym głosem. - Jeśli tak, z przyjemnością pouczę ich, jak należy zachowywać się wobec damy.

Rachel opanowała się.

- To nie będzie konieczne, panie - powiedziała, pragnąc zapaść się pod ziemię na widok rosnącego tłumku gapiów.

Yves St. Armand przeniósł wzrok na trzech winowajców, którzy bladzi i przerażeni patrzyli w milczeniu na wysokiego mężczyznę, który stawił im czoło.

- N-nie chcieliśmy zrobić nic złego - wyjąkał Clyde. - Tylko odrobinę się zabawić, a Reggie jak zwykle posunął się trochę za daleko. Zawsze tak się

dzieje, gdy sobie za dużo wypije. Ale Clyde i ja pilnujemy go. Nie pozwolilibyśmy mu zrobić pani krzywdy.

- Do diaska, gdybym wiedział, że ta plebejuszka ma przyjaciół w towarzystwie... - Reggie wydobył z kieszonki chusteczkę i wytarł spocone czoło. - Nie jestem głupi.

Hrabia zmarszczył brwi.

- Słaba to wymówka. Żaden dżentelmen nie powinien tak traktować jakiegokolwiek kobiety. Z żadnego powodu, a zwłaszcza dla zabawy.

Odwrócił się do Rachel.

- A więc, panno Barton, wystarczą ci przeprosiny, czy mam zażądać satysfakcji?

Rachel przełknęła ślinę.

- Przeprosiny wystarczą - powiedziała i w milczeniu patrzyła, jak jej dręczyciele jeden po drugim kłaniają się i mamroczą coś pod nosem, a potem oddalają się jak zbite psy.

Gdy scena się skończyła, gapie zaczęli się szybko rozchodzić, zostawiając Rachel samą ze swym szlachetnym obrońcą. Na pozór zachowała opanowanie, ale mdlące uczucie w żołądku mówiło jej, że tajemniczy Francuz stanowi o wiele większe zagrożenie dla spokoju jej umysłu niż jakiegokolwiek udręki zadane jej przez aroganckich młodych panów.

4

Gdy Yves i Rachel zostali sami, zapadło między nimi krępujące milczenie. Ona nie raczyła podnieść na niego oczu, ale stała wyprostowana jak struna z dumnie uniesioną głową w pozie bardziej pasującej księżnej niż plebejuszce z Yorkshire.

Po takiej nieprzyjemności każda inna kobieta wpadłaby w histerię. Panna Barton zaś zachowała spokój, a nawet obojętność. Wzbudziło to we Francuzie podziw dla jej dzielności, a może raczej naiwności, w której wyniku wędrowała po Londynie bez odpowiedniej opieki.

Jednak musiał sam przed sobą przyznać, że chyba znalazł się o krok bliżej celu. Dzięki informacjom uzyskiwanym od lokaja Fairborne'a znalazł się we właściwym miejscu o właściwej porze. Czyż nie istnieje lepszy sposób na zdobycie zaufania kobiety niż ocalenie jej od napaści, zwłaszcza gdy jest to prowincjuszka, która usiłuje poradzić sobie z zawiłościami życia w Londynie?

Jakby chcąc potwierdzić, że Yves ma rację, Rachel podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Dziękuję panu za wyratowanie mnie z tej opresji - powiedziała sztywno. - Zapewniam jednak, że nie było to konieczne. Potrafię sama dać sobie radę.

- Doprawdy! - Oczekiwał gorętszych podziękowań za wybawienie z tak kłopotliwej sytuacji. - A jak, jeśli wolno spytać, chciała panna pozbyć się tego niepożądanego towarzystwa?

Podniosła parasolkę.

- Miałam właśnie zamiar nabić guza lub dwa na głowie tego, który nazywa się Reggie, kiedy pojawił się pan. Dwaj pozostali to tchórze i uciekaliby jak zające, widząc klęskę swego prowodyra.

Yves uznał, że Rachel oceniła sytuację bez zarzutu: on też doszedł do identycznych wniosków. Nie sądził jednakże, że kobieta jest w stanie zachować zimną krew w podobnej sytuacji. Uśmiechnął się.

- Mam jednak wrażenie, iż dobrze się stało, że przybyłem na odsiecz.

- Kolejny szczęśliwy zbieg okoliczności? - Rachel przyjrzała mu się, mrużąc oczy. - Niechże pan mi powie, który to ze sług hrabiego dał się przekupić i informuje pana o tym, dokąd się wybieram? I dlaczego to pana interesuje?

Znowu go zaskoczyła. Nie spodziewał się, że nieurodziwa, acz majątna panna może być tak sprytna... i tak śmiała. Powinien być ostrożniejszy wobec tej „plebejuszki”.

- Pani pytania zasługują na odpowiedź, której chętnie udzielę - powiedział z uśmiechem, jak miał nadzieję, przekonująco szczerym. - Zacznijmy jednak od początku. Jak pani wspominała, nasze spotkania były „przypadkowe”, a więc nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Pani pozwoli...

- Wiem, kim pan jest - przerwała - a pan najwyraźniej w świecie orientuje się, kim jestem ja. -

Zmarszczyła brwi. - Chętnie jednak dowiedziała-
bym się, dlaczego ci trzej młodzi pankowie od ra-
zu pana rozpoznali i dlaczego odnieśli się do pana
z szacunkiem. A może lękiem?

Yves skrzywił się.

- Nie jestem nieznany w Londynie. - Prawdę po-
wiedziawszy, od chwili, gdy dwa lata temu książę
Wellington postanowił jechać obok niego podczas
parady zwycięstwa, rozpoznawano go aż nazbyt
często. Ale, oczywiście, panny Barton nie było wte-
dy w mieście.

Wyraziste oczy Rachel zapłonęły gniewem.

- To wykrętna odpowiedź, panie. Niewątpliwie
wyjaśnienie, dlaczego zastałam pana w środku nocy
w bibliotece hrabiego, będzie jeszcze bardziej nieja-
sne. Ja zaś nie lubię tajemnic, a skoro pan się przy
nich upiera, nasza dalsza rozmowa pozbawiona jest
sensu. Do widzenia. Powóz hrabiego czeka na mnie.

To powiedziawszy, odwróciła się na pięcie i ru-
szyła Bond Street, ale, jak zauważył Yves, przez
chwilę wzrok jej spoczął tęsknie na kolorowym
szalu leżącym na wystawie sklepowej. A więc ta
panna o ostrym języku i nieubłaganej logice ma
w sobie jakieś kobiece cechy. Zauważył, że nabyła
modny czepek, i podejrzewał, że kupiłaby też szal,
gdyby nie krępowała jej obecność Yves'a.

Notując w pamięci tę informację, pospiesznie
dogonił Rachel.

- Odprowadzę pannę do powozu, panno Barton -
powiedział, gdy już się z nią zrównał.

- To nie jest konieczne.

- Wręcz przeciwnie, kobieta spacerująca samot-

nie po ulicach Londynu zwraca na siebie niepożądaną uwagę, tak jak to się panience przed chwilą przydarzyło. A skoro nie ma pani chwilowo przy sobie damy do towarzystwa ani pokojówki, pozwolę sobie odprowadzić ją do miejsca przeznaczenia.

Rachel zatrzymała się i rozejrzała dookoła siebie. Francuz miał rację. Każda kobieta znajdowała się albo w towarzystwie innej damy, albo szła za nią pokojówka.

Do wszystkich diabłów! Złamała kolejną sztywną regułę etykiety stosowanej przez londyńskie damy. Co więcej, przyszło jej do głowy, że zasada ta obowiązuje nie tylko w stolicy. Nawet w jej własnym zapadłym zakątku Yorkshire żony i córki szlacheckie wyruszały po zakupy w towarzystwie pokojówek.

Ona zaś ignorowała ten zwyczaj i robiła po swojemu. Gdy doszła do zaawansowanego wieku lat dwudziestu czterech, uznano ją za beznadziejnie ekscentryczną starą pannę, bardziej oddającą się kupiectwu i przemysłowi niż normalnym kobiecym zajęciom. Niemniej jednak zabolęło ją, że to właśnie ten godzien pożałowania cudzoziemiec przypomniawszy jej towarzyskie niedociągnięcia.

- Mimo to uważam, że będzie mi lepiej bez pańskiego towarzystwa - stwierdziła i odeszła, rzucając ostatnie gniewne spojrzenie na aroganta.

Zaskoczony jej wybuchem Yves przez chwilę patrzył, jak się oddala. Po chwili jednak odzyskał przytomność umysłu i znowu ją dogonił, zrećźnie omijając podstarzałego dandysa i dwie modnie ubrane matrony.

- Rozumiem, że przez „to” ma pani na myśli niezwykle okoliczności naszego pierwszego spotkania. Gdyby jednak dała mi pani szansę, wyjaśniłbym, dlaczego dwie niedziele temu znalazłem się w bibliotece hrabiego, ale, za pozwoleniem, nie podczas pieszych wyścigów po Bond Street. Co powiedziała by panienka na lody u Guntersa? Tam moglibyśmy spokojnie porozmawiać.

Rachel zatrzymała się i wyprostowała dumnie, dzięki czemu spojrzała mu prosto w oczy.

- Jest pan szalony! Wiedz pan, że jestem lojalną poddaną króla. Nic nie może mnie skłonić do kon-szachtów z ludźmi podobnymi do pana!

Yves popatrzył na nią z zaskoczeniem.

- *Sacre bleu!* Sugerujesz panna, że jestem wrogiem Anglii? Czemuż więc milczałaś, mimo że znalazłaś mnie w kompromitującej sytuacji?

- Skąd wiesz pan, że nikomu nie powiedziałam?

- Od tamtego czasu kilkakrotnie spotkałem hrabiego w jego klubie, a on nie dał po sobie poznać, że zna moją „tajemnicę”.

Pod jego przenikliwym spojrzeniem Rachel spuściła oczy.

- Dopóki się nie spotkaliśmy w Vauxhall, nie wiedziałam, że jest pan Francuzem.

- Ach, więc skoro jestem Francuzem, muszę być sługą szatana. Jeśli tak, to książę Wellington jest samym Lucyperem. Służyłem bowiem podczas "wojny jako jego agent na dworze cesarza... incognito i bez wynagrodzenia... tak jak inni francuscy arystokraci, którzy mieli powody, by nienawidzić morderców z gminu, którymi otaczał się Bonaparte.

- Pan był agentem księcia Wellingtona? Też mi coś! Może jestem prowincjuszka, panie, ale nie urodziłam się wczoraj.

Yves opanował się z wysiłkiem. Ta nazbyt bezpośrednia kobieta zaczynała działać mu na nerwy.

- Tak się składa, że Wellington przebywa obecnie w Londynie - warknął. - Wiem o tym, bo byłem jego doradcą na kongresie wiedeńskim i razem wróciliśmy do stolicy. Z przyjemnością mu pannę przedstawię, a on potwierdzi moje słowa.

Propozycja Yves'a zbiła Rachel z pantałyku. Dotychczas sądziła, że usiłuje ją, naiwną prostytutkę, omamić, opowiadając bajeczki.

- Bardzo dobrze - rzekła, patrząc mu prosto w oczy. - Jeśli książę Wellington osobiście za pana poręczy, zgodzę się wysłuchać pańskich wyjaśnień.

- Zadbam, żeby dotrzymała panna obietnicy, miss Barton, i mam nadzieję, że ma pani dosyć rozsądku, aby zachować milczenie, zanim się rozmówimy.

Francuz popatrzył na Rachel badawczo z niebezpiecznym błyskiem w stalowych oczach światowca.

- Ale pamiętaj, że o ile książę może zaświadczyć o moim nieskazitelnym charakterze, nie może odpowiadać za "wszystko, co wydarzyło się tamtej pamiętnej nocy.

- Na przykład?

- Pocałunek. Ja za niego w pełni odpowiadam. Chociaż, o ile pamiętam, panience sprawił nie mniejszą przyjemność niż mnie.

Rachel zachnęła się.

— Panie, jak pan śmiesz! Jesteś może francuskim

arystokratą, ale z pewnością nie dżentelmenem!

- Za to bardzo brytyjski hrabia Fairborne jest jego ideałem, jak sądzę.

- W rzeczy samej, a poza tym jest najlepszym i najszlachetniejszym z ludzi.

Yves był ciekaw, jak gorąco broniłaby swego czcigodnego kawalera, gdyby wiedziała, że poluje on tylko na jej posag po to, aby znowu móc utrzymywać pewną francuską kurtyzanę, kobietę, którą w tej chwili właśnie odwiedzał.

- Muszę przyznać panno Barton - powiedział sucho Yves - że jest pani albo najbardziej naiwną kobietą, jaką znam... albo najgłupszą.

- Panie, doprawdy...

- To było widać także wtedy, gdy cię pocałowałem... a skoro panienka jest taka zielona, postaram się zapomnieć o jej naiwnych oskarżeniach.

Po chwili znaleźli się na miejscu, gdzie czekał powóz. Hrabia de Rochemont oddalił się, uprzednio skłoniwszy się z wdziękiem, a Rachel wątpiła, by ktokolwiek obserwujący tę scenkę domyślił się, że ostatnie kilka minut spędzili, wymieniając obelgi. Irytujący ten człowiek prawdopodobnie ucałowałby także czubki jej palców, gdyby nie to, że w jednym ręku miała parasolkę, a w drugim pudło na kapelusze.

- *Au revoir mademoiselle* - powiedział, a jego głos przypominał mruczenie wielkiego czarnego kota igrającego z myszą. - Z przyjemnością zobaczę pannę dziś wieczorem w teatrze. O ile wiem, będzie panienka wraz z hrabią gościć w łoży barona Thorntona.

Znalazłszy się w domu hrabiego w sam czas na popołudniową herbatę, Rachel nadal gotowała się ze złości. Na szczęście ani hrabia, ani Verity jeszcze nie wrócili, więc postanowiła ją wypić w zaciśniętym pokoju.

- Panienska sprawia wrażenie zmęczonej - zauważyła Mary, przynosząc herbatę. - Powinna panienska trochę poleżeć, zanim przyjdzie pora przebierać się na kolację.

Rachel kiwnęła głową.

- Zapewne tak. Robienie zakupów w Londynie może być bardzo wyczerpującym zajęciem. - Rzuciła okiem na czepek, który zajmował naczelne miejsce na jej toalecie. - Aczkolwiek bardzo wdzięcznym, jeśli ma się szczęście.

Mimo to dzisiejszego popołudnia nic nie mogłoby jej skłonić do powrotu na Bond Street; nawet świadomość, że szal bardzo pomógłby jej dziś wieczorem oczarować Edgara. Mary miała rację: Rachel musi odpocząć przed długim i trudnym wieczorem, a jeśli jutro szala nie będzie w sklepie, to znaczy, że nigdy nie było jej pisane go posiadać.

Prawdę mówiąc, myśl o tym, że mogłaby znowu napotkać tego niepokojącego Francuza, zniechęcała ją do wizyty w londyńskim teatrze. Miała ochotę udać ból głowy i wymówić się od wyjścia. Nie wypadało jednak: byli gośćmi kogoś, kto pracował z Edgarem w Whitehall podczas wojny.

Dopiła herbatę, zdjęła trzewiki, rozciągnęła się na łóżku i wtedy usłyszała pukanie do drzwi i głos Mary:

- To ja, panienska Barton. Właśnie przyszła paczka dla panienki, więc ją przyniosłam.

- Paczka? - Rachel usiadła, zwieszając nogi z łóżka. - Kto, na litość boską, miałby przysyłać mi paczkę?

- Poślaniec powiedział, że to zakup, jaki zrobiła panienska na Bond Street.

- Ależ to niemożliwe. Czepek włożyłam na głowę, a nic innego nie zamawiałam. - Rachel ze zdziwieniem patrzyła na przyniesioną przez Mary płaską paczkę zawiniętą w brązowy papier. Z pewnością nie mógł być to czepek.

- Mam otworzyć, panienko?

- Tak, proszę. Nie mam pojęcia, co znajduje się w środku.

Mary rozerwała papier i położyła zawartość paczki na łóżku.

- Och, panienko, jakie to piękne!

Rachel patrzyła, nie wierząc własnym oczom, na barwny zwój jedwabiu, który Mary rozpostarła na kapie łóżka.

- Mój szal! - zawołała. - Mój idealny szal! Ale skąd... ale kto mógłby...? - Ależ oczywiście, to jasne, skąd tu się wziął. Rachel czuła, że Francuz przygląda jej się badawczo, gdy odjeżdżając, ukradkiem rzuciła okiem na wystawę.

Co jednak skłoniło go do tak dziwaczного postępowania? Chyba jako specjalista od etykiety sam wiedział doskonale, że szanująca się panna nie może przyjąć takiego prezentu od kogoś obcego... zwłaszcza od kogoś, komu nie ufa. Zadrwił sobie z niej po prostu. Teraz musi znaleźć sposób, aby mu zwrócić szal. I, niestety, dzięki dziwacznemu poczuciu humoru tego przeklętego

człowieka to cudo nigdy już nie będzie do niej należało.

Patrzyła, jak Mary wodzi palcem po deseniu z różyczek.

- Jak panienka mogła zapomnieć, że kupiła coś tak prześlicznego? Ja bym nie zapomniała.

- Na moment coś padło mi na pamięć. - Rachel odchrząknęła. - Pamiętam, że zobaczyłam go na wystawie sklepowej, a potem... - Nie dokończyła, nie chcąc powiedzieć kłamstwa.

- ...zapłaciła za niego panienka i zostawiła paczkę na kontuarze. Sama czasem tak robię, ale nie jak kupuję coś tak wspaniałego.

Mary podniosła szal i udrapowała go na oparciu krzesła.

- Istna łaska boska, że sprzedawca był na tyle uczciwy, żeby go odesłać, bo jak go panienka założy na tę swoją szarą wieczorową suknię, zmieni się panienka nie do poznania. Zawstydzi panienka te wszystkie modne damy jak nic.

Teatr! Do diaska, zupełnie o tym zapomniała! Mary będzie oczekiwać, że Rachel założy szal do teatru... a przecież nie może, skoro ma tam spotkać tego przekłętą Francuza.

Trzeba będzie po prostu odesłać Mary jeszcze przed kolacją i liczyć na to, że pokojówka nie opuści pomieszczeń dla służby przez resztę wieczoru. To zaś było całkiem prawdopodobne. Dziewczyna miała cienie pod oczami i Rachel przypuszczała, że chętnie pójdzie wcześniej spać.

Verity nie wróciła z wizyty u kuzynki na kolację... na szczęście. Zazwyczaj przyjemny posiłek okazał się katastrofą.

Po pierwsze, lokaj oznajmił, że francuski kucharz wymówił bez wypowiedzenia i należało nająć kogoś bez referencji. Rachel zastanawiała się, czy wszyscy arystokraci mają takie kłopoty ze służbą. W ciągu trzech tygodni jej pobytu w Londynie co najmniej sześcioro służby hrabiego zrezygnowało albo zostało wyrzuconych.

Nowy kucharz w niczym nie dorównywał poprzedniemu, gdyby potraktować rozgotowany filet z łososia i niedopieczony udziec wieprzowy jako próbki jego sztuki kulinarnej. Jednak nieoczekiwanie hrabia, zazwyczaj bardzo wymagający, po prostu nie zwracał uwagi na podawane mu niejadalne potrawy. W roztargnieniu podnosił widelec do ust, żuł i połykał.

Właśnie jego niezwykle zmiany humoru najbardziej dziwiły Rachel. W jednej minucie siedział ponury i milczący, nie dostrzegając otoczenia, aby za chwilę znenacka zacząć obrzucać ją ekstrawaganckimi komplementami, jakby jego życie zależało od tego, czy zdoła ją oczarować. Najwyraźniej hrabia nie był sobą, a Rachel mogła tylko się domyślać, że interesy, które dzisiaj załatwiał w mieście, nie poszły mu najlepiej.

Starła się zachować spokój i wykazać zrozumieniem, ale z każdą chwilą jedzenie stygnące na jej talerzu stawało się coraz bardziej niesmaczne, a zmiany nastroju hrabiego coraz bardziej szaleńcze. Kiedy zaczęła się lękać, że dłużej tego nie wy-

trzyma, Fairborne dał znak, iż uważa posiłek za zakończony.

Rachel szybko wróciła do swojego pokoju, gdzie uporządkowała włosy i zabrała swój brzydki, ale praktyczny szal, po czym zeszła na dół, gdzie hrabia czekał już w drzwiach. Przynurzyła sobie, że powie mu o „wizycie” Francuza w jego bibliotece, zanim wieczór się skończy, ale skoro hrabia był w takim dziwnym nastroju...

Z westchnieniem ujęła podane sobie ramię, wyrażając w duchu życzenie, aby wieczór, rozpoczęty w tak nieprzyjemny sposób, nie przyniósł ze sobą więcej niemiłych niespodzianek.

Lokaj w milczeniu podał swemu panu rękawiczki i czapkę z bobra. Drugi lokaj bez słowa otworzył drzwi. Zanim jednak zeszli pod piękny, oświetlony blaskiem księżyca nieboskłon, Rachel usłyszała kroki na schodach i ujrzała przed sobą połyskliwy zwój jedwabiu.

- Niechże panienka zaczeka! - zawołała jej gorliwa pokojówka. - Nie wierzyłam własnym oczom, ale znowu zapomniała panienka swojego ślicznego szala!

Yves podniósł lornetkę do oczu i przyjrzał się lożom w Królewskim Teatrze przy Drury Lane z satysfakcją godną mistrza ceremonii, który przygotował scenę do szczególnie interesującego przedstawienia.

Wszystkie miejsca na widowni były zajęte... a każda łoża pełna. Połączenie *Hamleta*, księcia Danii jako głównego przedstawienia i występu długonogiej włoskiej artystki imieniem Vestris w ko-

medii przyciągnęło wszystkich miłośników teatru. Jednym z nich był baron Thornton, goszczący dziś wieczoru hrabiego Fairborne'a. On także należał do podejrzanych, których wymienił lord Castlereagh.

Jego lordowska mość słusznie nazwał go królem dandysów. Nawet w paryskim półświatku Yves nie spotkał nikogo mu podobnego. Wyostrzył lornetkę, aby mu się lepiej przyjrzeć. Włosy Thorntona ufryzowane były w ciasno skręcone loki i obficie zlane olejkiem, kołnierzyk tak wysoki, że groził utratą oka przy zbyt nagłym ruchu głową, a krawatka stanowiła misterne dzieło sztuki. Baron nosił jaskrawoniebieski atłasowy surdut z wypchanymi ramionami oraz ostro wciętą talią; pantalon miały intensywnie żółtą barwę, kamizelka była w srebrno-żółtą kratę. Jeśli dodać do tego ozdobiące ją złote łańcuchy, pieczęcie i łańcuszki od zegarka, baron zaćmiewał sobą najstrojniejsze damy zgromadzone w teatrze.

Było to zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe, więc Yves nie był pewien, czy ten barwny człowieczek jest rzeczywiście tak płytki i niepoważny, na jakiego wyglądał, czy raczej pod farbą i pudrem krył się sprytny umysł. Zanotował sobie w pamięci, aby sprawdzić barona Thorntona równie starannie jak hrabiego Fairborne.

Łoża Thorntona znajdowała się w trzecim rzędzie po lewej stronie sceny. W łoży nad nim królowała pośród roju wielbicieli Harriette Wilson, naj słynniejsza kurtyzana Londynu. Jednak pewna sztywność w postawie La Wilson pozwoliła Yveso-

wi wyczuć, że coś ją zirytowało... najprawdopodobniej widok Jacqueline Esquare. Ta bowiem zajmowała łożę w pierwszym rzędzie na prawo od sceny i już zdążyła zgromadzić wokół siebie grupkę zachwyconych kawalerów.

Yves nie interesował się rywalizacją tych dwóch naczyń słabości. Ulokował Jacqueline w łoży tylko z jednego powodu: aby sprowokować Fairborne'a do jakiegoś ryzykownego posunięcia.

W łoży barona Thorntona pojawiły się jakieś osoby, więc Yves skierował tam swoją lornetkę. Hrabia jak zwykle stanowił wzór elegancji w swym zielono-żółtym stroju. Nieoczekiwanie jednak został zaćmiony przez swą towarzyszkę, albowiem szczupłe ramiona panny Barton spowijał jedwabny szal tak elegancki, że natychmiast przyciągnął uwagę dwóch dam z sąsiedniej łoży.

Yves pokręcił głową. Ta kobieta nigdy nie przestanie go zaskakiwać. Kupił i wysłał jej szal dla zachcianki, ani przez moment nie oczekując, że drażliwa ta osoba będzie go nosić publicznie. Prawdę mówiąc, raczej oczekiwał, że wynajdzie jego adres i natychmiast odeśle mu prezent.

Zaciekawiony, przyjrzał się bliżej jej twarzy. Była niezwykle blada, a gdy tylko zajęła miejsce, rozejrzała się lękliwie po widowni. Yves skinął głową, gdy spojrzała na niego. Ku jego rozbawieniu, upuściła lornetkę i zgarbiła się, jakby pragnęła stać się niewidzialna. Co za brak logiki. Dlaczego, jeśli jest to dla niej takie żenujące, zabrała ze sobą ten szal?

Przeniósł wzrok na hrabiego. Fairborne był zdecydowanie ponury: niewątpliwie w wyniku swej po-

południowej wizyty u Jacqueline Esquare. Nie mógł bowiem oczekiwać miłego powitania w małym domku przy Tottenham Court Road, nie przynosząc kosztownych prezentów, a nie był w stanie sobie na nie pozwolić, nie położywszy uprzednio ręki na fortunie panny Barton.

Yves usłyszał nagle szelest zasłony za plecami. Instyktownie sięgnął prawą ręką na kark, by chwycić rękojeść noża przymocowanego na plecach w specjalnej uprzęży.

- Nie trzeba, chłopcze - odezwał się niski, męski głos. - Przybyłem tu na twoje żądanie.

Yves puścił nóż i nieco zawstydzony odwrócił się, by powitać wysokiego mężczyznę z orlim nosem.

- Proszę mi wybaczyć, wasza miłość. Siła przyzwyczajenia. Cieszę się, że mogłeś odwiedzić mnie podczas dzisiejszego przedstawienia - powiedział i skłonił się jedynej osobie, która mogłaby zwrócić się do francuskiego szlachcica per „chłopcze”.

- Przenigdy bym cię nie zawiódł zwłaszcza po tym, jak Robert Castlereagh powiedział mi, do czego zmierzasz - odparł książę. - Jest duże ryzyko, ale ty nigdy się go nie bałeś. Rozumiem, że lista podejrzanych zawęziła się do trzech mężczyzn.

Yves kiwnął głową.

- Prawdę powiedziawszy, ustalił to lord Castlereagh, ale ja się z nim zgadzam.

- Ja także. Robert powiedział mi, czego ode mnie chcesz, a ja z przyjemnością pomogę w ujęciu zdrajcy. Mam nadzieję jednakże, iż uda mi się odegrać moją rolę w tym przedstawieniu przed pierwszą przerwą, bo chciałbym wrócić do klubu. Nie

przepadam za tym szekspirowskim księciem. Gdybym miał się zastanawiać tak długo jak ten niešťczesny Duńczyk, armia brytyjska wciąż prażyłaby się w kurzu na hiszpańskich równinach.

- Nie proszę, aby wasza miłość męczył się, oglądając drugi akt - stwierdził Yves, starając się zachować powagę - ale sprawie pomogłoby, gdybyś przed wyjściem zajrzał do łoży Jacqueline Esquare.

- Wiele żądasz, mój chłopcze. Jednak zrobię to dla króla i ojczyzny. Sądzę tylko, że łatwiej byłoby mi znieść gniew Bonapartego niż to, co zgotuje mi nasza uroczą panna Wilson, gdy zdecyduję się znowu złożyć jej wizytę.

Położył dłoń na rękojeści ozdobnego sztyletu.

- A więc pora brać się do pracy - powiedział, robiąc krok do przodu i stając obok Yves'a. Światło niedawno zainstalowanych lamp gazowych odbiło się od medali zdobiących jego mundur, medali przyznanych mu przez wdzięczny naród.

Na widowni natychmiast podniósł się szmer: - Wellington! To sam książę! - Oczy wszystkich skierowały się na łożę Yves'a, a cała widownia jak jeden mąż podniosła się i wiwatowała na cześć największego bohatera Anglii.

Książę powitał zebranych gestem dłoni, najwyraźniej rad z uwielbienia, jakim go obdarzano. Yves jednakże interesował się reakcją tylko trzech osób na to, że książę pojawił się w jego łoży. Pierwszą z nich była wysoka kobieta o ciemnoblond włosach, która patrzyła na niego z przeogromnym zdziwieniem, drugą głupio śmiejący się bałwan obok niej, a trzecią złotowłosy mężczyzna stojący

po jej lewej stronie, na którego przystojnej twarzy pojawił się wyraz nienawiści pomieszanej z lękiem, co pozwoliło Yvesowi przypuszczać, że właśnie hrabia Fairborne jest poszukiwanym przez niego zdrajcą.

W duchu udzielił sobie pochwały. Dzięki jego sprytnym manewrom wszyscy gracze znaleźli się w jednym miejscu, i to tak znakomitym, jak teatr na Drury Lane.

5

Kompletnie zmieszana Rachel usiadła natychmiast, jak tylko ucichły wiwaty na cześć księcia. Co ma teraz myśleć o tej całej sprawie? Francuz musiał mówić prawdę na temat swej współpracy z księciem. Na własne oczy widziała, jak Wellington położył dłoń na ramieniu hrabiego i uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć wszem i wobec: „Oto mój szczerzy i zaufany przyjaciel”.

Dlaczego jednak bogaty francuski arystokrata i zaufany przyjaciel ukochanego Żelaznego Księcia Anglików miałby włamywać się do czyjegoś domu niczym pospolity złodziejaszek?

I dlaczego miałby taki człowiek chcieć tłumaczyć się ze swych poczynań dziewczynie pochodzącej z zapadłej prowincji, której względy próbował na dodatek pozyskać za pomocą kosztownego prezentu? Oczywiście po to, aby zapewnić sobie jej miłczenie. To jest jedyne logiczne wyjaśnienie.

Przecież nieledwie ją błagał, aby nikomu nie mówiła o ich niezwykłym nocnym spotkaniu, dopóki go nie wysłucha, a zatem dopóki nie dowie się o nim całej prawdy. Niemniej jednak bez względu na protekcję Wellingtona, jeśli wyjaśnienia hrabiego nie okażą się zadawalające, Rachel wyzna wszystko Edgarowi.

Jest on wszak jej szczerym przyjacielem, któremu winna jest lojalność, zwłaszcza teraz, gdy tak się trapił interesami, które zatrzymywały go na mieście przez cały dzień. Był tak pogrążony w niewesołych myślach, że nawet nie zauważył pięknego szala, który Mary wcisnęła jej w ostatniej chwili.

Zdecydowawszy, co powinna uczynić, Rachel oparła się wygodniej, założyła ręce, czekając na rozpoczęcie przedstawienia, i jednym uchem zaczęła przysłuchiwać się rozmowie hrabiego z ich dziwnym gospodarzeni. Prawdę mówiąc, był to raczej monolog barona na temat najnowszych plotek i skandalików towarzyskich, zaś hrabia prawie się nie odzywał.

- Drury Lane to w istocie wspaniały teatr - powiedziała, gdy baron urwał, by zaczerpnąć oddechu. Miała nadzieję, że zmieniając temat, zdoła wciągnąć Edgara do rozmowy. Bez efektu: był tak pogrążony w myślach, że nawet nie zauważył jej usiłowań.

Baron okazał się bardziej spostrzegawczy.

- Rad jestem, że się panie podoba - rzekł, wydymając swą chudą, pokrytą złotymi błyskotkami pierś, jakby dekoracja teatru była jego zasługą. - W rzeczy samej bogactwo złocień i żywe kolory odpowiadają moim gustom, a mój przyjaciel, książę regent, również raczył wyrazić swoją aprobatę. - Rzucił okiem na hrabiego, jakby oczekiwał, że zaprotestuje.

- Są oczywiście między nami osoby, które uważają, iż dekoracja ta jest w guście zbyt francuskim.
- Thornton wykrzywił swe wąskie wargi w złości-

wym uśmiechu, co sprawiło na Rachel wrażenie, że bawi się kosztem Edgara. Wyczuła w tym małym człowieczku mściwość i złośliwość i postanowiła mieć się przed nim na baczności.

Z ulgą patrzyła, jak podnosi się kurtyna, ukazując ponure blanki Elsynoru. Nie miała więcej ochoty wysłuchiwać złośliwych uwag swego gospodarza. Zaledwie jednak Bernardo zdążył zapytać Franciszka o hasło, baron postukał ją w ramię swym płaskim wachlarzem.

- Kapitalne dekoracje, nieprawdaż? Malował je Whitmore. Piekielnie zdolny facet: wszystko odrobione jak żywe. A może nie powinienem pytać prowincjuszki o zdanie na temat londyńskiego teatru?

- Znakomita wystawa - odparła Rachel. - Wygląda dokładnie tak, jak po przeczytaniu sztuki Szekspira wyobrażałam sobie Elsynor, ale oczywiście ma pan rację. Nie mnie to osądzać, gdyż w zapadłej wiosce w Yorkshire, skąd pochodzę, w istocie nie ma teatru.

Baron zrobił wielkie oczy.

- Mój Boże, jakże więc można żyć w tak barbarzyńskim miejscu?

Rachel miała ochotę odpowiedzieć temu niemiłemu osobnikowi, że ona ze swej strony zastanawia się, jak rozumna osoba może wytrzymać w pustej atmosferze Londynu. Jednak pohamowała się. Miała duże wątpliwości, czy jej opinia zainteresowałaby samozwańczego arbitra elegancji, jakim był baron.

W pierwszym momencie Rachel uznała, że ten przyjaciel i niegdysiejszy współpracownik Edgara poza wiekiem nie różni się niczym od młodych głup-

ków, których spotkała na Bond Street. Teraz nie była tego taka pewna. Miała wrażenie, że baron ubiera się i wygląda idiotycznie, i głupio gada - ale wszystko to jest udawane. Pod przykrywką głupoty i pustego śmiechu kryje się przenikliwa inteligencja. Rachel przypuszczała, że baron mógłby okazać się niebezpiecznym i zawziętym przeciwnikiem. Krótko mówiąc, ten dandys mroził jej krew w żyłach.

- Uwielbiam teatr - ciągnął pompatycznie Thornton. - Nie opuszczam ani jednego przedstawienia na Drury Lane. Od czasu kiedy Ellison przejął tę budę, co roku rezerwuję tutaj łóżę.

Wydobył z rękawa koronkową chusteczkę do nosa i delikatnie osuszył sobie pot z bladej czoła.

- Ellison to znakomity artysta, a także wielki przyjaciel regenta. Odkrył tę rozkoszną dzierlatkę, Vestris, nieprawdaż. Wspaniała istota: ma nogi do szyi. Prinny* pojawia się na każdym jej przedstawieniu. Zapamiętaj sobie: także i dzisiaj go zobaczymy, jak tylko skończy się ta okropna historia i dadzą wreszcie komedię.

- Uhm - mruknęła Rachel, usiłując skoncentrować się na grze aktorów. Słuchając barona, można by pomyśleć, że mieszka w domu regenta.

- Opera to coś zupełnie innego - ciągnął monotonicznie Thornton. - Byłem raz, ale nigdy więcej: wydzielali się tak, że nie słychać było, co człowiek mówi.

Rachel zdziwiła się, że ktoś, kto deklaruje taką

* Prinny - (zdrobnienie tytułu „Prince” - tak nazywano wówczas księcia Walii, regenta, późniejszego króla Jerzego IV (przyp. tłum.).

miłość do teatru, wcale nie patrzy na scenę. Zauważyła jednak, że znaczna część widowni interesuje się bardziej własnymi rozmowami niż tym, co mają do powiedzenia aktorzy. Musiała się dobrze wysilić, żeby ich dosłyszeć w ogólnie panującym hałasie.

Przycichł on nieco, gdy aktor grający Hamleta stanął pośrodku sceny, opłakując śmierć swego ojca, ale tylko dlatego, że na scenie pojawił się chłopiec z tablicą, na której widniały słowa: „Prosimy o ciszę. Ważny monolog”. Opinia Rachel o londyńczykach nigdy nie była szczególnie wysoka, ale teraz spadła prawie do zera.

Baron uniósł lornetkę do oczu, co sprawiło, że Rachel nabrała nadziei na chwilę spokoju. Jednak on nie skoncentrował się na scenie, tylko na łóżach znajdujących się po drugiej stronie teatru.

- Hej, Fairborne, popatrz na pierwszy rząd na prawo od sceny. Ta kokotka, Jacqueline Esquare, znalazła sobie nowego protektora, na tyle bogatego, że wynajął jej łożę, i to pierwszej klasy.

- Co ty, u diabła, gadasz? - Hrabia chwycił lornetkę i skierował ją tam, gdzie wskazywał Thornton.

Baron przyglądał się temu ze złośliwym uśmiechem na ustach.

- To pewnie ten hrabia Francuzik, z którym się ją ostatnio widuje. Ciągnie swój do swego, i tak dalej. Mówią, że jest szalenie bogaty. No, ale w innym przypadku nie utrzymałby jej przy sobie, co, Fairborne?

W odpowiedzi Edgar wydał z siebie wymijające chrząknięcie i gwałtownie opuścił lornetkę. Wyraz wściekłości, jaki pojawił się na jego twarzy, przypomniał Rachel o dreszcz.

Spuściła wzrok i zdała sobie sprawę, że jest napięta jak struna. Wiadomość, że Francuz, który ją śledził, ma kochankę, nie powinna stanowić dla niej zaskoczenia. Widziała ich przecież razem w Vauxhall. Ale z niewiadomych przyczyn Rachel poczuła, że taka publiczna manifestacja związku ze znaną powszechnie kurtyzaną jest w szczególnie złym guście.

Czego jednakże można spodziewać się po arystokracie? Żaden z nich nie okazywał się tym, na kogo wyglądał: ani baron, ani ten niepokojący francuski hrabia, ani nawet księżę Wellington, jeśli w plotkach, które słyszała na jego temat, było ziarno prawdy.

Nawet jej dobry przyjaciel, hrabia Fairborne, zdołał ją zaskoczyć. Ten rozgniewany mężczyzna, siedzący teraz koło niej, w niczym nie przypominał łagodnego osobnika, którego poślubienie rozważała całkiem poważnie. Prawdę mówiąc, do tej chwili nawet nie powstałoby jej w głowie, że Edgar zdolny jest do tak silnej nienawiści, jaką przejawiał wobec hrabiego de Rochemont.

Gdyby nie wiedziała lepiej, mogłaby przypuszczać, że nienawiść ta jest wynikiem zazdrości. Ale, oczywiście, było to niemożliwe. Tak wysoko urodzony człowiek nie miałby powodu zazdrościć swemu wrogowi przygody z kobietą, którą przecież nazwał ni mniej, ni więcej tylko „francuską dziwką”.

Co jednak wywołało między nimi taką wrogość? Czy był to po prostu jakiś przedmiot, który obaj zapragnęli posiadać, czy też kobieta, którą każdy z nich chciał poślubić? Bez względu na przyczynę,

ponure milczenie Edgara wydało się Rachel równie niepokojące, jak bezsensowna gadanina barona.

Przez cały pierwszy akt żaden z nich nawet nie spojrział na scenę. Jednak, gdy kurtyna opadła na pierwszą przerwę, obie lornetki skierowały się na łożę w pierwszym rzędzie.

- No proszę, jak to urocza panna Esquare awansowała w wielkim świecie. To niebywałe, ile może uczynić bogaty protektor. - Głos barona ociekał ironią. - Czy mnie oczy nie mylą, Fairborne, czy też widzę największego bohatera Anglii całującego jej delikatne paluszki? - Przez ramię Rachel postukał Edgara w ramię swym wachlarzem. - I co ty na to, przyjacielu?

W odpowiedzi Edgar burknął coś niemiłego. Wepchnął Rachel w ręce jej szal i, chwytając za ramię, postawił na nogi.

- Dość tego. Wychodzimy - mruknął i skierował się do wyjścia, wlokąc dziewczynę za sobą.

Podążyła za nim bez sprzeciwu, ale była trochę zła. Istotnie, nie miała większej ochoty dłużej obserwować, jak książę Wellington i hrabia de Rochemont zalecają się do francuskiej kurtyzany. Uważała jednak, że Edgar powinien był przynajmniej poprosić ją o Zgodę na tak drastyczne skrócenie jej pierwszego, a zapewne jedyne go wieczoru w londyńskim teatrze.

Nigdy też nie zapomni jadowitego wyrazu oczu barona Thorntona, gdy się żegnali, ani też śmiechu, jakim wybuchnął, gdy wychodzili z łoży. Widać było wyraźnie, że ten złośliwy osobnik raduje się upokorzeniem Edgara i Rachel. Nie przyszłoby jej do

głowy, że dorosły mężczyzna mógłby robić scenę z tak błahego powodu, jak to, że nowa utrzymanka jego wroga zaskarbiła sobie względy Wellingtona. Jednakże tak samo nie przypuszczałyby, iż ten sam mężczyzna mógłby wpaść w panikę dlatego, że coś nie idzie mu w interesach. Ona nigdy sobie nie pozwalała na taki luksus, kiedy coś nie tak działo się w jej przedzalni.

Usiłowała sobie wmówić, że dziecinne zachowanie Edgara jest tylko chwilowe: ma zbyt wiele spraw na głowie. Jednak w głębi serca wiedziała, że w jej uczuciach do niego nastąpiła bezpowrotna zmiana.

Ku niekłamanej uldze Rachel podróż powrotna do domu upłynęła w całkowitym milczeniu. Trudno byłoby jej bowiem brać udział w towarzyskich rozmówkach, jakie wiódł z nią zazwyczaj Edgar.

Nie spojrzała mu w oczy, kiedy pomagał jej wysiąść z powozu i prowadził do wejścia, a potem czekała w milczeniu, gdy ujął kołatkę i zastukał do masywnych, rzeźbionych drzwi. Ku jej zdziwieniu nikt im nie otworzył, więc Edgar zakołatał ponownie... i jeszcze raz, aż wreszcie w drzwiach pojawił się zaspany lokaj.

- Co się tu, u diabła, dzieje? - zapytał hrabia. - Od kiedy to muszę czekać u własnych drzwi niczym żebrak, aż ktoś mnie raczy wpuścić do mojego własnego domu?

- Błagam o wybaczenie, jaśnie panie, nie słyszałem...

- Spałeś! Nawet nie próbuj przeczyć. Cóż, nie płacę ci za to, żebyś spał w czasie służby. Za dziesięć minut ma cię tu nie być.

- Ależ panie...

Hrabia groźnie podniósł pięść.

- Precz z moich oczu, nierobie!

Rachel patrzyła na hrabiego z otwartymi ustami. Jego rysy wykrzywił wyraz niekłamanej wściekłości, taki sam, jak na widok hrabiego de Rochemont przedstawiającego swoją kochankę księciu Wellington. Dzisiejszego wieczoru Edgar najwyraźniej nie był sobą.

- Zbliża się północ, a to przecież jeszcze chłopic - powiedziała, gdy lokaj zniknął w mrocznym hallu prowadzącym do kuchni i pomieszczeń dla służby. - Chyba to, że się trochę zdrzemnął, nie jest na tyle poważnym wykroczeniem, żeby go zwalniać. Wiesz, jak trudno będzie mu znaleźć nowe miejsce bez referencji?

Edgar popatrzył na Rachel lodowato.

- Przemawia przez ciebie twoje niskie pochodzenie, moja droga. Musisz przyswoić sobie właściwy porządek rzeczy, zanim wejdiesz w szeregi szlachetnie urodzonych i zostaniesz hrabiną.

Zdjął kapelusz i rękawiczki i położył je na stoliku przy drzwiach.

- Służba istnieje tylko w jednym celu: aby służyć urodzonym wyżej od siebie. Jeśli ktoś taki przejawia lenistwo albo brak starania, należy natychmiast go zwolnić, zanim Zarazi całą resztę. A teraz pozwól, że oddalę się do biblioteki na kieliszek brandy, zanim udam się na spoczynek, chyba że pragniesz, abym najpierw odprowadził cię do twego pokoju.

Rachel dumnie potrząsnęła głową.

- Nie jest to konieczne, milordzie. Jak sam po-

wiedziałaś, wywodzę się z gminu, a więc doskonale potrafię sama znaleźć drogę. - To rzekłszy, z godnością oddaliła się do swej sypialni, gdzie zamknęła się na klucz.

Jasny blask księżyca wpadał przez okno, które Rachel otworzyła z ciężkim westchnieniem. Wychyliła się, by popatrzeć na ogród. Nic nie pomogło. W jej wyobraźni raz po raz odgrywała się nieprzyjemna scena z hallu: godne zakończenie okropnego dnia.

Coś poruszyło się w cieniu, a potem stuknęła furtka: to młody lokaj zastosował się do polecenia hrabiego i opuszczał dom bez referencji, a wszystko dlatego, że jego pan miał ciężki dzień i był w złym humorze.

Rachel nigdy przedtem nie była świadkiem, jak Edgar postępuje ze służbą. Teraz już wiedziała, a świadomość ta stanowiła dla niej wstrząs. Usiłowała samą siebie przekonać, że zachowanie hrabiego było wynikiem wychowania, jakie odebrał, i tego, że służba zawsze wychodziła ze skóry, żeby spełnić wszelkie jego zachcianki od chwili, gdy został panem domu. Krótko mówiąc, był typowym arystokratą. Nie zmieniało to jednak faktu, że ona, Rachel, nie może powierzyć losów swoich pracowników przędzalni i pasterzy owiec despotce, którego nic nie obchodzi ci, którzy mu służą.

Pora wrócić do rzeczywistości i obudzić się ze snu o dobrym mężu i gromadce dzieci. Pora porzucić rojenia i wracać do Yorkshire... i do rzeczywistości.

Rachel nie zdążyła dopić pierwszej filiżanki porannej herbaty, gdy Edgar w doskonałym humorze wkroczył do jadalni. Najwyraźniej wczorajszy zły humor już mu minął. Uśmiechnięty i dziarski zachowywał się tak, jakby okropna scena z poprzedniego wieczoru nigdy nie miała miejsca.

- A więc, drogie panie, jak będziemy się dzisiaj zabawiać? - zapytał, siadając i nalewając sobie filiżankę czarnej kawy, którą przedkładał nad herbatę. Jego czarujący uśmiech skierowany był tak do Rachel, jak i do Verity. - Jestem na wasze usługi przez cały dzień.

- Bardzo pan dla nas łaskawy, milordzie - ówiernęła Verity. - Moim zdaniem powinniśmy udać się tam, gdzie Rachel mogłaby zaprezentować swój nowy szal i czepek.

- W istocie - zgodził się hrabia. - Sam bardzo pragnąłbym je ujrzeć.

Verity zmarszczyła brwi.

- Nie każ mi wierzyć, że założyłaś tę burą szmatę do teatru, kiedy mogłaś zabrać piękny nowy szal. Doprawdy, moja droga, czyżby moda wcale dla ciebie nie istniała?

Rachel starannie posmarowała tost dżemem truskawkowym, zanim udzieliła jej odpowiedzi.

- Miałam nowy szal - odparła krótko.

- Ależ oczywiście, szal, który twoja pokojówka przyniosła ci, gdy wychodziliśmy. Nie rozumiem, jak mogłam zapomnieć. Wyglądałaś w nim przepięknie.

Rachel wzruszyła ramionami.

- O ile pamiętam, byłeś, hrabio, myślami daleko stąd.

Na policzki hrabiego wypełzł krwisty rumieniec.

- To poważne zaniedbanie z mojej strony, ale postaram się je dzisiaj nadrobić, moja droga. Powiedz tylko, na jakie rozrywki masz ochotę?

Dwie pary oczu spojrzały na Rachel wyczekująco. Ona zaś uznała, że nadeszła właściwa chwila. Uśmiechnęła się z przymusem.

- Prawdę mówiąc, chciałabym zająć się dzisiaj pakowaniem kufrów. Spędziłam już aż nazbyt dużo czasu z dala od Yorkshire i mojej przędzalni.

Verity patrzyła na nią w osłupieniu, zaś hrabia z trzaskiem odstawił filiżankę na spodeczek, wlewając przy tym nieco kawy.

- Ależ mowy nie ma, żebyś tak prędko opuszczała Londyn! - zawołał. - Masz jeszcze tyle do obejrzenia!

- Z całego serca wdzięczna jestem za gościnę, jaką ofiarowywałeś, milordzie, mnie i mojej towarzyszce przez tyle czasu. Czuję jednak, że zobaczyłam wystarczająco dużo. Światowe życie okazało się zbyt skomplikowane dla dziewczyny z prowincji.

Na twarzy hrabiego pojawił się dziwny wyraz: jakby lęku.

- A co z naszymi planami na przyszłość? Powinniśmy je omówić, ustalić szczegóły. Jeśli nie chcesz mieszkać w Londynie, możemy...

- Istotnie, musimy porozmawiać - przerwała mu Rachel, spoglądając znacząco na Verity. Nie miała najmniejszej ochoty poruszać swoich prywatnych spraw w jej obecności. - Pomówimy na osobności, dziś po kolacji, jeśli pan pozwoli. Tymczasem jednak prosiłabym, abys polecił woźnicy naszykować powóz na jutro o świcie.

Fairborne zbladł.

- Moja droga, jeśli ja albo ten idiota Thornton w jakiś sposób obraziliśmy cię wczoraj wieczorem...

- Nie jestem obrażona - zapewniła szybko Rachel. - Jestem po prostu zmęczona Londynem i tęsknię do mojej małej wioski w Yorkshire i do tamtejszych ludzi.

- Ludzi! - wykrzyknęła Verity. - Jakich ludzi? Te go nudziarza, który pomaga ci prowadzić przędzalnię? Tej bezbarwnej istoty, która uczy dzieciaki robotników? Czy też może do nich samych tęsknisz? Wiesz doskonale, że w Yorkshire nie masz żadnego towarzystwa. Okoliczna szlachta uważa cię za dziwadło, a ja jako twoja krewna muszę to znosić.

Zwróciła się do hrabiego.

- Przemów jej do rozumu, milordzie. To niedopuszczalne, żeby młoda kobieta spędzała dni w przędzalni, a wieczory poświęcała na beznadziejne gryzmolenie w księgach rachunkowych.

- Zrobię co w mojej mocy, droga pani. Zostaw nas samych, a być może uda mi się ją przekonać, aby zmieniła zdanie co do swego wyjazdu.

- Zaiste taką mam nadzieję. Owszem, nie chciałabym zaniedbywać moich obowiązków, ale przysięgam, że umarłabym z rozpaczy, gdyby zmuszono mnie do powrotu na głuchą prowincję. - Verity wstała, rzuciła serwetkę na stół i pospiesznie opuściła pokój.

- A zatem, moja droga, cóż to za pomysł z tym wyjazdem do Yorkshire? - zapytał Edgar tonem, jakim dorośli zwracają się do szczególnie irytujących dzieci.

Rachel poczuła oburzenie, ale zanim zdążyła zareagować, w drzwiach pojawił się O'Reilly, lokaj. Na niedużej srebrnej tacy niósł list zalakowany dużą, czerwoną pieczęcią.

- Za pozwoleniem, milordzie. Właśnie nadeszła poczta: prawdopodobnie jest to coś ważnego.

- Do diabła, O'Reilly, nie widzisz, że jestem zajęty? - Hrabia chwycił list, przeciął pieczęć i szybko przebiegł wzrokiem pojedynczy arkusik papieru. Zbladł jak ściana i jakby nie wierząc własnym oczom, przeczytał list jeszcze raz.

- Mam poważne kłopoty w... w moim majątku w Surrey - rzekł, wstając od stołu. - Muszę tam jechać natychmiast.

Mocno uchwycił oparcie krzesła.

- Nieobecność moja nie potrwa dłużej niż trzy dni. Obiecuj mi, proszę, że nie wyjedziesz przed moim powrotem.

- Jest już wrzesień, a w Yorkshire zima nadchodzi wcześnie...

- Trzy dni nie zrobią wielkiej różnicy. Możesz chyba je dla mnie poświęcić, chociażby przez wzgląd na naszą dotychczasową przyjaźń.

Był tak zmartwiony, że Rachel nie miała serca przyczyniać mu więcej kłopotów. Mimo że nie chciała pozostawać w Londynie ani minuty dłużej, niż było to konieczne, niechętnie obiecała hrabiemu, że na niego zaczeka. Posunęła się nawet do tego, że odprowadziła go do wyjścia i pomachała mu na odjeźdźnym. Potem jednak schroniła się w bawialni przylegającej do jej pokoju, aby uniknąć spotkania z Verity.

Tęsknie wyjrzała przez okno. Dzień był przepiękny, jednakże nie zdecydowała się na wyjście z domu. Gdziekolwiek zechce się udać, na pewno natrafi tam na tego Francuza, o ile oczywiście wyrwie się on z ramion swej pięknej kochanki.

Skoro jednak udowodnił ponad wszelką wątpliwość swą przyjaźń z Wellingtonem, Rachel może pozwolić, by sprawa ich nocnego spotkania w bibliotece pozostała niewyjaśniona. Lepsze to niż jeszcze raz narażać się na towarzystwo Francuza, a co gorsza, dziękować mu za prezent w postaci szala. Nie mogła go przecież odesłać, skoro już był używany.

Postanowiła zatem poświęcić przedpołudnie na pakowanie wszystkiego, a już zwłaszcza szala, poza ubraniami niezbędnymi jej przez najbliższe trzy dni i podczas podróży do Yorkshire. Resztę czasu, aż do wyjazdu, spędzi czytając kupione u Hatcharda książki.

Plan był niezły, tyle że pod koniec dnia Rachel zeszywniała od zbyt długiego siedzenia, a od czytania rozboleły ją oczy. No i oczywiście miała miejsce ta nieprzyjemna scena z Verity. Rachel postanowiła, że jeśli usłyszy jeszcze jedną skargę na temat powrotu do Yorkshire, wypłaci swej damie do towarzystwa roczną pensję i odeśle tam, skąd przybyła.

Pomimo tych nieprzyjemności fakt podjęcia decyzji o powrocie do domu poprawił Rachel apetyt do tego stopnia, że smakowały jej nawet potrawy przygotowane przez nowego kucharza. Co więcej, po raz pierwszy od czasu przyjazdu do Londynu całą noc spała głęboko jak niemowlę.

Następnego ranka zeszła na śniadanie, nucąc radośnie. Nałożyła sobie pełen talerz i bez grymasów spożyła tłustą parówkę, przypalone grzanki i nie pierwszej świeżości jajko. Świadomość, że za dwa dni strząśnie z podeszew londyński kurz, znakomicie poprawiła jej humor.

- Panienko?

Rachel przerwała jedzenie, widząc w drzwiach lokaja. Odchrząknął.

- Jakiś pan chce się z panienką zobaczyć. Pan St. Armand. Poprosiłem go do błękitnego salonu.

- Ktoś do mnie? Tak rano? - Nie znała nikogo o takim nazwisku. Chyba... że jest to ktoś z banku przy Threadneedle Street, w którym miała swój londyński rachunek. Tak, to na pewno ktoś od nich.

Porzucając resztki śniadania, podążyła za lokajem do niewielkiego saloniku znajdującego się tuż obok hallu wejściowego. Jedno spojrzenie na czekającego tam wysokiego, kruczowłosego mężczyznę powiedziało jej, że nie ma on nic wspólnego z jej bankiem.

- To pan! - wykrzyknęła, gdy O'Reilly zamknął za sobą drzwi. - Co pan tu robi! Dlaczego podał pan lokajowi fałszywe nazwisko? Jeśli sądził pan, że nie zechcę się z nim widzieć w domu hrabiego Fairborne, to miał pan rację, mój panie. To oczywiste, że nie żywiecie do siebie sympatii.

Francuz uniósł wymownie brew.

- Widzę, że nawet tak wcześnie rano masz ostry język. Jednak oskarżenie pani jest niesłuszne, panno Barton. Lokaj poprosił mnie o nazwisko, więc mu je podałem. Nie pytał mnie o tytuł.

- Och! Zapewne masz pan rację. - Rachel zmarszczyła brwi. - Mimo to powinniśmy sobie coś wyjaśnić. Wysłanie mi szala było ze wszech miar niewłaściwe i wcale nie miałam zamiaru zabierać go do teatru. Zostałam do tego zmuszona przez niesprzyjające okoliczności, na które nie miałam najmniejszego wpływu.

Mężczyzna zaśmiał się.

- Tak też się domyślałem, widząc twoją minę, gdy siedziałaś w łoży barona. Ale zapewniam cię, że wysyłając ci szal, nie miałem na myśli nic złego. Kupiłem go wiedziony impulsem, bo widziałem, że ci się bardzo spodobał. Zapewne sama byś go nabyła, gdybym ci nie przeszkodził. Czyżbyś nigdy nie kierowała się impulsami, panno Barton?

- Nie mam zwyczaju postępować pochopnie - odparła sztywno Rachel, czując, że na jej policzki wypełza zdradziecki rumieniec. Ileż to razy Jacob Zimmerman, nadzorca, napominał ją, by „przemyślała to raz jeszcze”, zanim zdecyduje się na wprowadzenie kolejnej radykalnej zmiany w swojej przędzalni.

- Prawdę mówiąc - poprawiła się - miałam ochotę natychmiast kupić ten szal, ale wydałam już wtedy wszystkie pieniądze na czepek.

Wargi Francuza zadrgały, a policzki Rachel stały się jeszcze bardziej czerwone, gdy domyśliła się, że się z niej podśmiewa.

- Jakiż to uroczy czepek - powiedział z udawaną powagą. - Wart jest każdej ceny.

Rachel uniosła dumnie głowę.

- Tak właśnie pomyślałam, a szal pasuje do nie-

go doskonale. Niestety nie mogę przyjąć w dobrej wierze takiego daru od mężczyzny, którego prawie nie znam. - Ze wstydem przypomniała sobie, że szal znajduje się na dnie jednego z jej kufrów. - Po prostu zwrócę panu za niego pieniądze.

- To tylko szal, panno Barton. Jeśli jego widok cię drażni, podaruj go pokojówce. - Tym razem Francuz nawet nie usiłował ukryć uśmiechu. - Nie obawiaj się jednak o swoją cnotę. Gdybym chciał cię uwieść, przysłałbym ci diamentową bransoletę.

Rachel zacisnęła zęby. Niech diabli wezmą tego przekłętego Galla! Dlaczego zawsze udaje mu się sprawić, że czuję się jak prawdziwa plebejuszka!?

- Rozumiem, że miał pan jakiś poważny powód, aby nachodzić mnie o tak wczesnej porze - powiedziała z całą godnością, na jaką było ją stać.

- Ależ oczywiście, mademoiselle. Moi szpiedzy poinformowali mnie, że hrabia opuścił Londyn, więc uznałem, że jest to doskonała chwila, abyśmy sobie porozmawiali.

- Świetnie. Proszę więc mówić, co ma pan do powiedzenia, ale krótko. Moja dama do towarzystwa wkrótce zejdzie na śniadanie, a jest to osoba bardzo wścibska, a zarazem wielka admiratorka hrabiego. Gdyby cię tutaj ujrzała, z pewnością powiadomiłaby go o tym.

- A więc mamy problem, bo to, co mam ci powiedzieć, zabierze więcej niż kilka minut. Podaj więc inną porę i miejsce, gdzie możemy się bezpiecznie spotkać, a niezawodnie się tam pojawię.

- Czy to jest naprawdę niezbędne? Uznaję, że jest pan przyjacielem księcia Wellingtona, a za-

tern nie stanowi pan zagrożenia dla mojego kraju.

- To jest konieczne, panno Barton, a ja stąd nie wyjdę, dopóki się nie umówimy.

Spotkanie z tym niepokojącym człowiekiem było ostatnią rzeczą, jakiej Rachel pragnęła, ale nie miała wyboru.

- Moja dama do towarzystwa udaje się na drzemkę po lunchu - powiedziała po krótkim zastanowieniu. - Mogłabym się z panem spotkać o wpół do drugiej przy wejściu do Hyde Parku od strony Upper Grosvenor Street.

- Znakomity wybór. - W oczach Francuza pojawił się znowu uśmiech. - Miejsce na tyle odosobnione, że można tam poufnie rozmawiać, i na tyle publiczne, żeby nawet tak niebezpieczny typ jak ja nie odważył się pani molestować.

Rachel uniosła głowę jeszcze wyżej.

- Przepraszam, jeśli pana obraziłam. Jednakże nawet protekcja księcia Wellingtona nie zmienia faktu, że poznaliśmy się w dosyć niezwykłych okolicznościach.

- W istocie, były one niezwykle, poza jedną czarującą chwilą, która na zawsze pozostanie w mej pamięci - zgodził się z uśmiechem, na widok którego Rachel ze złością zacisnęła zęby. - Jednakże dała mi pani wyraźnie do zrozumienia, że wszelkie wzmianki na ten temat uważałaby za niegodne dżentelmena.

- Jak gdyby panu zależało na mojej opinii. Jesteś hultajem, panie, i nie wyobrażam sobie, by mógł pan powiedzieć mi cokolwiek, co mogłoby wyjaśnić, dlaczego człowiek tak bogaty, jakim pan się

mieni, miałby posuwać się do włamania. Mimo to dla spokoju ducha wysłucham pana.

Mężczyzna spoważniał.

- Chodzi tu o coś znacznie więcej niż pani spokój ducha. Proszę zjawić się niezawodnie. Pani przyszłość, a nawet życie, może zależeć od tego, co mam pani do powiedzenia.

6

Gdy Rachel znalazła się w pobliżu wejścia do Hyde Parku, miasto pokrywała warstwa rozgrzanego smogu. Mimo to przyjemnie było znaleźć się na trawie, pośród drzew, pod gołym niebem, zamiast siedzieć w murach miejskiej rezydencji hrabiego, zwłaszcza będąc w tak marnym nastroju.

Ostrzeżenie Francuza sprawiało, że ze złością zaciskała zęby. Zbyt wiele się ostatnio wydarzało w jej życiu, a wszystkie te incydenty miały coś wspólnego z pewnym czarnowłosym adonisem, który swym uśmiechem mógłby oczarować nawet posąg marmurowy. Rachel sama sobie nie mogła uwierzyć, iż dobrowolnie zgodziła się na spotkanie sam na sam z zupełnie obcym człowiekiem, a w dodatku cudzoziemcem.

Nie lubiła hrabiego de Rochemont ani mu nie ufała. To prawda, że jego pocałunek przyprawił ją o przyspieszone bicie serca, ale dowodziło to jedynie, że jest doświadczonego uwodzicielem. Gdyby nawet miała co do tego jakieś wątpliwości, rozwiąły się one na widok jego umizgów do słynnej kokotki. Nieoczekiwanie jednak jego pogardliwy osąd zabolął ją. Może nie jest tak obyta w świecie jak Jacqueline Esquare, ale nie jest aż taka naiwna, jak sądził.

Rzut oka na zegarek, który nosiła na łańcuszku, powiedział jej, że pojawiła się na miejscu spotkania o dwadzieścia minut za wcześnie. Niepokój nie pozwalał jej beczynnie usiedzieć na ławce, zdecydowała się więc na krótki spacer.

Była tu nie po raz pierwszy. Raz zabrał ją do tego parku Edgar na przejażdżkę kariolką o piątej po południu, w porze, kiedy zjawiał się tu cały modny świat, a raz wymknęła się tu sama o poranku, gdy wszyscy jeszcze spali, i przechadzała się nad stawem zwanym Serpentine po trawie mokrej jeszcze od rosy. Poprzednio wchodziła jednak przez bramę Stanhope'a, jednak ta mniej chętnie odwiedzana część parku, w której się dzisiaj znalazła, podobą jej się znacznie bardziej.

Ptaki ćwierkały w koronach drzew, a klomby umieszczone po obu bokach ścieżki lśniły istną ferią barw. Aksamitki, stokrocie i goździki chińskie ciasno zakrywały jeden z nich, drugi klomb z dumą prezentował malwy, lwie paszcze i goździki brodate, a jeszcze inny nasturcje w kilkunastu kolorach. Serce Rachel zabiło radośnie. W najśmielszych marzeniach nie przypuściłaby, że można znaleźć wiejski ogród w centrum Londynu.

Idąc dalej, natknęła się na kępę fioletowych i żółtych bratków, unoszących z nadzieją swe twarzyczki do przysłoniętego smogiem słońca. Cały klomb gęsto zarastały chwasty. Skromne kwiatki przypomniały Rachel jej własne grządki w Yorkshire, wywołując w niej dławiącą falę nostalgii.

Klomby, które mijała wcześniej, były starannie oczyszczone, a stojące w pobliżu taczki i oparta

o nie łopata świadczyły o tym, że tym właśnie zaniedbanym klombem ogrodnik zamierzał zająć się już niedługo. Jakże mu Rachel zazdrościła tego zatrudnienia. Z całego serca zapragnęła zatopić palce w żyznej ziemi i wydrzeć z niej chwasty, zagłuszające biedne bratki.

Rozejrzała się ukradkiem dookoła. Wcześniej rano ławki zajmowały nianie pilnujące swoich podopiecznych goniących za piłką albo toczących koła; późnym popołudniem w parku pełno było powozów, których pasażerowie i pasażerki pragnęli zobaczyć innych i sami zostać dostrzeżeni. Teraz jednak, w środku dnia, miała tę odosobnioną część parku dla siebie.

Nie potrafiła oprzeć się pokusie. Tak bardzo kochała bratki: prosty ludek kwiatowy, o ileż skromniejszy niż róże czy peonie. Jednakże kwietna arystokracja wymaga licznych starań: należy oczyszczać ją z mszyc i walczyć z szarą pleśnią. Bratki zaś potrafiły w znacznym stopniu radzić sobie same.

Opadłszy na kolana, zrzuciła rękawiczki, chciwie wyrwała kilka największych chwastów i odrzuciła je na taczki.

- No i co, nie lepiej wam? - zapytała czule i wydało jej się, że odsłonięte spod chwastów kwiatki uśmiechnęły się do niej w odpowiedzi.

Ziemia była wilgotna po niedawnym deszczu, więc gęsto porastające grzędę osty, mlecze i rdest ptasi łatwo dawały się wrywać. Jeden po drugim Rachel uwalniała bratki od dławiących je chwastów. Była to pierwsza konkretna praca, jaką wykonała od czasu wyjazdu z Yorkshire, i tak bardzo ją zaabsorbowała, że dziewczyna kompletnie straciła poczucie czasu.

Yves spóźnił się na umówione miejsce spotkania dziesięć minut i spodziewał się zastać tam Rachel Barton oczekującą go niecierpliwie, sprawiała bowiem wrażenie osoby niezawodnie punktualnej. Ku swojemu zdziwieniu nigdzie jej nie zobaczył.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi jej nieobecność wzbudziła w nim ogromną irytację. Jak może ta nieznośna kobieta spóźniać się na spotkanie, skoro wyraźnie jej powiedział, że chodzi o jej własny los?

Przez następne dziesięć minut spacerował nerwowo pod wielkim dębem rosnącym tuż przy wejściu do parku i z każdym krokiem jego złość powiększała się. Przeklinając pod nosem, zerknął na zegarek i "wtedy zauważył coś, co na pierwszy rzut oka wydawało się dużym, brązowym psem siedzącym koło oddalonego o kilkadziesiąt metrów klombu.

Popatrzył znowu. *Sacre bleu!* To nie był pies, lecz kobieta, bardzo przypominająca osobę, z którą rozstał się dwie godziny temu.

Z bijącym sercem, przerażony, popędził ścieżką w tamtą stronę. Przez myśl jak błyskawica przemknęło mu wspomnienie innej kobiety, klęczącej w identycznej pozycji na tarasie przed jego paryskim domem. Tamtego pamiętnego dnia znalazł Amalię zgiętą z bólu, ściskającą nasiąknięte krwią koronki sukni. Żyła jeszcze na tyle długo, by wyszeptać ostrzeżenie, które uratowało mu życie.

Przez kilka sekund, zanim znalazł się przy pochylonej Rachel, przeżywał koszmar wspomnień, dziwiąc się przy tym, że tak bardzo przejął go los tej naiwnej dziewczyny z prowincji, której przecież prawie nie znał. Czy Fairborne jest rzeczywiście

zdrajcą, jak przypuszczał lord Castlereagh? Czyżby wrócił niespodziewanie do Londynu, dowiedział się, że bogata panna zamierza spotkać się z jego wrogiem, śledził ją, a potem pozbył się tak samo jak wszystkich innych, którzy stanowili dla niego zagrożenie?

Rachel właśnie wyrwała szczególnie dużą kępę rdestu, gdy do jej uszu dotarło coś, co przypominało tupot nóg na ubitej, żwirowanej ścieżce. Zaskoczona podniosła wzrok i ujrzała biegnącego ku niej Francuza, z rozwianymi włosami i poszarzałą twarzą.

Trzymając w ręku chwasty przykucnęła i przyglądała się czujnie, jak raptownie przystaje tuż obok niej.

- Wielkie nieba, czy coś się stało? - zapytała.

Mężczyzna milczał przez dłuższą chwilę, wpatrując się w jakiś punkt między jej talią a piersią. Rzuciła okiem w to miejsce, obawiając się, że ujrzy tam wielkiego pajaka albo coś równie okropnego, pełzającego po jej sukni. Nie zobaczyła nic.

- Co się stało? - powtórzyła, zaniepokojona jego niezwykle bladą twarzą. I czyżby rzeczywiście drżały mu ręce?

Zignorował jej pytania.

- Co pani wyrabia? - zapytał dziwnie głuchym głosem. - Dlaczego kuli się pani jakby z bólu?

Kuli się! Wyprostowała ramiona, nie chcąc dać po sobie poznać, że nieoczekiwane pytanie Francuza uzmysłowiło jej, iż rzeczywiście jej pozycja musiała sprawiać dziwne wrażenie.

- Każdy, kto ma oczy w głowie, zobaczyłby, że

odchwaszczam grządkę bratków - odparła wyzywająco i wrzuciła rdest do taczki.

Zmarszczył gniewnie swe czarne brwi.

- Ale dlaczego?

- Bo ktoś musiał to zrobić. - Rachel czuła, że policzki płoną jej ze wstydu. - A poza tym okropnie się już stęskniłam za moim własnym ogrodem.

- Ach! - głos mu złagodniał, a uśmiech ulgi rozjaśnił jego przystojną twarz. - Odchwaszczasz Hyde Park, bo tęsknisz za domem. Rozumiem. Sam też chętnie bym pogrzebał w ziemi.

Ku zaskoczeniu Rachel przykucnął obok niej i zdjął swe piękne giemzowe rękawiczki, tak jakby chciał jej pomagać.

- Niech pan da spokój - powiedziała, wstając. - Byłoby to ze wszech miar niewłaściwe, a klękając, pobrudzi pan spodnie.

Zaśmiał się.

- Nie byłaby to pierwsza para spodni, jakie zniszczyłem w ten sposób, chociaż przyznaję, że tamte były z samodziału.

Rachel ze zdziwieniem spojrzała na jego smukłe palce o zadbanych paznokciach, ozdobny sygnet, najlepszego gatunku szary płaszcz i jasnoszare spodnie.

- Drwisz pan sobie ze mnie. Kiedy to odchwaszczał pan grządkę z bratkami?

- Nigdy - przyznał, prostując się. - Ale gdy byłem chłopcem, pracowałem przy ziemniakach i fasoli. Zasada jest taka sama, jak sądzę.

Rachel przyjrzała mu się z powątpiewaniem.

- Rozumiem, że jest pan francuskim hrabią. Czy uzyskał pan swój tytuł niedawno?

- Ależ skąd, panno Barton. Tytuł mój jest bardzo stary i szanowany; przechodził z ojca na syna w rodzinie St. Armand od wielu pokoleń. Jestem ósmym hrabią de Rochemont.

- A więc nie wierzę w to, że wykonywał pan w dzieciństwie takie prace. Od kiedy to dzieci francuskich arystokratów noszą samodział i wrywają chwasty z grządek?

- Od czasu, gdy niania ukryła mnie i moją siostrę na fermie swojego brata w noc, gdy nasi rodzice i dziadkowie zostali wyciągnięci z łóżek i zamordowani przez sankiulotów. - Jego oczy stały się lodowate jak styczniowy poranek w Yorkshire. - Na szczęście pan i pani Durand mieli dwanaścioro własnych czarnowłosych dzieci. Żaden z przedstawicieli z lokalnych władz nie zauważył, gdy ich liczba zwiększyła się do czternastu. Wychowywałem się jako chłopski syn od szóstego roku życia aż do czasu, kiedy sam mogłem dawać sobie radę, a gdyby nie poczciwy wiejski proboszcz, który był przysięgłym rojalistą, nie umiałbym nawet czytać ani pisać.

Rachel osłupiała. Wyobraziła sobie grozę tej nocy: przerażenie i rozpacz sześciolatniego chłopca uczynionego sierotą przez tłum krwi żądnych buntowników. Czytała o niesławnym Legionie Terroru, ale nigdy nie spotkała żadnej z jego ofiar. Czuła jednak, że to, co przed chwilą usłyszała, jest prawdą.

- Czy te straszne wydarzenia są przyczyną, dla której występowałeś jako agent Wellingtona i szpiegowałeś przeciwko Francji? - spytała cicho.

- Nie szpiegowałem przeciwko Francji, panno Barton. Kocham Francję. - Stalowe oczy pociemnia-

ły z gniewu. - Walczyłem, by obalić panowanie krwi żądnego gminu, który posłał na śmierć moją rodzinę i mojego króla oraz zniewolił moją ojczyznę.

- Wybacz mi. Mówiłam bez zastanowienia - rzekła, zdając sobie sprawę z tego, że wierzy bez zastrzeżeń w to, co jej przed chwilą powiedziano. Zapominając o niedawnych gniewach, położyła dłoń na ramieniu mężczyzny.

Yves popatrzył na jej brudne palce i przypomniał sobie inną kobietę, której dotyk wywoływał na nim podobne wrażenie. Tyle że paluszki Amalii były smukłe i starannie wymanikiowane, natomiast dłonie tej kobiety były silne i zdolne do ciężkiej pracy. Ręce Amalii wyglądały jak płatki białych lilii, zaś opaloną dłoń spoczywającą na jego ramieniu pokrywały piegi.

Mimo to coś przyciągało go do tej wysokiej, nieładnej Angielki. Jej dotyk był nieoczekiwanie delikatny, zaś w ciepłych, brązowych oczach malowało się współczucie dla nieznanego, któremu miała wszelkie powody nie dawać wiary. Wyczuł, że należy ona do tych rzadko spotykanych istot, których wielkie przymioty serca ukryte są pod nieciekawym wyglądem i strojem.

- Nazywam się Yves... Yves St. Armand - powiedział impulsywnie. - Będę zaszczycony, jeśli zechce pani zwracać się do mnie po imieniu, a jeszcze bardziej, jeśli pozwoli mi pani na to samo.

Była chyba bardziej zaskoczona, niż gdyby powiedział jej, że nazywa się Dżyngis-chan, więc zdał sobie sprawę, jak dziwacznie musiała zabrzmieć jego propozycja. Nie rozumiał, co w niego wstąpiło.

Nie miał zwyczaju ulegać impulsom. Czekał więc w milczeniu, aż zostanie przywołany do porządku. Ku swojemu zdziwieniu usłyszał spokojne:

- Na imię mam Rachel. Możesz się tak do mnie zwracać, jeśli tego pragniesz.

- Dziękuję, Rachel - odparł Yves, unosząc jej dłoń do ust. Mimo niesprzyjających okoliczności poczuł, że powstaje między nimi więź, a świadomość ta sprawiała mu nieoczekiwaną przyjemność. Potrafił zazwyczaj przewidzieć reakcje kobiet, które znał; Rachel Barton stale sprawiała mu niespodzianki.

Żałował, że brakuje mu czasu, by Rachel go lepiej poznała, zanim narazi na zniszczenie to kruche poczucie bliskości, jakie się właśnie między nimi wytworzyło. A stanie się tak na pewno, gdy przedstawi dziewczynie swe podejrzenia dotyczące człowieka, który stara się o jej rękę. Yves nie mógł jednak już dłużej zwlekać. Jeśli Fairborne zamierza jak najprędzej uzyskać dostęp do fortuny Rachel, może namówić ją, by uciekła z nim do Szkocji, a tego należało uniknąć za wszelką cenę.

Francuzowi nie pozostawało nic innego, jak przekonać bogatą pannę z Yorkshire, aby pilnie strzegła swego majątku, a może nawet pomogła mu w śledztwie dotyczącym Fairborne'a. Niestety, aby to osiągnąć, musiał jej powiedzieć, czemu Fairborne stara się o jej rękę, rękę kobiety znajdującej się o tyle niżej w hierarchii społecznej. Bolało go jednak, że musi przy tym zranić dumę Rachel.

Miał wrażenie, że im lepiej poznaje tę dziewczynę, tym bardziej pragnie ją chronić. Działo się tak być może dlatego, że jej dosyć naiwny pogląd na świat sta-

nowił ożywczy kontrast z opiniami sprytnych kobiet wywodzących się z jego własnych kręgów, a może dlatego, że widział w niej coś, co przypominało krzepką francuską chłopkę, która zastąpiła mu matkę.

Cokolwiek by to było, musi się pilnować, aby współczucie dla Rachel Barton nie przyćmiło mu trzeźwości osądu. Ktoś, kto szuka zemsty, nie powinien oddawać się takim subtelnościom.

- Czy przejdziemy się po parku podczas naszej rozmowy? - zapytał, podając jej ramię.

Zarumieniła się, jakby jego propozycja była w jakiś sposób niewłaściwa.

- Ch-chyba nie powinniśmy - wyjąkała, a Yves przypomniał sobie burę, jaką dostała od niego za to, że chodzi po Londynie bez osoby towarzyszącej. Co za ironia, że właśnie teraz uznała za słuszne zaprzagnąć zastosować się do jego rad.

- Minęło już pół godziny - powiedziała, patrząc nerwowo na złoty zegarek, który miała przypięty do sukni, jak gdyby był to główny powód, dla którego nie chce iść z nim na spacer. - Moja dama do towarzystwa będzie się dopytywać, jeśli nie znajdzie mnie w domu, gdy obudzi się ze swej popołudniowej drzemki.

Popatrzyła na niego przez zmrużone oczy, znowu wyglądając jak stuprocentowa, sztywna stara panna.

- Mimo to, skoro już się spotkaliśmy, pragnęłabym dowiedzieć się, dlaczego przeszukiwał pan biurko hrabiego Fairborne. Ostrzegam jednak, że mimo pańskiej przyjaźni z księciem Wellingtonem, czuję się nadal zobowiązana powiadomić hrabiego o tym dziwnym incydencie. Powinnam była to uczynić już dwa tygodnie temu.

Yves chwycił ją mocno za ramiona.

- Byłoby to nad wyraz nierozważne, Rachel. Fairborne jest niebezpiecznym człowiekiem.

W oczach dziewczyny pojawiło się oburzenie.

- Edgar niebezpieczny? Wolne żarty! To najłagodniejszy z ludzi, no, przynajmniej jest taki za zwyczaj. - Zmarszczyła brwi, a Yves pomyślał, że pewnie przypomina sobie wściekłość, w jaką „najłagodniejszy z ludzi” wpadł wczoraj wieczorem w teatrze. Jeśli nie jest kompletną idiotką, musi chyba zdawać sobie sprawę, że jej kawaler nie jest taki doskonały jak udaje.

Rachel odegnała muchę, która krążyła jej dookoła głowy.

- Edgar to typowy arystokrata. Uważa, że ze względu na swoje szlacheckie urodzenie powinien zawsze dostawać to, czego zapagnie. Gdy się tak nie dzieje, wpada w złość, zupełnie jak ty teraz. Ale nie jest niebezpieczny... chyba tylko dla tych, którzy są od niego zależni.

Yves zmarszczył brwi.

- Jeśli chcesz wiedzieć, ja nie wpadłem w złość. Ale powtarzam, Fairborne to niebezpieczny osobnik - rzekł stanowczo, czując narastającą frustrację wobec jej uporu. W jednej chwili lord Castlereagh zabronił mu wyraźnie oskarżać kogokolwiek o zdradę i morderstwo popełnione z zimną krwią bez absolutnych dowodów winy. Potem zaś zgodził się, że panna powinna zostać ostrzeżona przed Fairborne'em. Niestety, nie udzielił żadnych wskazówek, jak można wypełnić te dwa sprzeczne polecenia.

Nabrał powietrza w płuca i zaczął jeszcze raz.

- Jest absolutnie konieczne, aby to, co teraz powiem, pozostało tajemnicą: zależy od tego dobro Anglii. Musisz dać mi słowo honoru, że nic z tego nie powtórzysz nikomu, albo nasza rozmowa ulegnie zakończeniu.

- Niech to diabli! - Rachel tupnęła nogą. - Wiesz doskonale, że żadna kobieta nie jest w stanie poskromić swej ciekawości. - Podniosła prawą dłoń. - Dobrze więc, przysięgam, że nikomu nie powtórzę ani jednego słowa, które teraz wypowiesz.

- A zatem przyjechałem do Londynu, aby odnaleźć angielskiego szlachcica, który sprzedawał tajemnice wojskowe Bonapartemu...

- Angielski szlachcic zdradził swoją ojczyznę? - Rachel potrząsnęła głową. - Nie przepadam za nimi, ale trudno mi w to uwierzyć.

- Niemniej jednak jest to prawda. Wiosną tysiąc osiemset dwunastego roku przekazano Bonapartemu informację, która omal co nie zmieniła wyniku bitwy pod Salamanką. Ten sam człowiek zdradził nazwiska dwóch arystokratów francuskich, którzy pracowali przeciwko Bonapartemu. Markiz de la Basse został zamordowany przez służby Foucheta, a ja uniknąłem podobnego losu tylko dzięki temu, że zostałem w porę ostrzeżony. - Urwał na chwilę i głęboko wciągnął powietrze w płuca. - Bliska osoba, która przekazała mi ostrzeżenie, umarła na moich rękach.

- Mój Boże! - Rachel przycisnęła drżącą dłoń do ust. - Ale co ma to wspólnego z hrabią Fairborne? Chyba on nie jest podejrzany...

- Poza lordem Castlereagh, brytyjskim ministrem spraw zagranicznych, tylko czterech ludzi

w Whitehall, a w istocie w całej Anglii, było dopuszczonych do sekretu - ciągnął Yves. - Jeden z nich jest bez wątpienia zdrajcą. Mam stanowczy zamiar znaleźć winnego i oddać go w ręce sprawiedliwości, choćby przyszło mi to życiem przepłacić.

Oczy Rachel przybrały mroczny i nieprzenikniony wyraz.

- Czy hrabia Fairborne jest jednym z tych czterech mężczyzn?

- Tak... i dlatego właśnie dwa tygodnie temu próbowałem przeszukać jego biurko.

- Ależ to jakaś wierutna bzdura! Edgar ma swoje wady, ale nie uczynił ani nie powiedział niczego, co mogłoby świadczyć, że nie jest lojalnym poddanym brytyjskim. - Urwała, aby się przez chwilę zastanowić. - A nawet jakby nim nie był, w co nawet przez chwilę nie mogę uwierzyć, dlaczego ktoś tak bogaty i utytułowany miałby zdradzać ojczyznę, w której cieszy się tyloma przywilejami?

Yves wzruszył ramionami.

- Człowiek może posunąć się za daleko z wielu powodów. Może mieć kosztowne zachcianki i wpaść przez nie w długi... albo być na tyle głupi, by stracić fortunę oddając się grom hazardowym. Taki człowiek mógł dać się skusić na te ogromne sumy, jakie Bonaparte był skłonny zapłacić za cenne dla niego informacje.

- Jeśli tak sądzisz, to chyba dlatego, że przez lata spędzone na dworze cesarza stałeś się pan zgorzkniały i cyniczny. Nie może pan zaliczyć Edgara do takich ludzi. Wiem na pewno, że nie jest hazardzistą, bo sam mi powiedział, a jeśli chodzi

o kosztowne zachcianki, to ma wystarczająco wielką fortunę, by je zaspakajać.

Yves z całej siły kopnął kamień leżący pośrodku ścieżki. Stopa go zaboląła, ale musiał jakoś rozładować rosnącą frustrację. Rachel Barton stanowiła żywy dowód, że każda kobieta może być zaślepiona na punkcie mężczyzny, jeśli ten się o to odpowiednio postara.

Policyjne śledztwo wykazało, że hrabia Fairborne siedzi w długach po uszy, i to nie tylko u kupców londyńskich. Każdy dom gry na East Endzie miał jego niezapłacone weksle. Być może hrabia nie jest poszukiwanym zdrajcą. Jest jednak niewątpliwie łowcą posagów, który zarzucił haczyk na bogatą pannę i przetracił jej majątek na różne ekstrawagancje i utrzymanie francuskiej kurtyzany. Yves zacisnął zęby. Walczył ze sobą, żeby nie chwycić tej upartej kobiety za ramiona i potrząsać, dopóki nie zechce usłuchać głosu rozsądku.

Rachel zatrzymała się pod wielkim dębem rosnącym koło ścieżki i zwróciła się do Yves'a.

- Mówiłeś, że tajne informacje znało czterech mężczyzn. Czy zamierzasz sprawdzić także pozostałych trzech?

- Robię to z pomocą Bow Street. Prawdę mówiąc, teraz jest tylko dwóch poza Fairborne'em. Trzeci został całkowicie oczyszczony z podejrzeń.

Rachel zamrugała oczami.

- Wielkie nieba! Nic nie mówiłeś, że wmieszana jest w to policja!

- Ale jest. Myślałaś, że wszystko to sobie uroiłem? - Yves zaklął pod nosem. - Nie musisz odpowiadać. Sam widzę, że tak było.

Rachel zignorowała jego komentarz i ruszyła do przodu. Yves także.

- Jeśli jeden mężczyzna został wyeliminowany, hrabia jest twoim drugim podejrzanym - powiedziała po chwili zastanowienia. - Jak blisko jesteście zamknięcia śledztwa na jego temat i przejścia do następnej osoby?

Yves zebrał się w sobie. Właśnie na taką chwilę czekał.

- Niezbyt blisko. O ile pamiętasz, przerwano mi w bardzo istotnym momencie. Oczywiście badałem inne wątki, ale muszę zakończyć obecną fazę śledztwa, zanim będę mógł zapewnić zainteresowane osoby, że hrabia Fairborne został oczyszczony z podejrzeń.

To jest, pomyślał Yves, doskonałe sformułowanie. Za plecami usłyszał jakiś dźwięk, więc odciągnął Rachel na bok, by przepuścić samotnego jeźdźca. Równocześnie czekał niecierpliwie na jej reakcję.

- Chcesz powiedzieć, że musisz dokończyć przeszukiwania biblioteki hrabiego, zanim przejdiesz do następnego podejrzanego? Chyba już kiedyś nadmieniałam, że kradzież z włamaniem w Anglii grozi szubienicą? Czy też może lord Castlereagh i inni urzędnicy z Whitehall wstawią się za tobą, jeśli zostaniesz złapany?

- Obawiam się, że nie. Cóż jednak warte jest niedokładne śledztwo? Muszę dotrzeć do tego zdrajcy i mordercy. Jeśli trzeba będzie przy tym zaryzykować życie, trudno.

Dotarli do wejścia od strony Upper Grosvenor Street. Rachel, zmęczona napięciem ostatnich minut, opadła na ławkę stojącą tuż koło bramy i złożyła rękę

ce na kolanach. Przyszło jej do głowy, że Edgar musiał dowiedzieć się, iż Francuz wścibia nos w jego sprawy. To wyjaśniałoby jego nienaturalną złość.

Nie mógł jednak wiedzieć wszystkiego. Jest przecież dumnym arystokratą i lojalnym poddanym króla. Gdyby zdał sobie sprawę, że podejrzewa się go o zdradę, niewątpliwie zażądałby satysfakcji od oskarżyciela, a coś jej mówiło, że w walce nie dorównałby Francuzowi.

Musi więc zrobić, co w jej mocy, by doprowadzić do pokojowego zakończenia tej nieszczęsnej historii. Edgar być może nie jest mężczyzną, którego zechciałaby poślubić, ale czuła, że jest mu to winna.

Podniosła głowę i spojrzała w stalowe oczy mężczyzny, który stał przed nią.

- Yvesie St. Armand, powiedz mi prawdę - szepnęła. - Chyba oczekujesz ode mnie czegoś więcej, niż tylko abym dochowała milczenia?

7

Yves usiadł na ławce obok Rachel i przykrył ręką jej dłoń.

- Czy wierzysz, że hrabia Fairborne nie jest winien zdrady?

- Oczywiście. - Wyrwała mu rękę, jakby jego dotyk ją oparzył. - Sam pomysł jest tak idiotyczny, że nie rozumiem, jak ktokolwiek mógłby w niego uwierzyć, nawet...

- Francuz - dokończył za nią Yves. Nic już nie pozostało z łączącej ich „kruchej więzi”, której istnienie wyczuwał jeszcze przed chwilą. Nie marnował jednak czasu na rozpamiętywanie. Musi dostać się do domu hrabiego, który przez ostatnie dwa tygodnie był równie niedostępny jak warowny zamek podczas oblężenia.

- Jeśli wierzysz w niewinność Fairborne'a, to pomóż mi ją udowodnić - powiedział cicho. - Otwórz okno biblioteki, kiedy go nie będzie w domu. Poszukaj razem ze mną dowodów.

- Pomóc ci? Nie mam najmniejszego zamiaru. Bez względu na swoje wady Edgar był mi zawsze dobrym przyjacielem... a ty wcale nie pragniesz oczyścić go z zarzutów. Chcesz tylko znaleźć kogoś, kogo mógłbyś wysłać na szubienicę i radować się sukcesem.

Yves wzruszył ramionami.

- Przyznaję, że oskarżenie to nie jest pozbawione podstaw, ale te same poszukiwania, które mogą doprowadzić do znalezienia dowodów winy, równie dobrze mogą przynieść świadectwo niewinności.

Rachel popatrzyła na niego badawczo.

- Więc jeśli w wyniku proponowanych przez ciebie poszukiwań nie znajdziemy dowodu winy, to wtedy porzucisz swe podejrzenia i przekonasz Bow Street oraz Whitehall, że hrabia jest niewinny?

Yves starannie sformułował swoją odpowiedź.

- Jeśli nie znajdę w bibliotece hrabiego dowodów, których poszukuję, obiecuję, że odpowiednio zmienię moje rozumowanie.

W oczach panny pojawił się błysk triumfu.

- W takim razie, panie, pomogę ci. Dziś wieczorem jest najlepsza pora, gdyż hrabia nie wróci ze swej posiadłości w Surrey aż do jutra albo nawet pojutrze.

- A więc dziś wieczorem, Rachel. Będę czekał pod oknem punktualnie o północy. O tej porze służba powinna już spać. - Stłumił wyrzut sumienia wywołany łatwością, z jaką pozyskał dziewczynę do współpracy. Działała wszak w słusznej sprawie.

Ale co to za bzdura na temat posiadłości w Surrey? Nie znalazł o niej żadnej wzmianki w raporcie, jaki dostał z Whitehall. Co więcej, z wiadomości przesłanej przez śledzącego hrabiego policjanta, wynikało, że popędził co koń wyskoczy drogą wiodącą do Dover.

Rachel odczekała, aż zegar nad kominkiem wybije północ, a potem wyslizgnęła się ze swej sypial-

ni i skierowała do biblioteki. Odstawiła świeczkę na biurko i odsunęła ciężką aksamitną zasłonę. Za oknem ujrzała ciemną sylwetkę.

Serce zabiło jej mocniej. Gdy Yves St. Armand przekonywał ją, że to samo przeszukanie, które pozwoli udowodnić winę Edgara, może również dać dowody niewinności hrabiego, jego słowa wydawały się tak logiczne. Jednak słuchała ich w świetle dnia, a teraz w mrokach nocy miała niemiłe uczucie, że namówiono ją do zdrady przyjaciela. Czując rosnące wątpliwości, otworzyła okno i odsunęła się na bok, by wpuścić Francuza do biblioteki hrabiego Fairborne.

Yves bez słowa zdjął bobrową czapkę i rękawiczki i odłożył je na biurko. Potem, używając świeczki, którą przyniosła Rachel, zapalił jeszcze dwa stoczki.

- Tak jest znacznie lepiej. Przynajmniej będziemy widzieć, co robimy.

Powiedziawszy to, otworzył górną szufladę po prawej stronie, przejrzał jej zawartość, a potem przesunął ręką pod spodem, aby upewnić się, że nic tam nie przymocowano.

- Czego konkretnie szukasz? - szepnęła Rachel.

- Czegoś... Czegokolwiek, co powiązałoby Fairborne'a z Bonapartem: przepustki, listu podpisanego przez Fouche'go albo nawet samego cesarza.

- Zamierzasz w ten sam sposób przeszukać biurko barona Thorntona?

Na chwilę przerwał swoje zajęcie.

- Skąd wiesz, że baron jest na liście podejrzanych?

- To logiczne: Edgar powiedział mi, że pracowali razem w Whitehall podczas wojny. - Rachel zamilkła na chwilę, a potem dodała: - Prawdopodob-

nie nie powinnam tego mówić, ale wczoraj w teatrze miałam wrażenie, że baron coś ukrywa za fasadą frywolności. Wydaje się, że w jego duszy czaiło się zło gotowe w każdej chwili wydostać się na powierzchnię.

Yves pokiwał głową, zaskoczony trafnością jej spostrzeżeń.

- Z tego, co do tej pory dowiedziałem się na temat Thorntona, wynika, że prowadzi on podwójne życie: jedno w wielkim świecie, a drugie na niesławnym londyńskim East Endzie, gdzie jest słynny z tego, iż przeniknął wszelkie znane człowiekowi perwersje.

- To prawda. Dotknięcie jego dłoni przyprawiło mnie o dreszcz. A więc jego także zamierzasz sprawdzić?

- Tak. Jest następny na liście i owszem, zamierzam przeszukać jego biurko.

Rachel potrząsnęła głową.

- A więc dwukrotnie będziesz tylko marnował swój czas.

- Co ci, do licha, przyszło do głowy? - zapytał Yves niecierpliwym szeptem.

- To chyba logiczne, że jeśli albo hrabia, albo baron byłby winien zdrady, z pewnością nie trzymałby dowodów zbrodni w szufladach biurka. Nikt o zdrowych zmysłach by tak nie postępował.

Yves zamknął górną szufladę, otworzył następną i przejrzał jej zawartość.

- Najprawdopodobniej. Ale co będzie, jeśli zdrajca wierzy w znane powiedzenie, że „najciemniej jest pod latarnią”? Nie odważę się pominąć żadnego miejsca, gdzie mógłbym znaleźć dowody.

- Dowody, które mogą wcale nie istnieć - powiedziała Rachel z naciskiem.

- Och, jestem pewien, że istnieją: prawie tak, jakbym miał je w ręku. Intuicja podpowiada mi, że zdrajca, kimkolwiek by był, jest sobą tak przejęty, że nie może się oprzeć pokusie zachowania na pamiątkę dowodu świadczącego o tym, iż przechytrył najtęższe głowy w Whitehall.

Rachel nie znalazła na to kontrargumentu. Prawdę mówiąc, tak właśnie wyobrażała sobie rozumowanie barona Thorntona. Nie pojmowała jednak, dlaczego Yves nie skoncentrował się właśnie na nim. Oszczędziłby w ten sposób czas i uniknął dodatkowych kłopotów.

Patrzyła, jak otwiera ostatnią szufladę biurka, sprawdza, czy nie ma nic pod jej spodem, a potem zagląda do środka.

- No, no, to ciekawe - zauważył, wydobywając plik papierów i kładąc je na biurku.

Rachel drgnęła nerwowo.

- Co... co znalazłeś?

- Rachunki. Od dostawców warzyw, mięsa, pasmanterii, od stelmacha... niektóre z nich mają ponad rok. A tu rachunek od znanego londyńskiego krawca, pana Westona, który wynosi niewiele mniej niż pożyczka wojenna. Plotki najwyraźniej mówią prawdę. Fairborne, jak to się powiada, „żyje na kredyt”.

Rachel gapiła się na monstrualną kolekcję nie zapłaconych rachunków szeroko otwartymi oczami, a Yvesowi zrobiło się wstyd, że tak okrutnie ją potraktował. Mógł przecież dyskretnie schować te papiery z powrotem do szuflady. Ale, oczywiście, bar-

dziej mu odpowiadało, żeby dziewczyna zorientowała się, iż jej szlachetny kawaler tkwi po uszy w długach. Jeśli jest taka praktyczna, jak mu się wydaje, zastanowi się dwa razy, zanim pozwoli mu przetracić swoją fortunę w taki sam sposób, w jaki zrobił to z własną.

Patrzył, jak dziewczyna przegląda gruby plik papierów, i czekał, aż wybuchnie gniewem albo zaleje się łzami, tak jak zrobiłaby to każda inna kobieta, odkrywszy, że chciano ją oszukać. Ku swojemu zdziwieniu stwierdził, że jej reakcja była zupełnie nietypowa. Pobladła i mocno zacisnęła usta, ale nie okazała swoich uczuć w żaden inny sposób. Jeszcze raz Yves poczuł podziw dla jej opanowania.

Zaprzagnął zapewnić Rachel, że chociaż ten jeden mężczyzna starał się o nią tylko dla jej majątku, nie wszyscy patrzą chciwie na jej rachunek bankowy. Jednak dumny wyraz jej twarzy kazał mu powstrzymać wyrazy współczucia.

Zamiast tego powiedział:

- Wydaje się, że miałaś rację. Jeśli Fairborne ma coś więcej do ukrycia ponad swe niezapłacone rachunki, znalazł na to bezpieczniejsze miejsce niż szuflady biurka. Sądzę, że możemy także wykluczyć jego sypialnię. Nikt nie jest na tyle naiwny, żeby liczyć na to, że ukryje coś przed własnym lokajem.

Uniósł głowę i przyjrzał się badawczo ścianie zastawionej półkami na książki, znajdującej się za plecami Rachel.

- Gdybym chciał ukryć coś takiego jak list albo przepustka...

Rachel zamrugała oczami.

- Chyba nie chcesz przeglądać każdej książki w tej bibliotece? Zabrałoby to ci całą noc.

- Nie, jeśli mi pomożesz.

Posłał jej uwodzicielski uśmiech, który pozwoliłby mu uzyskać wszystko, co zechce, od dam na dworze francuskim. Rachel odpowiedziała mu gniewnym spojrzeniem.

- Nie chcę mieć nic wspólnego z tą brudną sprawą - powiedziała z zaciętością. - To, że hrabia żyje ponad stan, wyjaśnia, dlaczego chciał poślubić kobietę z gminu, ale nie wystarczy, by oskarżać go o zdradę. W przeciwnym wypadku należałoby oskarżyć połowę arystokracji.

- Nie wysunąłem żadnego oskarżenia - zaprotestował Yves. - Ale dopóki nie zbadam wszystkich możliwości, ani ja, ani zwierzchnicy hrabiego w Whitehall nie mogą wypowiadać się na temat czyjejkolwiek winy lub jej braku.

Ku zaskoczeniu Rachel wyciągnął dłoń i odsunął jej luźny kosmyk włosów z czoła za ucho. Gest ten wzbudził w dziewczynie grzeszne sensacje.

- O co chodzi, Rachel? - zapytał cicho. - Boisz się, że znajdę następne dowody świadczące o tym jak bardzo oszukiwał cię człowiek, którego obdarzyłaś uczuciem i zaufaniem?

- Nie. - Zamknęła oczy, by uniknąć spojrzenia Francuza. - Bóg jeden wie, że Edgar ma wiele wad. Wierzę, że mógłby zdradzić kobietę. Moim zdaniem niewielu przedstawicieli waszej płci jest do tego niezdolnych. Ale nie wierzę, żeby mógł zdradzić swoją ojczyznę.

Dłoń Yves'a przesunęła się po policzku Rachel i ujęła ją pod brodę, łagodnie, ale stanowczo.

- Czym on cię zaczarował, że wybaczasz mu chciwość i oszukaństwo? - zapytał.

- Nic mu nie wybaczam - odparła z goryczą. - Ale nie jestem tak mściwa, by pragnąć, żeby został bezpodstawnie oskarżony o zdradę.

- A więc pomóż mi udowodnić, że jest niewinny.

Rachel otworzyła oczy i rzuciła Yvesowi gniewne spojrzenie.

- A niech cię diabli, Francuzie! Dobrze! Jeśli nie ma innego sposobu, żeby się ciebie pozbyć, pomogę ci przewrócić do góry nogami całą tę bibliotekę.

Odsunęła się od niego i podeszła do jednej z półek na książki.

- Zacznę od dolnego rzędu, ty bierz się za następny. Będziemy iść od dołu do góry.

Mniej więcej po dwóch godzinach przeszukali wszystkie książki z pierwszych sześciu półek i nie znaleźli nic, co mogłoby wzbudzić najmniejsze nawet podejrzenia. Jednak Yves zauważył jedną ciekawą rzecz. Wszystkie tomy oprawne były w skórę, a tytuły i nazwiska autorów wypisano złotymi literami, jednak w większości książek karty nie zostały rozcięte.

Widać było wyraźnie, że hrabia wydał fortunę na elegancko oprawione dzieła klasyków, do których nigdy nie zaglądał. Pragnął tylko udawać człowieka czytającego. Ponury wyraz twarzy Rachel powiedział Yvesowi, że świadomość, iż jej szlachetny kawaler cenił sobie bardziej pozory niż istotę rzeczy, była dla niej równie przykrym rozczarowaniem jak widok nie zapłaconych rachunków.

Zaprzagnął położyć dłoń na jej ramieniu, aby ją pocieszyć, tak jak ona jego w parku. Obawiał się

jednak, że dotyk jego ręki to ostatnie, czego dziewczyna w tej chwili pragnie.

Popatrzył na cztery najwyższe półki pełne oprawnych w skórę książek i przeklął swoją głupotę. Gdyby się choć trochę zastanowił, przyszłoby mu do głowy, że oszczędziłby czas, zaczynając od góry, podczas gdy ona szukałaby od dołu. Teraz, aby sięgnąć do najwyższych półek, należy użyć drabinki, co oznacza, że pracować może tylko jedna osoba. W rezultacie będzie musiał spędzić tu resztę nocy.

Jęknąwszy boleśnie, wszedł na pierwszy szczebel drabinki i sięgnął po tom stojący po lewej stronie szóstej półki: „Republikę” Platona. Ku swojemu zaskoczeniu stwierdził, że nie jest to wcale książka, ale gruby na dwa cale klocek drewna z paskiem czerwonej skóry ze złotymi literami od strony, która udawała grzbiet.

- Ładna historia - mruknął, przeciągając palcem wzdłuż wierzchów pozostałych „książek” i stwierdzając, że wszystkie są fałszywe. Wszedł na następny szczebel, sprawdził wyższą półkę i odkrył to samo.

- Jedno trzeba przyznać panu Fairborne - rzekł, tłumiąc śmiech. - Bywa rozrzutny, ale jest także bardzo praktycznym człowiekiem. Wydaje się, że wytyczył sobie pewne granice, których nie zamierza przekroczyć, choć pragnie pozować na znawcę klasyków.

Rachel popatrzyła na niego, marszcząc brwi.

- Czemu tak mówisz?

Yves zszedł z drabinki.

- Możemy sobie darować sprawdzanie reszty książek. Wszystkie są takie same jak to - powiedział, podając dziewczynie drewniany klocek.

Szeroko otwierając oczy ze zdumienia, patrzyła na trzymany w dłoni przedmiot, jakby był to jadowity wąż, gotów w każdej chwili ją ukąsić. Gdy atrapa zaczęła się wyslizgiwać Rachel z rąk, Yves rzucił się, by ją złapać, ale zamiast tego strącił z biurka małą srebrną tackę, na której leżały pióra i воск do pieczętowania listów. Łoskot rozległ się po całym pomieszczeniu.

Klnąc pod nosem Yves podniósł „książkę”, podczas gdy Rachel zebrała z podłogi tacę i pióra. Potem, przykładając palec do ust, nakazał jej milczenie i wstrzymał przez chwilę oddech, nasłuchując, czy hałas nie obudził służby. Tak jak się obawiał, po chwili w hallu przed biblioteką dały się słyszeć kroki.

- Wejdz za kotarę - szepnęła Rachel, a że nie było czasu na nic innego, usłuchał jej kilka sekund wcześniej, zanim otwarto drzwi.

- Bardzo przepraszam, panienko, ale obudził mnie jakiś okropny hałas.

Yves rozpoznał głos Irlandczyka, który dwa tygodnie temu towarzyszył hrabiemu do biblioteki, człowieka stanowiącego źródło jego informacji na temat posunięć Rachel i Fairborne'a.

- Obawiam się, że to przeze mnie, panie O'Reilly - powiedziała Rachel przepraszająco zdumiewająco opanowanym głosem. - Okropna ze mnie niezdar: upuściłam książkę. Strasznie mi przykro, że pana obudziłam.

- I książka narobiła tyle hałasu? - W głosie Irlandczyka zabrzmiało powątpiewanie. - Nic się panience nie stało?

- Wszystko w porządku: po prostu nie mogłam zasnąć.

Yves podziwiał spokój, jaki Rachel potrafiła zachować w tych okolicznościach, jednak już wiedział, że właśnie tego powinien się po niej spodziewać.

-Już dobrze po północy, a na schodach jest ciemno jak w duszy diabła. Czy mam panienkę odprowadzić do jej sypialni?

- Nie, dziękuję, panie O'Reilly. Niech pan wraca do łóżka. Jeszcze trochę potrwa, zanim wybiorę sobie książkę; sama trafię. Jak pan widzi, mam świeczkę. - Urwała na chwilę. - A nawet trzy, więc mogę z łatwością odczytywać tytuły książek.

- Racja, panienko. W takim razie, dobranoc.

- Dobranoc, panie O'Reilly.

Yves odczekał, aż zamkną się drzwi za lokajem, i dopiero wtedy wyłonił się zza kotary. Rachel opadła na krzesło stojące przed biurkiem hrabiego i ukryła twarz w dłoniach.

- Niewiele brakowało - szepnęła. - Na szczęście w ostatniej chwili zauważyłam twoją czapkę i rękawiczki na biurku i zasłoniłam je sobą.

- Rzeczywiście, mieliśmy szczęście - zgodził się Yves przekornie.

Przyjrzała mu się poważnie.

- Przeszukałeś bibliotekę hrabiego i zyskałeś pewność, że hrabia nie jest zdrajcą, którego szukasz.

- Zyskałem pewność, że dowodów nie ma w bibliotece.

Rachel zmarszczyła brwi.

- Nie chcesz chyba przez to powiedzieć, że zamierzasz dalej traktować go jak podejrzanego?

- Muszę, dopóki nie znajdę dowodów, że któryś z dwóch pozostałych jest zdrajcą - warknął, tracąc cierpliwość. Po tym, czego dowiedzieli się na temat hrabiego w ciągu minionych trzech godzin, nie rozumiał, jak Rachel może nadal go bronić.

- Tutaj nie znajdziesz tego, czego szukasz - stwierdziła. - Odejdź więc, zanim oboje wpadniemy w poważne kłopoty.

- Jak sobie życzysz. Ale najpierw odpowiedz mi na jedno pytanie. - Yves przegarnął palcami włosy gestem nieświadomie wyrażającym frustrację. - Jak może taka rzeczowa, inteligentna kobieta zachowywać lojalność wobec kogoś takiego jak Fairborne? Może nie jest zdrajcą, którego poszukuję, ale z pewnością zauważyłaś już, że jest bezwstydnym rozrzutnikiem i bufonem, który próbuje udawać kogoś, kim nie jest.

W oczach Rachel błysnął gniew.

- Nie bronię ani jego rozrzutności, ani też żałosnych usiłowań przedstawienia się jako mędrca. Jestem tylko mniej niż ty skłonna potępiać ludzką słabość. Gdyby było inaczej, nie pomagałabym komuś, kto publicznie afiszuje się w towarzystwie pospolitej dziwki.

Yves otworzył usta ze zdziwienia, słysząc bezmiar niesmaku w jej głosie. Nagle wyobraził sobie, jak musiała go ocenić widząc tę scenę w teatrze, i poczuł, że robi mu się gorąco. Jeszcze jeden punkt dla panienki z Yorkshire. Żadna kobieta nie potrafiła sprawić, by się zarumienił, od czasu, gdy był młodzikiem wychowanym na fermie.

- Punkt dla ciebie, Rachel - stwierdził sucho. - Gdybyś władała szablą tak sprawnie jak językiem,

obawiałbym się o swoje życie. Niemniej jednak nie mówimy teraz o mojej moralności lub też jej braku.

Ujął ją za ramiona i odwrócił twarzą do siebie.

- Chyba nie zależy ci aż tak na posiadaniu tytułu, by po tym, czego dowiedziałaś się dzisiejszej nocy, nadal chciałaś wyjść za tego idiotę Fairborne'a?

Rachel zamrużyła powiekami.

- Dlaczego interesuje cię, za kogo zechcę wyjść za męża?

Yves potrząsnął głową.

- Sam zadawałem sobie to pytanie i jedyna odpowiedź, jaka przyszła mi do głowy, to że lubię cię i nie chcę, żebyś zrujnowała sobie życie.

- *Lubisz mnie?* - Rachel patrzyła na niego w zaskoczeniu, zaintrygowana wbrew samej sobie.

- Tak. Podziwiam twoją uczciwość i inteligencję, twą nieugiętą, acz bezsensowną lojalność wobec przyjaciela i twoje niespodziewane współczucie dla nieznajomego. Krótko mówiąc, uważam, że jesteś najbardziej niezwykłą kobietą, jaką znam. - Popatrzył na nią z powagą. - Jak na ironię, nie tylko pogardzam hrabią, lecz także mu zazdroszczę. Mało kto może pochwalić się tak wiernym przyjacielem jak ty, Rachel Barton. I ja pragnąłbym móc cię tak nazywać.

Rachel wpatrywała się w niego w osłupieniu, niezdolna wypowiedzieć słowo. Słyszała, że Francuzów określa się jako ludzi impulsywnych i wylewnych. Najwyraźniej w świecie była to prawda. Bez najmniejszego zażenowania ten francuski szlachcic oświadcza, że ją lubi i pragnie, aby została jego przyjaciółką. To było zbyt dziwaczne, aby mogło być prawdą.

Istniała jednak pewna wymierna korzyść z posia-

dania francuskich przyjaciół, a mianowicie ich zdolność dobierania określeń. Madame Francine nazwała ją „smukłą”, co brzmiało o wiele lepiej niż „chuda”. Teraz Yves nazwał ją „niezwykłą”, co stanowiło zdecydowaną zmianę na lepsze po „dziwadle”.

Niestety skromne wychowanie w Yorkshire nie przygotowało Rachel na to, jak radzić sobie z tak bezpośrednimi ludźmi ani też z uczuciami, które budził w niej ten konkretny Francuz.

- No i co ty na to, Rachel? Będiesz moją przyjaciółką? - przerwał jej rozmyślenia Yves i wyciągnął do niej rękę.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi ujęła podaną sobie dłoń.

- Dobrze... pod warunkiem, że dotrzymasz obietnicy i powstrzymasz się od oskarżania o zdradę Edgara albo jakiegokolwiek innego Anglika, dopóki nie uzyskasz bezspornych dowodów jego winy.

- Zawsze dotrzymuję obietnic, Rachel. - Yves kreślił kciukiem maleńkie kółka na grzbiecie jej dłoni. - Niemniej jednak także ty powinnaś mi coś obiecać - powiedział, nie przestając gładzić jej ręki. - Dla twojego własnego dobra i mojego spokoju ducha przyrzeknij, że nie pozwolisz Fairborne'owi skraść tego twojego szlachetnego serca.

- Miej do mnie trochę zaufania - odparła z goryczą. - Jestem może naiwna, ale nie głupia.

- A więc odmówisz mu?

- Oczywiście. Od początku nie rozumiałam, dlaczego człowiek o tak wysokiej pozycji stara się o plebejuskę.

Kciuk Yves'a zatoczył większe kółko.

- Nie sprawiasz wrażenia załamanej, przyjaciółko. Rachel potrząsnęła głową.

- Zraniono moją dumę, ale nie serce. - Odebrała mu dłoń. Jeszcze jedno takie kółko, a nie mogłaby tego uczciwie powiedzieć.

- A więc cieszę się, że odkryliśmy brudne tajemnice hrabiego w samą porę, by ustrzec cię przed katastrofalnym mariażem.

Yves wyglądał na tak zadowolonego z siebie, że nie miała serca mówić mu, iż już wcześniej podjęła decyzję o odrzuceniu oświadczyn Edgara, i to wcale nie dlatego, że prowadzone było przeciwko niemu śledztwo, ani też dlatego, że okazał się rozrzutnikiem i oszustem. Wątpiła, czy jeden arystokrata potrafiłby zrozumieć, iż drugi pogrzebał swe szanse na małżeństwo, wyrzucając z pracy lokaja.

Yves puścił rękę Rachel, ale tylko po to, by chwycić ją za ramiona i przyciągnąć do siebie.

- Czy przypieczętujemy naszą umowę przyjacielskim pocałunkiem? - zapytał z błyskiem w swych stalowych oczach. - To byłby uroczy sposób na zakończenie naszych wspólnie spędzonych sekretnych godzin.

Rachel popatrzyła na jego zmysłowe usta. Miała ogromną ochotę pocałować wargi, które były tak blisko... wargi, które śniły się jej po nocach od dwóch tygodni. Nie chciała się jednak do tego przyznać.

-Jeśli chcesz tą propozycją poprawić mi samopoczucie, to jestem bardzo wdzięczna - powiedziała, wysuwając się z jego objęć. - Niewątpliwie pocałunek sprawiłby mi dużą przyjemność. Jednakże sam powiedziałeś, że jestem „naiwna jak dziecko”, jeśli

chodzi o mężczyzn, ty zaś jesteś nim bez wątpienia. A co więcej, jesteś Francuzem, mój przyjacielu.

Westchnęła.

- Krótko mówiąc, nie dorastam do sytuacji. Szkoda marnować takie pocałunki dla nieładnych starych panien z prowincji; powinieneś je zachować dla twojej pięknej francuskiej kochanki.

Yves był tak zdumiony, że aż zachciało jej się śmiać. Najwyraźniej w świecie ten czarujący mężczyzna nie przywykł, by odrzucano jego pocałunki.

Szybko jednak wrócił do siebie i podniósł do ust dłoń dziewczyny.

- Jaka szkoda, że zachowujesz się tak poprawnie, Rachel. Nie wiesz, co tracisz.

Ależ ona to doskonale wiedziała! Aż nazbyt dobrze pamiętała przyjemność, jaką sprawił jej jego pocałunek, i zdawała sobie sprawę z tego, co ją czeka, jeśli pozwoli sobie przyzwyczaić się do niej.

Wyrwała Francuzowi dłoń i podała czapkę i rękawiczki.

- Dobranoc, panie. Jestem zmęczona i pragnę udać się na spoczynek.

Yves założył czapkę, przekręcając ją zawadiacko, naciągnął rękawiczki i przełożył jedną nogę przez parapet okna.

- A więc dobranoc, Rachel - rzucił, uśmiechając się uwodzicielsko. - Nikt nie może zarzucić Yvesowi St. Armand, że stanął damie na drodze do łóżka.

Wyszedł na taras, ale odwrócił się raz jeszcze.

- Pamiętaj, przyjaciółko - powiedział prawie niedosłyszalnym szeptem. - Gdybyś kiedykolwiek po-

trzebowała mojej pomocy, możesz zawsze mnie znaleźć w hotelu Pulteney.

Rachel oparła się o parapet i patrzyła na mroczny ogród długo potem, gdy usłyszała stuknięcie zasuwki w furtce do ogrodu. Na palcach wciąż czuła dotyk ciepłych warg mężczyzny i zastanawiała się nad przewrotnością losu.

Ten jej nowy niezwykle przyjaciel walczył jak lew, by hrabia Fairborne nie położył ręki na jej majątku. Jednak, prawdę mówiąc, Yves St. Armand stanowił dla Rachel znacznie większe zagrożenie niż Edgar Hanley. Za sprawą Edgara mogła bowiem stracić tylko pieniądze, zaś dalsza znajomość z uroczym Francuzem groziła jej utratą serca.

8

Przedświtową godziną, pogwizdując melodię sprośnej piosenki, której nauczył się kiedyś od pewnej paryskiej kurtyzany, Yves wędrował przez ciemne ulice Londynu do hotelu Pulteney. Nie znalazł jeszcze pożądaných dowodów, ale poszukiwania w bibliotece hrabiego nie okazały się bezowocne.

Od chwili gdy natrafił na plik nie zapłaconych rachunków i fałszywe książki do momentu, gdy Rachel obiecała odrzucić oświadczyń Fairborne'a, Yves czuł, że sprzyja mu szczęście. Wciąż miał wyrzuty sumienia, że tak łatwo uzyskał jej obietnicę, ale pocieszał się myślą, że wyjdzie to Rachel tylko na dobre.

Nie kłamał, mówiąc, że ją polubił i nie chciałby, aby zmarnowała sobie życie, wiążąc się z hrabią. Jednak nie powiedział jej wtedy całej prawdy: nie tylko jej dobro miał na celu, ale także swoje własne.

Kiedy wierzyciele zaczną dobierać mu się do skóry, Fairborne będzie musiał wreszcie wpaść w panikę. Nic skuteczniej nie skłoni go do nieprzemysłanych czynów niż koszt od panny, którą chciał złapać dla jej majątku.

Wciąż pogwizdując, Yves wszedł do obszernego,

pokrytego orzechową boazerią hallu hotelu Pulte-
ney, ale zatrzymał się jak wryty na widok znajomej
postaci, która podniosła się z jednego z foteli usta-
wionych koło kominka.

- Późno wracasz - odezwał się w swym ojczystym
języku Philippe de Maret, bliźniaczy brat Amalii. -
Już się bałem, że ten srogi recepcjonista wyrzuci
mnie na ulicę, jeśli się wkrótce nie pojawisz.

Yves podszedł do szczupłego, ciemnowłosego
Francuza, wyciągając ramiona.

- Co cię przywiodło do Londynu? - zapytał, ścis-
kając go serdecznie. - Ostatnio słyszałem, jak przy-
sięgałeś, że nigdy więcej nie opuścisz Paryża.

- Czasy się zmieniają, a my zmieniamy się wraz
z nimi - odparł Philippe i przywitał Yves'a trady-
cyjnym francuskim sposobem, całując najpierw
w lewy, a potem w prawy policzek.

Kątem oka Yves dostrzegł wyraz zgorzzenia i nie-
smaku na twarzy recepcjonisty.

- Nie zwracaj na niego uwagi - powiedział pół-
głosem. - Stracił swego jedynego syna pod Water-
loo i nienawidzi wszystkich Francuzów. Wątpię,
czy okazałby mi choć cień uprzejmości, gdybym ty-
le nie płacił za mój apartament.

- Ach! Więc to dlatego nie pozwolił mi zaczekać
w twoich pokojach, chociaż zapewniałem go, że je-
stem twoim najlepszym przyjacielem i bliskim
krewnym.

- Sądzę, iż raczej chodziło mu o to, że wyglądasz,
jakbyś spał w tym ubraniu przez ostatni tydzień. -
Yves pociągnął nosem. - I cuchniesz.

- Prawdę mówiąc, tak właśnie było. - Philippe

wzruszył ramionami. - Opuszczałem Francję w pośpiechu i nie miałem czasu na pakowanie ubrań. Ledwo zdążyłem założyć spodnie i buty. Mąż damy, u której gościłem, wrócił dosyć niespodziewanie, a że jest dosyć ważną postacią na dworze Ludwika Opasłego, uznałem, że im prędzej oddzieli nas kanał La Manche, tym lepiej.

Yves potrząsnął głową.

- Ile razy mam ci powtarzać, żebyś przestał się interesować cudzymi żonami?

- Cudze żony nigdy nie chcą zostać *moimi* żonami. - Uśmiechając się Philippe tak bardzo przypominał swą siostrę, że Yves instynktownie przygotował się na przypływ bólu, który towarzyszył mu zawsze, gdy myślał o Amalii. Ból nadszedł, jednak tym razem, po raz pierwszy od trzech lat, jakie upłynęły od jej śmierci, był na tyle łagodny, że mógł go znieść, nie oblewając się przy tym zimnym potem.

- No to jak, pozwolił mi u siebie przenocować i pożyczysz mi pieniądze na ubrania? - zapytał Philippe z niejaką niecierpliwością, która charakteryzowała wszystkich de Maretów. - Bo jeśli nie, to znajdę się w poważnych kłopotach: nie mam przy sobie ani jednego franka.

- Od kiedy się znamy, nigdy nie masz grosza przy duszy - odparł Yves, prowadząc Philippe'a w stronę schodów znajdujących się w przeciwnym końcu recepcji. - Ani ty, ani Amalia nigdy nie mieliście szacunku dla pieniędzy.

- To prawda. Na szczęście ty się nami zaopiekowałeś.

- A kto się zajmie tobą, kiedy zakończę moje sprawy w Londynie i pożegluję do Ameryki?

Zanim Philippe zdążył mu udzielić odpowiedzi, Yves dostrzegł, że w ich stronę zbliża się siwowłosa, skromnie ubrany mężczyzna.

- Co się dzieje? - zawołał Yves, zatrzymując się z jedną nogą na stopniu. - To Neville Bittner, sekretarz lorda Castlereagha. Musi mieć jakieś nowiny na temat naszego zdrajcy, i to ważne, skoro przyszedł tu o tej porze.

- Czy wiesz już, kim jest ten Anglik, który spowodował śmierć Amalii? - Philippe natychmiast odrzucił maskę wyrafinowanej beztrioski i popatrzył na zbliżającego się mężczyznę chłodnym okiem sprawnego agenta, współpracownika Yves'a w czasie wojny.

- Mam trzech podejrzanych, z których jeden jest szczególnie interesujący. Jednak na razie brak mi dowodów, jakich domaga się Whitehall.

- Od kiedy to usiłujesz sprostać wymaganiom Whitehall?

- To długa historia - odparł Yves. - Opowiem ci wszystko, gdy już wysłuchamy, co ma nam do powiedzenia Bittner.

Po krótkim powitaniu Yves zaprowadził Bittnera i Philippe'a do swego apartamentu i nalał trzy duże brandy.

- Może pan mówić swobodnie - powiedział do krępego mężczyzny w średnim wieku. - Philippe de Maret był jednym z najbardziej zaufanych agentów Wellingtona i ma osobiste powody pragnąć, aby zdrajca został ujęty.

Bittner przez chwilę beznamyślnie patrzył na Philippe'a, jakby chciał ocenić prawdziwość słów Yves'a, a potem powiedział:

- Lord Castlereagh przesyła dwie wiadomości. Po pierwsze, dowiedzieliśmy się, że majątek wicehrabiego Blevinsa został mu zapisany przez pewnego oksfordzkiego profesora, a fortuna barona Thorntona to spadek po wuju z Jamajki, który zmarł bezpotomnie.

- A niech cię diabli. To ich wyłącza z podejrzeń - warknął Yves. - Szkoda, że to nie Thornton. Panna Barton twierdzi, że jest w nim coś, co budzi w niej niemiły dreszcz.

Bittner uniósł znacząco brew.

- Myślę, że bardziej zaciekawi pana moja druga wiadomość. - Pociągnął spory łyk brandy. - Wiedział pan, oczywiście, że policja wysłała człowieka, który miał śledzić hrabiego Fairborne.

- Zgadza się.

- I że podążył za nim do Dover.

- Przysłał mi taką wiadomość tuż przed opuszczeniem Londynu.

- Jego ciało znaleziono dziś wieczorem w ślepej uliczce na tyłach Błękitnego Wieloryba, portowej knajpy o złej sławie. Między oczami miał dziurę po kuli.

- *Sacre bleu!*

- Pozbawiono go wszelkich znaków tożsamości, ale na szczęście właściciel tawerny rozpoznał go jako policjanta, który zeszłej jesieni prowadził w Dover śledztwo w sprawie serii kradzieży, i dał znać na Bow Street.

Bittner urwał i upił łyk brandy.

- Zgodnie z jego powiadomieniem, w uliczce znaleziono jeszcze dwa inne ciała: kobiety, miejscowej dziwki, i dobrze ubranego francuskiego dżentelmena, który przybył do Dover trzy dni wcześniej. Tyle wiem w tej chwili. Mimo to wydaje mi się mało prawdopodobne, by hrabia Fairborne przypadkiem wyruszył co koń wyskoczy do Dover zaledwie na kilka godzin przed morderstwem.

Yves mocno zacisnął palce na swoim kieliszku.

- Jeśli kiedykolwiek miałem wątpliwości, że jest on zdrajcą, to teraz już nie. Zaryzykowałbym przypuszczenie, że zamordowany był dawnym urzędnikiem Bonapartego i zagroził, że ujawni rolę Fairborne'a, o ile ten mu się nie opłaci.

- Jego lordowska mość uważa tak samo - zgodził się Bittner. Dokończył swoją brandy i odstawił kieliszek na mały stolik stojący obok jego fotela. - Lord Castlereagh sądzi też, że powinien pan jak najszybciej osobiście zbadać miejsce zabójstwa, gdyż może pan znaleźć coś, co pomogłoby ustalić tożsamość mordercy. Niech się pan jednak ma na baczności. Śmierć policjanta świadczy o tym, że zdrajca, którego chcemy zdemaskować, jest bardzo niebezpieczny. Kevin Monahan był jednym z naszych najlepszych ludzi. Powinien był wyjść zwycięsko z takiej potyczki.

Yves pociągnął spory łyk brandy, ale nawet najznakomitszy alkohol nie rozproszyłby chłodu, który go przeniknął.

- Proszę przekazać jego lordowskiej mości moje podziękowanie za informacje i ostrzeżenie. Natych-

miast wyruszam do Dover. Zapewniam, że zachowam należyłą ostrożność. Nie mam zamiaru zginąć, zanim ten łotr nie zapłaci za swoje występki.

- Niech pana Bóg prowadzi. Pomyślnych łowów - rzucił Bittner, skłonił się i odszedł.

- A teraz opowiedz mi całą historię - rzekł Philippe, przechodząc na język francuski, gdy tylko zamknęły się drzwi za sekretarzem ministra spraw zagranicznych. - Najpierw jednak musisz mi wyjaśnić, jeśli łaska, dlaczego wyglądasz, jakbyś dostał w głowę szczególnie ciężkim młotkiem.

- Bo tak chyba było. - Yves automatycznie odpowiedział w swym ojczystym języku. Podszedł do okna i popatrzył, jak blady blask wschodzącego słońca zaczyna powoli rozjaśniać ulicę przed hotelem. Jęknął, a potem uderzył pięścią w futrynę okna.

- Boże, co we mnie wstąpiło, że popełniłem takie głupstwo? Wiedziałem, że ten zdrajca morduje z zimną krwią, a Fairborne cały czas był moim pierwszym podejrzanym.

Philippe patrzył na niego w osłupieniu.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał. - Nie pierwszy raz masz do czynienia z mordercą. Nigdy jakoś się ich nie bałeś.

Yves odwrócił się do przyjaciela.

- Nie boję się o siebie. Fairborne stara się o majątną plebejuskę z Yorkshire: starą pannę, która okazuje mu o wiele za dużo zaufania, by miało jej to wyjść na dobre.

Philippe uśmiechnął się kwaśno.

- Ach, rozumiem. A ty nawiązałeś z nią romans.

- Nic takiego - warknął Yves, uparcie starając się wyrzucić z pamięci wspomnienie ciepłych, złoto-brązowych oczu Rachel i delikatnego dotyku jej dłoni. - To brzydka jak noc tyczka do grochu: zupełnie nie w moim typie. Ale jest dobra i szlachetna... Do licha, nie chcę, żeby stało jej się coś złego.

- Jak przystało na dżentelmena. - Philippe zmarszczył brwi. - Ale dlaczego mam wrażenie, że jest w tym coś jeszcze?

Yves zacisnął pięści, wbijając sobie paznokcie w dłonie.

- Wiem, że Fairborne za wszelką cenę chce położyć łapę na majątku Rachel, i miałem nadzieję, że zrobi coś głupiego, gdy ona odrzuci jego oświadczyzny.

- A więc?

- A więc udowodniłem jej, że hrabia ma tak wielkie długi, iż gotów byłby poślubić jakąkolwiek kobietę, byleby dysponowała odpowiednio wielkim majątkiem.

Philippe gwizdnął cicho.

- Co oznacza, że igrasz z ogniem.

- Właśnie. Na dodatek dopiero teraz zdałem sobie z tego sprawę. - Yves krążył po pokoju jak tygrys w klatce. - W imię przyjaźni namawiałem ją, by odrzuciła jego oświadczyzny, nie zastanawiając się ani przez chwilę, do czego może być zdolny hrabia, gdy Rachel mu się sprzeciwi. Ładny ze mnie przyjaciel. Tak bardzo pragnąłem pomścić śmierć jednej kobiety, że niechcący wystawiłem na niebezpieczeństwo inną.

Philippe podszedł do stojącej pod ścianą szafki i nalał sobie następną brandy.

- Co się stało, to się nie odstanie. Twoim głównym celem jest wypłoszyć zdrajcę z ukrycia, a nie możesz być równocześnie i w Dover, i w Londynie.

- To prawda, ale mam swoją wtyczkę w domu hrabiego. Mogę więc przynajmniej wysłać chłopaka z pięcioma funtami i poleceniem, żeby O'Reilly jej pilnował, dopóki nie wrócę.

- A więc zrób to, jeśli ci na tym zależy - powiedział Philippe, jednym haustem opróżniając swój kieliszek. - Tymczasem ja się wykapię, wybiorę sobie coś z twoich ubrań i za godzinę możemy wyruszać do Dover.

- My? - Yves uśmiechnął się; od razu poczuł się znacznie lepiej. Nie znał nikogo, kto lepiej osłaniałby jego tyły niż Philippe de Maret, ani nikogo bardziej odpowiedniego do ochrony Rachel przed tym diabłem, Fairborne, niż jego własny, sprytny irlandzki lokaj.

Przedłużającą się ponad wszelką przyzwoitość drzemkę Rachel przerwała Mary, pokojówka, która oznajmiła, że hrabia powrócił już do Londynu i zamierza towarzyszyć jej przy obiedzie.

A niech to diabli! Rachel zrzuciła z siebie kołdrę i usiadła, zwieszając nogi z łóżka.

Nie spodziewała się, że Fairborne pojawi się tak rychło. Poza tym nie przywykła do odsypiania nocy w ciągu dnia. Czuła, że jest zdenerwowana, zdezorientowana i zupełnie niewypoczęta: kiepski stan, by powiadamiać para królestwa, że się go nie poślubi. Musi to jednak zrobić, i to im prędzej, tym lepiej.

Przebrała się z pomocą Mary, uporządkowała włosy i skierowała się do saloniku sąsiadującego z jadalnią, gdzie byli już Edgar i Verity, sącząc przedobiednią sherry. Na widok Rachel Edgar poderwał się z sofy.

- Problem, który miałeś pan w swej posiadłości w Surrey, nie okazał się zbyt poważny, jak widzę - powiedziała, podając mu rękę.

- Wszystko już naprawione. - Podniósł jej dłoń do ust, uśmiechając się tajemniczo, a Rachel po raz kolejny stwierdziła, że jego dotyk nie robi na niej najmniejszego wrażenia, podczas gdy ten sam gest w wykonaniu Yves'a wywoływał w niej rozkoszny dreszcz.

- Wybacz mi niedbałość stroju: jestem prosto z drogi - tłumaczył się hrabia, gdy Rachel usiadła na krześle stojącym naprzeciwko sofy. - Nie chciałem tracić czasu na ablucje i przebieranie się, gdyż opóźniłoby to kolację o jakąś godzinę czy dwie, a jestem głodny jak wilk.

- Nic nie szkodzi, milordzie - odrzekła Rachel z uśmiechem. Jego porównanie było bardzo trafne. Rzeczywiście, swym wyglądem przypominał teraz trochę dzikiego zwierza.

Brakowało mu też jednego z ozdobnych, srebrnych guzików przy wytwornej kamizelce. Szkoda, bo były dosyć niezwykłe: przedstawiały miniaturowego zielonookiego smoka z rozdwojonym ogonem, replikę smoka z herbu Fairborne'ów, wiszącego w wejściowym hallu ich miejskiej rezydencji. Oczy bestii wykonane były z maleńkich szmaragdów.

- Tęskniłaś za mną? - zapytał, siadając z powrotem na sofie.

- Czy tęskniła? - Verity poklepała go wachlarzem po ramieniu. - Nigdy się do tego nie przyzna, ale bez pana nie wiedziała zupełnie, co ma ze sobą zrobić.

- Doprawdy. Miło mi to słyszeć. - Dziwny, prawie triumfujący ton głosu Edgara, a także jego łaskawy uśmiech sprawił, że Rachel zacisnęła ze złością zęby.

- Nasza droga dziewczynka cały czas snuła się po domu jak pokutująca dusza i czekała pana powrotu. - Verity westchnęła. - Nie spodziewałam się, że kiedykolwiek ujrzę coś takiego.

Rachel jęknęła w duchu. Każde słowo tej nadgorliwej idiotki utrudniało jej odmowę.

- Wcale się nie snułam - mruknęła. - Zapakowałam kufry, a potem czytałam moje nowe książki.

- Mimo to cieszy mnie, że tęskniłaś za mną tak samo jak ja za tobą, moja najdroższa - ogłosił Edgar, nie zrażony uwagą o pakowaniu kufrów. Odstawił niedopity kieliszek na stolik znajdujący się obok sofy i, pochylając się do przodu, mocno uściśnął obie dłonie Rachel. - Moje szczęście nie ma granic. Tak długo czekałem na znak, że odwzajemniasz moje uczucia.

Rachel chciała powiedzieć, że ów „znak” przyszedł od Verity, a nie od niej, ale hrabia nie pozwolił jej dojść do słowa.

- Nareszcie niepewność minęła, a ja czuję, że dokonałem słusznego wyboru, prosząc cię o rękę.

- No, cóż, chyba musimy o tym porozmawiać, milordzie. Na osobności, jeśli łaska.

- Ależ o czym tu rozmawiać, pani mego serca? Okazałaś swe uczucia do mnie, a co do moich, jesteś ich już od dawna świadoma.

Niecierpliwość brzmiała w głosie Edgara zaskoczyła Rachel. Przypomniała jej wieczór, kiedy łajał nieszczęsnego lokaja.

- Najlepiej będzie, jeśli odpocznie pan po podróży, zanim odbędziemy naszą rozmowę - powiedziała cicho.

- Nie muszę odpoczywać. Chcę jak najprędzej uporządkować moje sprawy. Powiedz tylko kiedy, Rachel, a natychmiast uzyskam pozwolenie na ślub.

- Jakież to romantyczne - ćwierknęła z zachwytem Verity.

Rachel popatrzyła na hrabiego z niesmakiem.

- Pozwala pan sobie na nazbyt wiele, milordzie. Nie zamierzam ustalać żadnej daty. - Chciała wyrwać mu dłoń, ale hrabia tylko mocniej przytrzymał jej ręce.

- Po co odkładać rzecz nieuniknioną? - zapytał, a drżenie prawej powieki zdradzało jego zdenerwowanie. - Oboje wiemy, że naszym przeznaczeniem jest pobrać się prędzej czy później.

Verity pokiwała głową.

- Hrabia ma absolutną rację, Rachel. Mój drogi Wilfred zawsze powtarzał, że kobieta nie powinna być nazbyt uparta.

- Według mnie nie jestem zobowiązana do ślubu z kimkolwiek - stwierdziła Rachel, starając się opłamać rosnący gniew. W dniu pogrzebu swego ojca przysięgła sobie, że nie pozwoli nikomu więcej

się tyranizować i przysięgi tej zamierzała dotrzymać z całą stanowczością.

Przez mgnienie oka wydawało jej się, że w oczach hrabiego pojawił się wyraz wściekłości. Zaraz jednak wróciła do dobroci. Puszczając jej rękę, powiedziała:

- Wybacz, że cię tak ponaglam, moja droga. Jak każdy zakochany, staję się niecierpliwy.

Wydawało się to szczerze. Być może uwierzyłaby mu, gdyby nie widziała szuflady pełnej rachunków, które muszą być zapłacone hordzie wierzycieli. Zadrżała, przypominając sobie, jak niewiele brakowało, a uległaby złudzeniu, że w Edgarze będzie miała kochającego męża, który da jej uroczę dzieci.

- Nie drocz się ze mną dłużej, droga Rachel - wyszeptał. - Ustalmy datę ślubu: nie każ mi więcej cierpieć.

Cierpieć. Bardziej niż kiedykolwiek wyczuwała jego desperację, ledwo ukrywaną pod nieszczerym uśmiechem.

Kłopoty w Surrey musiały być poważniejsze, niż twierdził. One to, a także problemy finansowe, sprawiały, iż rozrzutny hrabia tonął w długach i wyraźnie liczył na to, że Rachel stanie się jego liną ratunkową.

Wystarczy tego przedstawienia. Najwyższa pora wyjaśnić mu, że nie ma szans na mariaż. Miała nadzieję uczynić to bez obecności Verity, ale jeśli hrabia pragnie widowni, to proszę bardzo. Gniew wywołany jego przewrotnością już prawie minął i teraz czuła jedynie niesmak i litość dla człowieka, którego kiedyś nazywała swoim przyjacielem. Chociaż na

to nie zasługiwał, da mu szansę wycofania się z honorem z tej niesmacznej afery.

Uśmiechnęła się słodko.

- Obiecuję, że bardzo starannie rozważę pańską propozycję, milordzie. Jednak kobieta, która ma takie obowiązki jak ja, nie może podejmować pochopnych decyzji. Dam panu odpowiedź po upływie sześciu miesięcy.

- Sześć miesięcy! - wybuchnął hrabia. - Ależ to niemożliwe! Nie możesz się domagać, abym czekał na twoją decyzję przez pół roku!

Westchnęła.

- To bardzo być może. Zrozumiem zatem, jeśli zwróci pan swój afekt ku innej osobie. Może powinien pan zainteresować się jakąś inną panną na wydaniu, taką, która należy do pańskiej własnej sfery. Na szczęście mnie poświęcił pan zaledwie kilka tygodni.

- Jak możesz! - Verity przenosiła zgorszone spojrzenie z Rachel na hrabiego i z powrotem. - Ona jest chora, milordzie. Powinam się była domyślić: całe popołudnie spędziła w łóżku.

- Jedyna choroba, na jaką cierpię, to nostalgia - warknęła Rachel. - Spakowałam kufry i chcę jak najprędzej wracać do Yorkshire.

Hrabia pobladł.

- Nie mówisz tego serio, najdroższa. Jesteś rozdrażniona, bo zbyt często zostawiałem cię ostatnio samą, nieprawdaż? Tak, chyba o to chodzi. Jednak nie można podejmować pospiesznych decyzji, kierując się chwilowym gniewem. Twoja nieroztropność świadczy, iż potrzebujesz mężczy-

zny, który będzie za ciebie podejmował decyzje.

Rachel zgrzytnęła zębami.

- Ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, jest mężczyzna, który będzie za mnie myślał - oznajmiła lodowato.

- To nie przelotny gniew sprawił, że pragnę wrócić do Yorkshire. Po prostu nie lubię zbyt długo zostawiać przedzalni w rękach nadzorcy. - Prawdę mówiąc, zawierzyłaby Jacobowi Zimmermanowi własne życie, ale hrabia nie musiał o tym wiedzieć.

Fairborne przyobiekł swe przystojne oblicze w wyraz współczucia, ale Rachel poczuła się tym jeszcze bardziej zaniepokojona.

- Rozumiem twą troskę o przedzalnię - powiedział. - Tym bardziej więc potrzebujesz męża, który nią się zajmie.

Verity parsknęła.

- Dokładnie to samo powtarzam jej od trzech lat.

Rachel potrząsnęła głową.

- Co za bzdury!

- Powiedz mi, moja droga - zapytał cicho hrabia - jak zamierzasz wrócić do Yorkshire?

- Tak samo, jak przyjechałam do Londynu - odparła, a potem przypomniała sobie, że odbyła podróż kareta hrabiego.

Podniósł kieliszek do ust i upił łyk sherry. Rachel wstrzymała oddech, nagle obawiając się tego, co może usłyszeć.

- Niestety, nie mogę ci teraz zaoferować mej podróżnej karety. - Uśmiechnął się z zadowoleniem. - Jest w naprawie, a moja kareta miejska nie nadaje się do takiej długiej podróży.

Rachel powoli wypuściła powietrze z płuc.

- Jak długo potrwa ta naprawa?

Fairborne wzruszył ramionami.

- Kto to wie? Może ze dwa miesiące? W dzisiejszych czasach rzemieślnicy są szalenie niesolidni.

- A więc muszę wynająć jakiś powóz - stwierdziła. Na szczęście zabrała ze sobą z Yorkshire wystarczającą ilość pieniędzy, które trzymała ukryte w czubku jednego ze swych bucików.

- Na drogach aż roi się od złodziei i rozbójników. Lepiej nie jedź, moja droga. Jako gospodarz jestem odpowiedzialny za twoje bezpieczeństwo, nie mogę więc pozwolić, abyś wyruszała w taką podróż wynajętym powozem. Lękam się, że istotnie potrzebujesz męża, który uchroni cię przed popełnianiem podobnych błędów. Co więcej, krążą na twój temat złośliwe plotki. Mówi się, że w mojej rezydencji mieszka kobieta bez przywoitki.

- To nonsens. Przecież towarzyszy mi kuzynka mojego ojca, kobieta o nieskazitelnej reputacji.

Hrabia złożył Verity elegancki ukłon, który sprawił ją w rozkoszne pomieszczenie.

- Ty to wiesz i ja także, że pani Dalrymple jest odpowiednią osobą. Niestety, nie jest znana w wielkim świecie.

Rachel parsknęła ironicznie.

- Nie dbam, co o mnie myśli wielki świat.

- Ale mnie zależy na ich opinii, moja droga. Nie pozwolę, by moja reputacja została narażona na szwank przez głupie plotki.

Rachel ugryzła się w język, żeby nie wytknąć mu, że najłatwiejszym sposobem na zszarganie reputacji jest niepłacenie rachunków.

- W takich okolicznościach - ciągnął Fairborne - nie mam wyjścia, jak tylko ogłosić nasze zaręczyny w jutrzejszym „Timesie”.

- Pan chyba oszalał!

Verity zachnęła się i chwyciła Rachel za ramię.

- Jak możesz tak się odzywać do jego lordowskiej mości! Usłuchaj go. Jest mężczyzną i parem królestwa. Wie, co mówi. - Westchnęła. - Mój drogi Wilfred zawsze powtarzał: „Kobieta, która przykładła zbyt wiele wagi do własnego zdania, stanowi zagrożenie dla samej siebie i dla swego otoczenia”.

- Bardzo mądre zdanie - stwierdził hrabia. - Jestem pewien, że zastanowiwszy się trochę, Rachel zgodzi się z nim w całej rozciągłości - dodał jedwabnym głosem i uśmiechając się łagodnie, podał jedno ramię Rachel, a drugie Verity. - Udajmy się więc na kolację, moje panie. Jestem bardzo głodny.

Myśl o spożyciu kolacji w towarzystwie tego natrętnego człowieka przyprawiła Rachel o mdłości.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała sztywno. - Pragnę udać się do mojego pokoju, gdyż całkowicie straciłam apetyt.

- Jaka szkoda. Kiedy zgłodniejesz, powiadom o tym lokaja, którego postawiłem pod twoimi drzwiami.

Rachel nie wierzyła własnym uszom.

- Od kiedy to kazałeś lokajowi pilnować mnie?

- Od chwili gdy uznałem, że jesteś, pani, najważniejszą istotą w moim życiu i w związku z tym muszę cię chronić jak żrenicy oka.

Verity otarła łzę.

- Co za troska, milordzie. Mój drogi Wilifred był

zupełnie taki sam. Mam nadzieję, że Rachel wkrótce doceni szczęście, jakie ją spotyka.

- Z pewnością, droga pani - rzekł Fairborne, uśmiechając się. - Sama przecież nazwała mnie kiedyś „najlepszym z ludzi”.

Rachel miała tego dosyć. Bez słowa odwróciła się na pięcie, przeszła hall i wspięła się po schodach na piętro, do swojej sypialni. Postanowiła uspokoić się, zebrać myśli i zdecydować, jak wypłatać się z sieci, w którą hrabia z takim uporem usiłował ją uwikłać.

9

Minęła jedna godzina, a potem druga, a Rachel nie potrafiła wymyślić rozwiązania swojego problemu. Ogarnął ją natomiast lęk, gdy zdała sobie sprawę, że z własnej winy znalazła się całkowicie na łasce hrabiego.

Jakże była niemądra! Jak mogła nie dostrzec, że jest właśnie tak, jak twierdził Yves: hrabia znalazł się w rozpaczliwej sytuacji finansowej i nic go nie powstrzyma przed zagarnięciem jej majątku.

Zaburczało jej w żołądku: nie jadła ani lunchu, ani kolacji. Duma nie pozwalała jej jednak zażądać od lokaja stojącego pod drzwiami, by przyniósł coś do jedzenia. Nie miała też pojęcia, gdzie jest Verity. Po tym, jak wygłosiła swoją tyradę przeciwko powrotowi do Yorkshire, Rachel nie pozostawało nic innego, jak przesłać swej dalekiej krewnej krótki list zwalniający ją ze stanowiska damy do towarzystwa. Uczyniwszy to, usiadła wygodnie i zaczęła czekać, ale nie wiedziała na co. Kiedy wreszcie zdecydowała się, że duma nie zastąpi obiadu, usłyszała pukanie do drzwi.

- Kto tam? - zapytała, gotowa zabarykadować się przed hrabią.

- To ja, panienko. - Głos Mary był stłumiony

i jakby drżący. - Przyniosłam kolację i mam pomóc panience przygotować się do snu.

Rachel odetchnęła z ulgą.

- Jesteś sama?

- Tak, panienko, tylko w hallu siedzi lokaj. Niech mnie panienka wpuści. Gospodyni, pani Tibbs, wyrzuci mnie z pracy, jeśli nie zrobię tego, co do mnie należy.

Rachel uwierzyła jej słowom. Po incydencie z lokajem nic już nie jest jej w stanie zdziwić w tym domu. Uchyliwszy drzwi, stwierdziła, że Mary jest rzeczywiście sama, a potem wpuściła ją do środka.

Dziewczyna była bledsza niż zwykle, a jej oczy wydawały się większe.

- Nic panience nie jest? - szepnęła, stawiając tacę z kolacją na nocnym stoliku. - Podśluchiwałam pod drzwiami i wiem, co hrabia panience powiedział. Słyszałam także, jak polecił panu O'Reilly wysłać lokaja, żeby panienki pilnował.

Chociaż noc była parna, Mary zadrżała i skuliła się, jakby zrobiło jej się zimno.

- Przyszłam, żeby panienkę ostrzec. Niech pani stąd ucieka dziś w nocy. Niech pani wraca do domu, zanim hrabia zmusi panienkę do ślubu.

Rachel uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Dziękuję ci za dbałość o moje sprawy, ale żaden mężczyzna nie może zmusić mnie do ślubu. Żyjemy w dziewiętnastym wieku, nie w średniowieczu.

- Za pozwoleniem, panienko, ale widać, że nie ma pani pojęcia, do jakich niegodziwości zdolni są mężczyźni, zwłaszcza gdy tak bardzo potrzebują pieniędzy, jak hrabia. Służba nie dostała wypłaty,

ani w tym kwartale, ani w poprzednim. To dlatego kucharz odszedł do innych państwa.

- Wcale mnie to nie dziwi - powiedziała Rachel, wspominając stos nie zapłaconych rachunków.

Mary popatrzyła na nią z zakłopotaniem.

- Nie wątpię, że jest pani równie mądra jak hrabia albo jeszcze mądrzejsza. Ale mężczyzna tak duży i silny jak jego dostojność może zrobić z panienką co zechce. Nie da mu panienka rady. Niech się panienka zastanowi: jeśli będzie panienka miała z nim dziecko, czy chciałaby panienka, żeby było bękartem?

Pod Rachel ugięły się kolana, więc w ostatniej chwili usiadła na łóżku. Coś takiego nie przyszło jej do głowy. Jednak przypomniawszy sobie, jak mocno hrabia trzymał ją za ręce, uznała, że Mary ma rację.

- Wyjechałabym natychmiast, gdybym wiedziała, że uda mi się przejść obok tego lokaja - powiedziała, wstydząc się drżenia swego głosu.

- Mogę panience pomóc. Znam dobrze tego człowieka. Łatwo go wprawić w zakłopotanie. Dokąd jednak panienka pójdzie w środku nocy?

- Mam przyjaciela, który mieszka w hotelu Pulteney - powiedziała Rachel po chwili zastanowienia. - Myślę, że mógłby mi pomóc wrócić do Yorkshire: przynajmniej mam taką nadzieję. Czy wiesz, gdzie jest ten hotel?

- Oczywiście, panienko. To wspaniały hotel i każdy londyńczyk wie, jak tam trafić. Ale o tej porze nie znajdzie pani dorożki, a kobieta nie powinna chodzić sama po ulicach po zapadnięciu zmro-

ku. - Zawahała się. - Ale mogłabym pójść z panienką, a nawet pojechać do Yorkshire, jeśli panienka zechce.

- To bardzo pocziwe z twojej strony, Mary, ale nie mogę pozwolić, żebyś z mojego powodu rujnowała sobie życie.

Na bladych policzkach dziewczyny wykwitły jaskrawe rumieńce.

- Mnie także wyjdzie to na dobre, panienko. Pani Tibbs ma bardzo ciężką rękę. - Nabrała powietrza do płuc. - Poza tym muszę znaleźć się jak najdalej od pewnego lokaja, który ma wobec mnie nie całkiem uczciwe zamiary.

- Rozumiem. A więc umowa stoi, mnie zaś przyda się taka dobra pokojówka jak ty. - Rachel przyjrzała się zarumienionej twarzy dziewczyny. - Czy to przypadkiem nie ten lokaj, na którym się zawiodłaś, pilnuje moich drzwi?

- Ten sam - szepnęła Mary, pochylając głowę w zawstydzeniu.

- A więc nie zmartwię się, jeśli straci pracę, ponieważ ja ucieknę przed równie nikczemnym hrabią.

- Gdyby to ode mnie zależało, hultaj straciłby znacznie więcej niż posadę - stwierdziła Mary z goryczą. - Nie mnie jednak o tym decydować. Przyjdę tuż przed północą i zajmę go, podczas gdy panienka wymknie się z pokoju. Schody dla służby są na końcu hallu. Pójdzie panienka nimi, a potem wyjdzie przez drzwi kuchenne do ogrodu i tam na mnie zaczeka. Da panienka radę?

- Oczywiście. - Rachel uśmiechnęła się do swej dzielnej współpracownicy. - Ale mam nadzieję, że zda-

jesz sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmujesz, pomagając mi. Jeśli ucieczka się nie powiedzie, stracisz pracę, nie dostaniesz referencji, a ja nie będę ci mogła wiele pomóc.

- No to nie mamy wyboru: musi nam się udać. - Szepnąwszy jeszcze: - A więc o północy - Mary otworzyła drzwi i wybiegła z sypialni.

Północ. Słowo to sprawiło, że serce Rachel zabiło żywiej. Drugą z kolei noc będzie czekać zamknięta w sypialni na wybiecie tej magicznej godziny. Tylko że tym razem to nie Yves do niej przyjdzie, lecz ona do niego i okaże mu coś, co jej ojciec niewątpliwie nazwałby „idiotycznym ślepym zaufaniem” - odda w jego ręce swoje życie i przyszłość.

Wschodzące słońce oświetlało już pokryte brudem ściany londyńskich domów, gdy Yves i Philippe odprowadzali do stajni zmęczone konie. Potem weszli do recepcji hotelu Pulteney. Było tam jak zwykle nieprzytulnie, ciemna boazeria wprowadzała ponury nastrój, eleganckie krzesła i kanapy nie stały się nic a nic wygodniejsze, zaś recepcjonista jak zawsze patrzył wilkiem. Jednak Yves był tak rad, że znowu się tu znalazł, iż gotów był upaść na kolana i całować róże zdobiące wełniany dywan.

Wyprawa do Dover była męcząca i nie dała żadnych rezultatów. Miał nadzieję, że w pokoju zamordowanego Francuza natrafi na jakieś ślady jego związków z Fairborne'em. Tymczasem nie znalazł tam nic ciekawego: brudną koszulę, zmianę bielizny i szczotkę do włosów oprawną w kość słoniową.

W uliczce, gdzie człowiek ten stracił życie wraz ze

swą portową dziewczką i jednym z najlepszych ludzi z Bow Street, ślady były równie nikłe. Yves wymacał w kieszeni nieduży przedmiot, który stanowił jedyne memento tej bezowocnej podróży: trochę tylko zmatowiały srebrny guzik, który mógł leżeć w bocznej alejce jeden dzień, jeden tydzień, a może cały rok, zanim Yves nie wypatrzył go pośród różnych śmieci.

Zdawał sobie sprawę, że guzik ów mógł zdobić kamizelkę każdego z dziesiątków mężczyzn, którzy przejeżdżali przez Dover. W zajeździe Pod Błękitnym Wielorybem zatrzymywało się wielu podróżnych, a goście z baru często chodzili do bocznej alejki za potrzebą albo aby dobić targu z dziewczyną lekkich obyczajów.

Yves nie wyrzucił guzika, gdyż oczami duszy widział tego eleganta, Fairborne, w kamizelce z niezwykłymi guzikami w kształcie miniaturowych smoków o oczach z maleńkich szmaragdów. Co więcej, z jakiejś tajemniczej przyczyny mrowiły go palce, gdy dotykał guzika.

Nie mógł jednak tego traktować jako wskazówki. Jeśli przypadkiem guzik został oderwany od kamizelki Fairborne'a przez jedną z osób, które zamordował, zbrodniarz niewątpliwie pozbyłby się kamizelki i pozostałych guzików.

Przed wejściem na górę Yves zatrzymał się przy kontuarze.

- Czy nie było dla mnie żadnych wiadomości?

Recepcjonista spojrział na niego z niechęcią.

- Nie.

Yves odetchnął z ulgą. Najbardziej obawiał się,

że pod jego nieobecność Rachel mogła przesłać mu wiadomość z prośbą o pomoc. Owszem, prosił O'Reilly'ego, aby miał na nią oko, ale niechętnie pozostawiał dziewczynę pod opieką aż nazbyt przedsiębiorczego Irlandczyka.

Prześpi się jakąś godzinkę, a potem postara się dać jej znać, żeby lepiej trochę poczekała, zanim odrzuci oświadczyzny Fairborne'a. Chociaż ona pewnie go i tak nie usłucha. Rachel Barton to jedna z najbardziej upartych i przemyślanych kobiet, jakie miał nieszczęście poznać.

Był już jedną nogą na schodach, gdy usłyszał zgryźliwy głos recepcjonisty.

- Może jednak zaciekawi pana, Francuzie, że jakiś czas po północy pytała się o pana jakaś kobieta. Jak już mówiłem, nie zostawiła żadnej wiadomości.

Yves odwrócił się gwałtownie i podbiegł do kontuaru, a Philippe poszedł w jego ślady.

- Kobieta? Jak się nazywała?

- Nie podała nazwiska.

- Czy była nieduża, ciemnowłosa i mówiła z francuskim akcentem? - Jacqueline Esquare była jedyną ze znajomych kobiet, która ośmieliłaby się odwiedzić mężczyznę w hotelu, i do tego w środku nocy.

Recepcjonista powiedział coś niedosłyszalnie.

- Jak ona wyglądała? - zapytał z niepokojem Yves.

- Jak każda inna kobieta i tyle.

- Prosiłbym o bardziej dokładny opis, jeśli łaska. - Yves zacisnął palce na blacie kontuaru.

Recepcjonista pochylił głowę, jakby nie chciał spojrzeć mu w oczy.

- Wysoka, nieładna. Miała ze sobą pokojówkę. To znaczy, ta młodsza kobieta to była prawdopodobnie pokojówka.

Yves zaklął cicho, ale wyraziście.

- Co powiedziała?

- Mówiłem już: nie zostawiła żadnej wiadomości. - W wyblakłych oczach recepcjonisty pojawił się pogardliwy błysk. - Jednak chyba się bardzo zdenerwowała, kiedy jej powiedziałem, że wyjechał pan z miasta.

- *Sacre bleu!* Dokąd się udała?

- A skąd mam to wiedzieć?

Yves przechylił się przez kontuar, chwycił recepcjonistę za kłapy i uniósł do góry.

- Zastanów się, do diabła! To może być sprawa życia i śmierci!

Mężczyźni oczy wyszły na wierzch, a z ust zamiast konkretnych słów wydobył się gulgot. Yves już chciał nim dobrze potrząsnąć, gdy poczuł, że ktoś mocno stuka go w ramię.

- Może lepiej postaw tę angielską ropuchę na ziemi, zanim udławi się własnym językiem - powiedział Philippe po francusku. - Bo wtedy nie usłyszysz, co chce ci powiedzieć.

Yves zaklął barwnie, ale puścił recepcjonistę, który bezwładnie opadł na kontuar.

- Gadaj - nakazał mu, ale nie wypuszczał z rąk kłap jego surduta.

Mężczyzna podniósł głowę i spojrzał na Yves'a przekrwionymi oczami.

- Pytała mnie o drogę do najbliższej stacji dyliżansów - wykrztusił i osunął się na podłogę jak szmata.

Yves nie poświęcił mu więcej uwagi. Odwrócił się na pięcie i pobiegł do wyjścia, które dopiero co przekroczył w odwrotnym kierunku.

- Cóż to, znowu idziemy na miasto? - zawołał za nim Philippe.

Yves obejrzał się przez ramię.

- Wiem, gdzie jest ta stacja. Mnóstwo razy przechodziłem koło niej, wracając do hotelu. Jeśli mi się poszczęści, Rachel jeszcze tam będzie.

Philippe wydłużył krok i dogonił Yves'a w chwili, gdy ten właśnie uniknął kolizji z wielkim wozem mleczarskim ciągniętym przez dwa ogromne perszerony.

- Ta Rachel, którą gonimy w tak wielkim pośpiechu, mimo że cały dzień i noc byliśmy na nogach, to jest ta sama nieładna angielska prowincjuszka, która wcale ci się nie podoba?

- Już ci mówiłem: zostaliśmy przyjaciółmi. Nic ponad to. Czuję się za nią odpowiedzialny, bo naraziłem ją na niebezpieczeństwo, za wszelką cenę starając się schwytać zdrajcę. - Yves nieświadomie przeszedł na gardłowy dialekt francuskiej wsi, w której się wychował. - Musiało zdarzyć się coś bardzo niedobrego, skoro przyszła szukać mnie do hotelu. Nie należy do kobiet, które odwiedziłyby miejsce zamieszkania dżentelmena bez poważnego powodu.

Wkrótce znaleźli się u celu. Nie widać było żadnych powozów, a jedyną osobą na peronie był przygarbiony mężczyzna w czarnym, zrudziałym płaszczu i poplamionych szarych spodniach.

- Czy jest pan może nocnym zawiadowcą stacji? - zapytał Yves, podchodząc bliżej.

Stary człowiek podniósł wzrok znad egzemplarza „London Times” i przysłonił oczy przed blaskiem wschodzącego słońca.

- Jestem nim, młody panie.

- Miałem tu spotkać przyjaciółkę, ale lękam się, iż już się spóźniłem. To wysoka dama prawdopodobnie ubrana na brązowo. Towarzyszy jej pokojówka.

- Była jedna wysoka dama w eleganckim szalu i czepeczku. Ona i jej pokojówka dobre dwie godziny temu wsiadły do powozu jadącego do Northampton.

- Do Northampton? To jest chyba przystanek na drodze do Yorkshire?

- Tak, panie. - Stary pokiwał głową. - Jeden z wielu. Powiedziałem temu Irlandczykowi, który je śledził, że czeka je długa droga, zanim dotrą do Skipton i Yorkshire Dales.

Yves popatrzył wymownie na Philippe'a, a potem podziękował dziadkowi za informację.

- Odjechała. Wcale jej nie pomogłem, chociaż obiecywałem - powiedział ponuro, gdy odeszli na tyle daleko, by zawiadowca stacji ich nie słyszał. Czuł, że każde słowo przygniata kamieniem jego pierś.

- Ależ co ty opowiadasz? Dzięki tobie lokaj hrabiego odprowadził ją przez ciemne londyńskie ulice i dopilnował, by bezpiecznie wsiadła do dylizansu.

- Mógł ją zatrzymać i przekonać, aby zaczekała na mnie w hotelu.

- Wątpię, żeby recepcjonista wpuścił ją do twojego apartamentu.

- A niech go diabli! Z przyjemnością skręciłbym mu kark. Sama myśl, że przyzwoita kobieta, jaką jest

Rachel, musi odbyć tak długą podróż dyliżansem, mając przy sobie tylko pokojówkę, jest mi nieznośna.

- Obawiałem się tego. - Philippe popatrzył na Yves'a spod ciężkich powiek. - Mam nadzieję, że nie ruszymy za nią. Przecież udało jej się wyrwać ze szponów tego łajdaka.

- I stanowi teraz łatwy łup dla każdego rozbójnika lub byłego żołnierza, któremu przyjdzie do głowy napaść na dyliżans. Muszę koniecznie dogonić ją i dopilnować, by bezpiecznie znalazła się w swoim domu w Yorkshire. - Zastanawiał się przez chwilę, a potem dodał: - Pożyczę podróżną karetkę od mojego przyjaciela, hrabiego Stratham. Na pewno nie będzie oddalał się z Londynu przez najbliższy miesiąc lub dwa, gdyż jego żona bliska jest połogu. Przez ten czas ty możesz zamieszkać u mnie w hotelu i korzystać z moich ubrań.

- Twoje spodnie są za długie, a buty za duże. - Philippe wzruszył ramionami. - Skoro nie mogę oszłomić Londynu moją elegancją, dopóki nie kupisz mi nowych ubrań, równie dobrze mogę do ciebie dołączyć jako drugi błędny rycerz. Poza tym zawsze chciałem spróbować, jak się powozi czwórką koni.

- Ja też - uśmiechnął się Yves. - Bardzo dobrze, przyjacielu. Pożyczę od Strathama karetkę i konie, ale bez woźnicy i zamienimy naszą ekspedycję na ratunek pannie z Yorkshire w prawdziwą przygodę.

W milczeniu wrócili do hotelu. Zanim jednak weszli do środka, Philippe położył rękę na ramieniu Yves'a.

- Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że ta kobieta, Rachel, znaczy dla ciebie więcej, niż skłonny jesteś

przyznać nawet sam przed sobą. Jeśli zaś uważasz, że ja będę czuł się urażony tym, iż oddałeś swe serce innej kobiecie niż Amalia, to jesteś w grubym błędzie.

- Przecież mówiłem ci, że Rachel to tylko...

-Wiem: tylko przyjaźń. Mimo to powiem, co mam do powiedzenia. - Philippe mocniej ścisnął Yves'a za ramię. - Z całej duszy kochałem moją siostrę i nie darowałbym ci, gdybyś ją zdradził, kiedy żyła. Ale Amalii nie ma wśród nas już od trzech lat, a ty potrzebujesz kobiety.

- Od czasu jej śmierci nie żyłem wcale jak mnich.

- Nie. Poznałeś wiele kobiet, a każda z nich do złudzenia przypominała moją siostrę. Pora, żebyś zapomniał o przeszłości, i zajął się tym, co ma nadzieję. Może ta wysoka Angielka, która w niczym nie jest podobna do Amalii, to twoja przyszłość.

- Rachel Barton nie należy do kobiet, które mnie pociągają. - Yves potrząsnął głową.

- Bo jest nieładna?

- Nie. Bo jest zbyt uparta i samodzielna. Kiedy ją spotkasz, zrozumiesz, dlaczego twierdzę, że znajomość nasza nigdy nie wyjdzie poza granice przyjaźni.

- A więc zazdrozczę ci „przyjaźni” z tą kobietą, tak samo jak zazdrościłem ci „przyjaźni” z moją siostrą - uśmiechnął się Philippe. - Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek miał prawdziwego przyjaciela z wyjątkiem ciebie. No, ale niestety nie jesteś kobietą.

Yves gniewnie wzruszył ramionami, zrzucając rękę Philippe'a.

- Niech cię лихо, ty uwodzicielu. Pewnie myślisz, że mężczyzna nie może szanować i podziwiać kobiety, nie pragnąc iść z nią do łóżka.

- Ależ skąd, to jest bardzo możliwe, pod warunkiem, że kobieta ma osiemdziesiąt lat - zachichotał Philippe. - Powiedz mi, kuzynie, ileż to lat ma ta nieładna stara panna, dla której żywisz taki szacunek i podziw?

Rachel jechała dyliżansem po raz pierwszy w życiu i wkrótce odkryła, że ten środek komunikacji w niczym nie przypomina luksusowej prywatnej karety o doskonałych resorach. Oparcia i siedzenia były poplamione i cuchnące, okna brudne, a każdy wstrząs sprawiał, że szczękały jej zęby i bolały wszystkie kości.

Przerażała ją myśl o tym, jaki okaże się nocleg dla pasażerów takiego nędznego pojazdu. Rachel nie przypominała sobie, żeby widziała dyliżans w którymś z eleganckich zajazdów, gdzie zatrzymywała się, podróżując z ojcem albo hrabią Fairborne.

Sytuację pogarszał fakt, że Mary bardzo źle znosiła podróż. Pół godziny po wyjeździe z Londynu jej cera stała się chorobliwie zielona; dziewczyna zamieniła się w istną kupkę nieszczęścia. Szczęśliwym zrzędzeniem losu były w powozie same, a gdy dotarły do pierwszej zmiany koni, Mary trochę już się przyzwyczyła do jazdy.

Szybko udały się do wygódki, a potem zdążyły jeszcze napić się mocnej herbaty. Kiedy wróciły do pojazdu, okazało się, że już nie są w nim same.

Pierwszą nową pasażerką była pulchna, rumiana

chłopka. Usadowiła się obok Mary, wydobyła z woreczka robótkę na drutach i oznajmiła:

- Nazywam się Sarah Cuddle i właśnie odwiedziłam mojego wnuka. Wspaniały chłopak.

- Bardzo szczęśliwy powód do podróży - uśmiechnęła się Rachel.

- O tak, bez wątpienia. Nic nie daje człowiekowi większej radości, jak trzymać w ramionach dziecko. - Jej błękitne oczy błysnęły przekornie. - Zwłaszcza jeśli jest ktoś inny, kto się nim zajmie.

Spojrzała znad swej robótki na następnego pasażera, który wsiadł do dylizansu i zajął miejsce obok Rachel. Był to potężny, baryłkowaty mężczyzna o niewielkich wyblakłych oczkach i rzadniejących siwych włosach. Rozstawił szeroko swe odziane w brudne buciory stopy na podłodze, zdjął kapelusz i rękawiczki, a następnie przyjrzał się swoim współtowarzyszkom podróży z grymasem mówiącym, że nie zamierza z nikim tutaj zawierać znajomości.

Pani Cuddle rzuciła mu krótkie spojrzenie i ciągnęła:

- Miałam swoich dwanaścioro i wszystkie, oprócz dwojga, żyją i mają się dobrze, dzięki Bogu. Odrobiłam swoją miarę zmieniania pieluch i prania brudów. Ale muszę przyznać, że czuję się nieswojo, nie mając malucha przy piersi.

Starszawy dżentelmen wybałuszył oczy, Mary także wyglądała na nieco zgorszona, ale Rachel zachichotała w duchu. Po tych wszystkich filistrach, których spotkała w Londynie, przyjemnie jej było słuchać słów prostej kobiety.

Jako następni nadeszli dwaj przyzwoicie wygląd-

dający młodzieńcy z książkami pod pachą. Studenci, pomyślała Rachel, pogrążeni w gorącej dyskusji na temat, jak jej się wydawało, historii starożytnej, gdyż usłyszała słowa „Babilon” i „Gilgamesz”, gdy znaleźli się przy otwartych drzwiach dyliżansu. Takie tematy zawsze bardzo ją interesowały, a długie godziny jazdy minęłyby znacznie szybciej, gdyby mogła przysłuchiwać się konwersacji studentów. Rachel owinęła się ciasniej swym cennym szalem i przysunęła się bliżej do ściany dyliżansu, żeby zrobić miejsce chłopcom.

- Oj, panienko, niech się panienka o nich tak nie troszczy - powiedziała pani Cuddle. - Oni pewnikiem zapłacili za drugą klasę i pojedą na górze; jak to studenci. I bardzo dobrze. Nie mam nic przeciwko nauce, ale te chłopaki potrafią zagadać człowieka na śmierć. Gdyby z nami jechali w środku, nie daliby nikomu dojść do słowa.

Ku rozczarowaniu Rachel studenci rzeczywiście wspięli się na dach. Po chwili woźnica strzelił z barta i dyliżans wypadł z podwórka zajazdu.

- O czym to ja mówiłam? - zapytała pani Cuddle, podejmując swymi spracowanymi dłońmi robotę na drutach i zaraz sama sobie odpowiedziała. - Już wiem, mówiłam, że ja już nie będę miała więcej małeństw, bo mój mąż zawinął się zeszłej zimy. - Odłożyła robótkę, żeby otrzeć łzę z oka. - Nigdy bym nie pomyślała, że dyfteryt może zabrać takiego dużego i silnego mężczyznę w niecałe dwa tygodnie.

Rachel wymamrotała stosowne wyrazy współczucia. Mary i starszy pan milczeli. Wydawało się, że oboje zapadają w sen, bo głowa Mary coraz bar-

dziej opierała się o ramię pani Cuddle, a broda mężczyzny za każdym wstrząsem dyliżansu opadała mu coraz niżej na pierś.

- Jakie to szczęście, że mam trzech dorosłych synów, którzy obrabiają moje gospodarstwo, i trzech młodszych do pomocy - ciągnęła pani Cuddle. Potem, nie czyniąc nawet przerwy, by zaczerpnąć oddechu, zaczęła opisywać wszystkich swoich sześciu synów, nie zapominając przy tym o córkach.

Rachel poważnie zastanawiała się, czy nie warto byłoby przenieść się na następnym przystanku na dach, do studentów, i z uprzejmości usiłowała nie zasnąć podczas nudnej opowieści starszej pani. Bez skutku. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała, zamykając oczy, był głos pani Cuddle, mówiącej:

- No a mój zięć, kochaneczek, co za świetna partia dla mojej córki, sama to powtarzam...

Rachel wydawało się, że upłynęła zaledwie chwila, gdy obudził ją dźwięk, którego z początku nie potrafiła określić. Tłumiąc ziewnięcie, przekręciła głowę na prawo i ujrzała przed oczami plecy Mary. Mimo iż była bardzo zaspana zrozumiała, że dziewczyna wychyla się przez okno i pozbywa ostatniego posiłku.

- Biedactwo - powiedziała ze współczuciem pani Cuddle i poklepała Mary po plecach. - Ma nudności: dobrze wiem, jak to jest. Miałam to samo przy moim pierworodnym. Bałam się zamknąć oczy, bo ile razy budziłam się, mój żołądek domagał się swoich praw.

Jej pierworodny! Wstrząs sprawił, że Rachel

oprzytomniała natychmiast. Nic dziwnego, że nie-
szczęsna chciała jak najprędzej wyjechać z Londynu.

Wreszcie Mary uspokoiła się i opadła na oparcie
wiotka jak chusteczka, którą pani Cuddle otarła jej
twarz.

- No, już dobrze, biedaczko - zagruchała starsza
pani. - Najgorsze minęło, a ja mam dla ciebie coś,
co uładzi ci żołądek.

Rozsupłała sznurki swego woreczka i wydobyła
niedużą zieloną buteleczkę.

- To herbatka miętowa: sama ją robiłam. Parzę ją
co wiosny, kiedy listki są młode i delikatne. Nauczy-
ła mnie tego wiejska znachorka, kiedy nosiłam moje
drugie, i jest to najlepszy środek na twoje kłopoty.

Patrzyła na Mary z zastanowieniem, gdy dziew-
czyna wypięła łyk płynu z buteleczki, a potem opad-
ła, wyczerpana, na poduszki oparcia.

- W którym jesteś miesiącu, skarbie?

Mary z przerażeniem odszukała wzrok Rachel,
a drżenie jej podbródka wyraźnie mówiło, że wie,
iż nie ma co zaprzeczać.

- W trzecim - powiedziała z rezygnacją.

- I mąż pozwala pani jechać tak daleko, w takim
stanie?

- Ja... ja... nie... - W oczach dziewczyny pojawiły
się łzy.

- Pani Tucker niedawno owdowiała - wtrąciła się
Rachel, uciszając Mary jednym stanowczym spoj-
rzeniem. Jej mąż został... przejechany przez karetę
dwa tygodnie temu w Londynie. Zabieram ją do sie-
bie do Yorkshire, żeby odbyła tam połów.

- Niech panią Bóg błogosławi. Dobra z pani przy-

jaciółka. Tyle jest teraz wdów i sierot po tej wojnie, a w Londynie nikt by się o nią nie zatroszczył.

- To prawda - zgodziła się Rachel. Spojrzała Mary w oczy. - Ale zapewniam, że w Yorkshire i ona, i dziecko będą miały odpowiednią opiekę.

Mary skłoniła głowę na oparcie, a dłonie złożyła bezwładnie na kolanach. W jej oczach nadal malował się smutek i apatia. Jednak chociaż po jej bladym policzku spłynęła łza, kąciki ust podniosły się. Rachel zdała sobie sprawę, że widzi po raz pierwszy, jak Mary się uśmiecha.

Dzień był długi, wyczerpujący, a wcale jeszcze nie dobiegł końca. Gdy słońce zaczęło znikać za horyzontem, Rachel bolały wszystkie kości i mięśnie od wstrząsów powozu; czuła się tak, jakby ktoś ją obił, poszarpał i obrzucił kamieniami. Nie rozumiała więc, jak Mary wytrzyma trudy podróży, nie tracąc dziecka.

Na szczęście co dwie godziny drogi przy trakcie dylizansu znajdował się kolejny zajazd i przy każdym z nich następowała krótka przerwa w podróży, a także zmiana współpasażerów. Ci, których zdążyły już poznać, wysiadali, a na ich miejsce pojawiali się obcy.

Gadatliwą panią Cuddle zastąpił małomówny pomocnik adwokata, wiozący jakieś dokumenty do klienta w Luton; farmer o ogorzałej twarzy i ubłoconych butach usiadł na miejscu gburowatego, baryłkowego mężczyzny. Potem oba miejsca zostały zajęte przez młodą matkę z dwojgiem małych, mocno przeziębionych dzieci, starszego mężczyznę o orlim nosie ubranego w wyświechtany surdut i pumpy i kościstego młodzieńca odzianego w czerń, który przedstawił się jako Orville Stebins, pomocnik pastora. Była to dziwaczna miesz-

nina typów ludzkich, ale jako towarzysze podróży nie stanowili zagrożenia.

Inaczej jednak było w przypadku mężczyzny, który wsiadł do dylizansu, gdy woźnica ogłosił, że jest to ostatni przystanek przed Zieloną Papugą, zajazdem, w którym mieli spędzić noc. Po pierwsze, był wielki: tak duży, że gdy tylko wsiadł, zdawało się, iż zapełnił swoją osobą całe wnętrze pojazdu. Na jego widok Rachel poczuła nieoczekiwany lęk. Spróbowała więc nabrać głęboko powietrza do płuc, aby się uspokoić, i natychmiast straciła dech. Człowiek ten niewątpliwie nie mył się już od bardzo dawna.

Ukradkiem przyjrzała się jego ospowatej twarzy, brudnym, ciemnym włosom, paznokciom z czarnymi obwódkami i ponurym oczom. Całość wzbudziła w niej obrzydzenie.

Mary przysunęła się bliżej do Rachel i patrzyła na mężczyznę szeroko otwartymi z przerażenia oczami. Podobny lęk malował się na twarzy młodego pomocnika pastora. Bojaźliwy ten osobnik przytulił się do ściany powozu, starając się zostawić jak najwięcej miejsca między sobą a nowym towarzyszem podróży.

Rachel wbiła wzrok w okno, mając nadzieję, że w ten sposób zniechęci obcego do nawiązywania z nią rozmowy. Niestety.

- Dokąd panie jadą? - zapytał głosem, który zabrzmiał, jakby dobywał się z wnętrza ziemi.

- Do Yorkshire - mruknęła niechętnie Rachel. Nie miała ochoty z nim rozmawiać, ale też nie chciała wchodzić w otwarty konflikt. Nie należała do lękliwych panienek, ale ten mężczyzna miał w sobie coś groźnego.

- Ach, do Yorkshire. A zatem mamy przed sobą długą drogę, bo ja też tam jadę.

Rachel poczuła, że Mary przytula się do niej mocniej, drżąc na całym ciele. Uśmiechnęła się więc lekko do dziewczyny, próbując ją pokrzepić. W rzeczywistości jednak sama czuła się dosyć niepewnie. Ten nowy pasażer może być jednym z owych złodziei czy też rozbójników, grasujących, jak twierdził Edgar, na drodze z Londynu do Yorkshire. A może po prostu nieprzychylny los sprawił, że niewinny człowiek wyglądał jak wcielenie zła?

Na wszelki wypadek mocniej ujęła torebkę, w której miała pieniądze na drogę. Był to błąd, gdyż w czarnych, bacznie ją obserwujących oczach pojawił się błysk chciwości. Rachel zamierzała przepaść ostatni odcinek podróży, ale teraz nie może przecież ani na chwilę zamknąć oczu ani też poluzować uchwytu na torebce. Miałaby poważne kłopoty, gdyby znalazła się bez pieniędzy tak daleko od celu swojej podróży, zwłaszcza opiekując się kobietą w stanie błogosławionym. Musiała z niechęcią przyznać, że Edgar miał prawdopodobnie rację, twierdząc, że zamożna kobieta nie może podróżować środkami komunikacji publicznej.

Następne dwie godziny dłużyły się Rachel bez końca. W dyliżansie zapanowało głucho milczenie, gdyż obcy nie próbował więcej nawiązywać rozmowy, zaś jego obecność spowodowała, że swobodna pogawędka, jaką wcześniej Rachel wiodła z Orville Stebbinsem, wygasła. Rachel była tak przytłoczona natrętnym spojrzeniem obcego, że prawie nie odczuwała koszmarnych wstrząsów dy-

łiżansu, które przedtem tak bardzo jej przeszkadzały.

W końcu wreszcie zajechali na dziedziniec Zielonej Papugi. Orville Stebbins wyskoczył z pojazdu jak królik z nory. Po chwili jednak, jakby rozważwszy niestosowność takiego zachowania, z pewnym zawstydzeniem wrócił i pomógł wysiąść Rachel i Mary.

- Dalej z wami nie jadę, bo mój kościół znajduje się w wiosce o pięć mil na wschód stąd - wyszeptał ochryple, gdy szli w kierunku zajazdu. - Muszę jednak coś wam powiedzieć, zanim ten potwór nas dogoni. - Przełknął z wysiłkiem ślinę, a jabłko Adama przesunęło mu się po szyi jak korek na falach. - W tej okolicy było ostatnio mnóstwo napadów i - na chudych policzkach wykwitł mu krwisty rumieniec - tydzień temu ściągnięto z wozu i brutalnie pobito córkę jednego z okolicznych farmerów.

- Wielki Boże!

- Jeśli wierzyć plotkom, *wiczny* jest złodziej o nazwisku Wolf Walton. Nasz towarzysz podróży odpowiada jego rysopisowi co do joty.

- Nie powiem, żeby to mnie zdziwiło - stwierdziła Rachel, marszcząc gniewnie brwi. - Zaraz powiadomię o tym oberżystę.

- Nie radzę, proszę pani. Właściciel Zielonej Papugi może być w zмовie ze złodziejem. Wszyscy wiedzą, że u niego w barze spotyka się najgorsza hołota z okolicy.

- Ależ to skandal! Dlaczego więc dyliżanse zatrzymują się tutaj właśnie?

- Nie mają wyboru. Właściwy zajazd spalił się do

cna pół roku temu w bardzo podejrzanych okolicznościach. - Stebbins skrzywił się. - Mówię to pani nie dlatego, żeby panią straszyć. Namawiam jednak, by na noc dobrze zamknęła pani drzwi do swego pokoju. - Popatrzył na nią swymi okrągłymi, smutnymi oczami. - Przykro mi, że nie mogę pani więcej pomóc. Jedyne, na co mnie stać, to ostrzeżenie.

- I za to bardzo panu dziękuję. Jak to się mówi: „uprzedzony, uzbrojony”. Bądź pan pewien, że będę czujnie strzegła bezpieczeństwa mojej pokojówki i mojego własnego... a także gotowizny.

Zabrzmiało to dosyć zuchowato, ale wchodząc do zajazdu, Rachel czuła się raczej niepewnie. W środku panował ogłuszający hałas, dobiegający głównie z baru położonego na prawo od wejścia. Mimo wczesnej pory było tam pełno gości, w większości nieźle już podpitych.

- Szukam pokoju dla siebie i mojej pokojówki - zwróciła się do żony oberżysty, pulchnej, siwowłosej kobiety w nieświeżym czepku i poplamionym fartuchu.

- Jeden pokój dla dwóch? - zapytała kobieta. - To powiem od razu, że nie mamy tutaj zwyczaju dostawiać łóżek, więc albo śpicie na jednym, albo bierzecie dwa pokoje.

- Wystarczy nam jeden i prosimy o przyniesienie tam kolacji, tak prędko jak tylko się da. - Normalnie za nic w świecie nie spałaby z nikim w jednym łóżku, ale w istniejących okolicznościach rozsądne wydawało się, aby Mary była jak najbliżej.

Wyliczyła żadaną kwotę i z woreczkiem w jednej i sakwojażem w drugiej ręce weszła za gospo-

dynią schodami na górę. Mary deptała jej po piętach. Ciemnowy hall prowadził do obskurnego pokoiku z jednym łóżkiem, jednym krzesłem oraz stołem, na którym stała gruba łojowa świeca.

Pamiętając radę Orville Stebbinsa, jak tylko zostały same z Mary, Rachel zamknęła drzwi na zasuwkę.

- Doskonale - powiedziała, siląc się na pogodny ton - pokoiik jest skromny i może trochę głośny, bo znajduje się nad barem. Jak tylko przyniosą nam kolację, przyszykujemy się do spoczynku, a ja czuję, że nawet armatnia kanonada nie byłaby w stanie mnie obudzić.

- Ani mnie, panienko - westchnęła Mary. Z przyzwyczajenia zaczęła szykować łóżko, tak jak co wieczór robiła to w domu hrabiego. Odwinęła koc i prześcieradło i z okrzykiem obrzydzenia przycisnęła dłonie do policzków. - Boże święty, nie możemy na tym spać! - zawołała. - Wygląda, jakby tarzwały się w nim świnię!

Ze swego miejsca Rachel zobaczyła, że pościel jest szara od brudu i poplamiona. Co więcej, gdy Mary odsłoniła koc i wierzchnie prześcieradło, zaczął dobywać się z łóżka odór ludzkiego potu i jeszcze czegoś, czego wołała nie nazywać.

- Co za bezczelność! - wybuchnęła. - Jak ten kocmołuch śmie brać ode mnie pieniądze za nocleg w brudzie po wszystkich poprzednich gościach! Znajdę ją i zażądam czystej pościeli... i zapłacę dodatkowo, jeśli będzie trzeba. - Zaciskając pięści, podeszła do drzwi i sięgnęła do zasuwki.

- Panienko, nie! - Mary rzuciła się do Rachel

i chwyciła ją za rękę. - To niebezpieczne: w hallu jest ciemno. Poczekajmy, aż przyniosą nam kolację, i wtedy poprosimy o zmianę pościeli.

Rachel potrząsnęła głową. Oczywiście, dziewczyna ma rację. Jak to się stało, że gniew i frustracja pozbawiły ją rozsądku? Za drzwiami może ktoś się czaić. Zadrżała na myśl o tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby natknęła się na jednego z pijaków z baru albo, uchwaj Boże, ich straszliwego współtowarzysza podróży. Bardzo wątpiła, żeby wołanie o pomoc zostało usłyszane pośród odgłosów hulanki, a jeśli nawet, to czy ktokolwiek zwróciłby na nie uwagę?

Niezadowolona z utraty panowania nad sobą, Rachel podeszła do okna i, patrząc na podwórko zajazdu, usiłowała wrócić do równowagi. Zawsze uważała się za silną, spokojną osobę. Jednak zaskakujące wydarzenia poprzednich kilku dni udowodniły jej, że oceniając mężczyzn, wykazała się naiwnością i brakiem rozważliwych godnymi trzpiotowatego dziewczęcia dopiero wchodzącego w świat. Świadomość ta dała jej wiele do myślenia.

A teraz to! Rachel przysięgła sobie, że jeśli przeżyje tę okropną podróż, to nigdy więcej nie opuści Yorkshire... i bez grymasów spędzi tam resztę swych dni jako stara panna.

Pukanie do drzwi przerwało jej te nieprzyjemne rozmyślenia.

- Kto tam? - zapytała Rachel.

- Chcecie kolację, czy nie? - Głos brzmiał prostacko, ale niewątpliwie należał do kobiety. Rachel otworzyła drzwi, za którymi stała żona oberżysty, trzymając w rękach tacę z bochenkiem chleba, ćwiartką

sera i dzbankiem piwa, a także nożem i dwoma kubkami.

Rachel odczekała, aż kobieta postawi tacę na nocnym stoliku, a potem zwróciła jej uwagę na nędzny stan pościeli.

- Poproszę o czyste prześcieradła, koce i poszewki na poduszki - powiedziała stanowczo. - Jeśli brakuje wam pokojówek, same sobie pościelamy.

- Chyba panna zapomniała, gdzie się znajduje. - Kobieta popatrzyła na nią kwaśno. - Tu jest Zielona Papuga: zajazd dla prostych ludzi. Jeśli chciała panna dostać czystą pościel i łakocie, trzeba się było zatrzymać pod Psem i Zającem, jak inne dobrze urodzone państwo. - Mówiąc to, odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju.

Rachel nie pozostało nic innego, jak tylko starannie zamknąć za nią drzwi. Czyniąc to, dostrzegła zarys potężnej postaci w otwartych drzwiach po drugiej stronie hallu. Przez jedną przerażającą chwilę oczy Rachel i potwora z dyliżansu spotkały się. Potem dziewczyna zatrzasnęła drzwi i zamknęła zasuwkę, zanim Mary zdążyła zobaczyć tego mężczyznę.

- Dużo udało mi się uzyskać - powiedziała z niezadowolaniem.

- Mogłoby być gorzej, panienko. Noc jest ciepła, więc możemy rozłożyć nasze płaszcze na wierzchu łóżka i spać w ubraniu, a chleb, ser i piwo wystarczą, by zaspokoić głód i pragnienie.

- Masz rację - zgodziła się Rachel, zawstydzona odwagą Mary. - Przynajmniej nic gorszego nie zdarzy się aż do rana.

Poza tym, że chleb był spleśniały i pełen robaków, a ser suchy i twardy jak kamień.

Wzruszając ramionami, Mary uznała, że ser nie nadaje się do jedzenia. Ukroiła jednak pajdę chleba, a potem postukała nią o stół.

- Co ty wyrabiasz? - zapytała Rachel, marszcząc brwi.

- Wystukuję robaki. Kiedy byłam młodsza, nie raz zdarzało mi się głodować, więc nie mam zamiaru rezygnować z jedzenia z ich powodu. - Ugryzła spory kęs i popiła piwem. - Nie przepadam za spleśniałym chlebem - powiedziała, krzywiąc się - a piwo jest znacznie gorsze niż to, które serwował nam pan O'Reilly. - Wytarła pianę z ust i nalała sobie następny kubek. - Jednak muszę się tym zadowolić albo iść spać na głodno.

Rachel z podziwem obserwowała, jak jej pokojówka bez szemrania dostosowuje się do niesprzyjających okoliczności. Mimo to sama nie potrafiła zmusić się do zjedzenia chleba z robakami, zostało jej więc tylko piwo. Nigdy go nie lubiła... ani żadnego innego alkoholu. Nałóg jej ojca działał zniechęcająco. Jednak żołądek burczał jej z głodu, a skoro nie było nic innego, czym mogła go napełnić...

Nalała sobie kubek i wypiła powoli, patrząc, jak Mary rozkłada płaszcze na łóżku. Po kilku łykach zdecydowała, że gorzkawy napój nie jest wcale tak bardzo niesmaczny. Nalała sobie jeszcze jeden kubek i wypiła go.

- Jeśli nie jest pani przyzwyczajona do piwa, panienko, to dwa kubki w zupełności wystarczą - rzuciła Mary ostrzegawczo. - Upije się panienka.

- Chyba masz rację - zgodziła się Rachel z powagą. - Ale obawiam się, że twoje ostrzeżenie jest już spóźnione. Mam wrażenie, że pokój wiruje dookoła mnie i w uszach mi jakoś dziwnie łomocze.

- To nie w uszach, panienko - Mary spojrzała na nią z przerażeniem. - To ktoś dobija się do drzwi. - Przycisnęła dłoń do piersi. - Boże drogi, to pewnie on, ten zbroj, przyszedł obrabować nas i pohańbić!

Rachel miała mętlik w głowie, ale nie do tego stopnia, żeby nie zrozumieć, kto to jest ten „on”.

- Cśś - szepnęła. - Może sobie pójdzie, jeśli nie będziemy zwracać na niego uwagi.

- Wątpię, panienko. Znam takich. Nie rezygnują, tylko wpadają w jeszcze większą wściekłość.

Rachel rozważyła, a raczej, ze względu na stan swojego umysłu, usiłowała rozważyć, co Mary miała na myśli.

- A więc powinniśmy przygotować się na to, że ze chce wyważyć drzwi - powiedziała z lekką czkawką. - Uzbrogę się w nóż do chleba, ty bierz pogrzebacz.

- Ach, panienko, to na nic - jęknęła dziewczyna. - Ręce mi się tak trzęsą, że nie zdołałabym go utrzymać.

- Weź się w garść, Mary - poleciła jej surowo Rachel. - Dotychczas byłaś dzielna, więc teraz się nie poddawaj. - Przechyliła głowę. - Słuchaj... przestał walić do drzwi. Moim zdaniem dał za wygraną.

Ledwo jednak skończyła mówić, łomotanie rozpoczęło się na nowo, jeszcze głośniejsze i silniejsze.

- Otwierajcie, głupie baby, nie wiecie, co dla was dobre! - Zabrzmiał doskonale im znany basowy głos, a Rachel mocniej ujęła nóż, coraz bardziej przekonana, że potwór zamierza wyważyć drzwi z zawiasów.

Gdy uznała, że wszelka nadzieja na ratunek stracona, walenie nagle ucichło, a w zamian dało się słyszeć jakieś głosy: ktoś kłął na czym świat stoi. Rachel przypuszczała, że głosy te należą do gości z baru.

Potem rozległ się głuchy łoskot, jakby ktoś uderzył ciałem o ścianę. Rachel nigdy w życiu tak się nie bała. Razem z Mary miały niewielkie szanse w walce wręcz z ogromnym mężczyzną, a już żadnych, gdyby pojawiło się kilku pijaków.

Po krótkiej ciszy stukanie rozległo się znowu, równie uporczywe, a nowy głos zażądał:

- Otwórzcie te drzwi, do diabła!

Łup! Łup! Łup! Drzwi drżały we framudze.

- Niech to diabli, Rachel, otwieraj!

Łup. Łup. Łup. Mimo tego hałasu usłyszała brzęk pogrzebacza upadającego na drewnianą podłogę. Odwróciwszy się, ujrzała sparaliżowaną strachem Mary, patrzącą szklanym wzrokiem i pobladłą jak chusta. Nie potrafiła jednak w żaden sposób jej pomóc. Prawdę mówiąc, mogła tylko hipnotycznie wpatrywać się w drgające drzwi i modlić się, aby wytrzymały kolejne uderzenia.

Łup. Łup. Łup.

- Do diabła, wiem, że tam jesteś, Rachel. Otwórz drzwi albo je wyłamię! - Głos rozległ się donośniej i wydał jej się groźniejszy może dlatego, że zwracał się wprost do niej.

Rachel potrząsnęła głową. Czy to być może? W mglistej otchłani swego otumanienia zdołała jednak sobie uświadomić, że napastnicy w żaden sposób nie mogli znać jej imienia.

Chyba że... nagle zrozumiała, dlaczego głos ten brzmi znajomo.

- Yves! - zawołała i rzuciwszy się do drzwi, odsunęła zasuwkę i otworzyła je na całą szerokość. - Yves! - powtórzyła, radując oczy widokiem cudu, a potem ze zdławionym łkaniem rzuciła się w silne ramiona mężczyzny.

Płakała w sposób nieopanowany i niegodny dobrze wychowanej panny. Głośno wciągała powietrze. Prychała, krztusiła się, bulgotało jej w nosie, aż wreszcie dostała czkawki. Na jej twarzy pojawiły się czerwone plamy, a piersią i ramionami wstrząsał nieopanowany szloch.

Zanim Yves zdołał podać jej chusteczkę, na wskroś przemoczyła mu surdut i koszulę. Widząc ją w tym pozałowania godnym stanie, Yves odczuł przemożny wstyd, gdyż sam się do niego przyczynił.

- T-to był t-taki okropny dzień - wyszłochała.

- Wiem - odparł ze współczuciem i niezręcznie poklepał ją po plecach. - Wyobrażam sobie, jaki obrzydliwy był ten dyliżans. - Popatrzył na Philippe'a, świadom, że przyjaciel chłonie każdą sekundę tej melodramatycznej sceny.

- T-ta oberża jest wstrętna.

- Siedlisko złodziei - zgodził się. - Zaraz was stąd zabierzemy i ulokujemy w przyzwoitym zajeździe.

- A ten p-potwór...

- Obiecuję, że już nigdy nie będzie cię niepokoił.

Z niepojętych dla Yves'a powodów słowa pocieszenia wywołały następną serię łkań dziewczyny. Nie mógł więc uczynić nic innego, jak tylko trzy-

mać Rachel w ramionach i szeptać jej do ucha kojące słowa, podczas gdy ona wypłakiwała swój strach. Nieświadomie przeszedł na francuski i powtarzał słowa, których używała madame Durand, by go pocieszyć, gdy jako mały chłopiec płakał w jej ramionach.

Wreszcie Rachel uspokoiła się, a jej oczy przestały ronić łzy. Podniosła głowę i spod mokrych jeszcze rzęs poważnie spojrzała Yvesowi w twarz.

- Nigdy, ale to nigdy w życiu tak się nie ucieszyłam na czyjś widok - wyszeptała. - Ale nie rozumiem, jak mnie tu znalazłeś... a tym bardziej, dlaczego w ogóle mnie szukałeś.

- To długa historia, ale odnalazłem cię, jadąc tropem waszego dylizansu. - Odsunął mokry kosmyk włosów z jej twarzy. - Przyczyny, dla których cię szukałem, są trochę bardziej skomplikowane. Krótko mówiąc, jesteś moją przyjaciółką, a skoro odwiedziłaś mój hotel w środku nocy, to znaczy, że musiałaś znaleźć się w poważnych kłopotach.

- Nigdy ci się nie odwdzięczę za to, że przybyłaś mi na ratunek - powiedziała cicho, a oczy jej znów wypełniły się łzami. - Nadałaś słowu „przyjaźń” nowe znaczenie.

- Ty zaś nadałaś nowe znaczenie słowu „uparta” - odparł, starając się ukryć zażenowanie wywołane niezasłużoną pochwałą. Istotnie, pojechał za nią, by dopilnować, żeby bezpiecznie dotarła do Yorkshire, ale miał także inne powody. Oczekiwał, że Fairborne ruszy w jej ślady i będzie po raz kolejny próbował zdobyć jej fortunę. Zdesperowany hrabia stawał się nieostrożny i Yves liczył

na to, że popełni jakiś poważny błąd, który go zgubi.

- Co takiego uczynił Fairborne, że zdecydowałaś się wyruszyć bez odpowiedniej eskorty? - zapytał. - Dyliżansem?!

- Stwierdził, że zakochał się we mnie bez pamięci, i uparł się natychmiast wziąć ślub. Kiedy odmówiłam, kazał lokajowi pilnować mnie w pokoju.

- A niech to diabli!

- Uciekłam z pomocą Mary i poszłyśmy do hotelu Pulteney.

- I dowiedziałyście się, że mnie nie ma. Dlaczego, na miłość boską, nie zaczekałyście?

- Chciałam, ale recepcjonista zachował się zgoła obelżywie...

Yves rzucił kilka rysztokowych wyrazów w swym ojczystym języku.

- Uduszę tego szczura.

- Nie miałam pojęcia, kiedy wrócisz. - Rachel zignorowała jego wybuch. - Musiałam koniecznie opuścić Londyn. Wydawało mi się, że jedynym ratunkiem jest udać się w drogę dyliżansem. Nigdy przedtem w ten sposób nie podróżowałam, więc nie miałam pojęcia, jak to wygląda... ani też jakiegóż mi grozić niebezpieczeństwa.

Zwiesiła głowę.

- Tyle już dla mnie zrobiłeś. Nie śmiem cię prosić... Ale zanim wrócisz do Londynu, czy mógłbyś pomóc mi kupić powóz i konie i wynająć woźnicę, który zawiózłby mnie do Yorkshire? Byłabym ci bardzo wdzięczna, bo nie mam żadnego doświadczenia z pojazdami poza moim wózkiem i kucykiem.

Co za irytująca kobieta! Nie może jej nawet porządnie wyłajać, skoro była tak pełna skruchy. Pokorna i łagodna Rachel zbijała go z tropu.

- Nie potrzebujesz powozu i koni - powiedział. - Przyjechałem tu za tobą karetą i zamierzam cię zawieźć do domu. Inaczej nie mógłbym spać spokojnie.

- Chcesz zabrać mnie aż do Yorkshire? Och, Yves, to cudownie! - Trochę jakby zabrakło jej tchu, a łagodne brązowe oczy zaświeciły złotym blaskiem. Przez jedną niesamowitą chwilę miał wrażenie, że tonie w ich świetlistej głębi.

- Hm.

Yves podskoczył nerwowo, słysząc głos Philippe'a, zaś w oczach Rachel pojawiła się panika. Dziewczyna najwyraźniej pomyślała, że jest on jednym z napastników. Yves objął ją ramieniem i powiedział:

- Panno Barton, chciałbym przedstawić ci mojego przyjaciela, Philippe'a de Maret, markiza de Brune, który przybył tu ze mną z Londynu.

Rachel zarumieniła się, ale w żaden sposób nie usprawiedliwiła swego chwilowego załamania, którego Philippe był świadkiem.

- A więc mój ratunek zawdzięczam dwóm Francuzom - powiedziała i podała mu rękę.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Philippe uniósł jej dłoń i złożył na niej długi pocałunek, co sprawiło, że Yves miał ochotę przestawić mu szczękę.

- Zbierzcie swoje rzeczy i chodźmy stąd - rzucił szorstko i obserwował, jak Rachel spieszenie wykonuje jego polecenie.

- A więc to jest ta uparta, złośliwa i niezależna ko-

bieta, wobec której żywisz wyłącznie uczucie przyjaźni - mruknął Philippe w swym ojczystym języku, gdy tyłko Rachel znalazła się poza zasięgiem jego głosu. - Myślę, przyjacielu, że zupełnie zwariowałeś.

- Ona nie jest teraz sobą - odparł Yves, marszcząc brwi.

- Kimkolwiek jest, uważam, że to jedna z najbar dziej czarujących kobiet, jakie znam. Mam wrażenie, że należy do tych rozkosznych stworzeń, które potrafią okazać wdzięczność, gdy mężczyzna się dla nich postara.

- Rachel nie należy do twoich „rozkosznych stworzeń”, ty przekłety libertynie - warknął Yves. - I sam zadbam o to, żeby nim się nie stała. Człowieku, to nieładna stara panna z prowincji, a na dodatek przerasta cię o głowę. Poszukaj sobie kogoś w twoim typie... i wymiarach, wariacie.

- Nie słyszałeś powiedzenia: „w wielości jedność”? - odparł lekko Philippe, wruszając ramionami.

Yves zacisnął pięści, mając ochotę położyć tego bufona obok wielkoluda, którego powalił w obronie Rachel. Powinien był się dobrze zastanowić, zanim przyjął jego propozycję pomocy. Markiz był pierwszym z ludzi, których chciał mieć przy sobie podczas walki, ale ostatnim, gdy w grę wchodziła kobieta.

Spojrzał w górę i zobaczył, że Rachel z pokojówką u boku powoli się do nich zbliżają.

- Chciałabym przedstawić moją przyjaciółkę, Mary Tucker - powiedziała, uśmiechając się promiennie. - Mary, ci dwaj panowie to hrabia de Rochemont i markiz de Brune.

Pokojówka dygnęła, a Philippe pierwszy raz

w życiu osłupiał ze zdumienia. No, ale niecodziennie hrabia i markiz bywają jak najformalniej przedstawiani pokojówce.

Yves jedną ręką podniósł torbę Rachel, a drugą ujął dziewczynę pod łokieć i poprowadził ją ciemnym hallem. Po kilku krokach jednakże zatrzymała się jak wryta.

- Wielkie nieba, czy to jest ten, o którym myślę? - zapytała, spoglądając z ukosa na mężczyznę leżącego pod ścianą.

Philippe przekroczył wyciągnięte nogi nieprzytomnego olbrzyma.

- Oto bestia leży powalona, mademoiselle, a ja nawet nie jestem zadraśnięty.

- Nie draśnięty - mruknął do siebie Yves, wspominając swoje posiniaczone kłykcie.

Rachel popatrzyła na Philippe'a szeroko otwartymi oczami.

- On nie jest... to znaczy, pan nie...

- *Mais non, mademoiselle.* Chociaż miałem ogromną ochotę, nie pozbawiłem życia tego łotra. Ale ma teraz o kilka zębów mniej. - Nawet w półmroku słabo rozpraszany przez pojedynczy stoczek na ścianie Yves widział jego psotny uśmiech.

Jęknął. Coś powiedziało mu, że zanim podróż do Yorkshire dobiegnie końca, on i jego dowcipny przyjaciel poważnie się pokłóca.

11

Podróż w towarzystwie Yves'a St. Armanda w niczym nie przypominała dotychczasowych doświadczeń Rachel. Uroczy Francuz był, łagodnie mówiąc, szokująco niekonwencjonalny. Zapewnił jej wytworną, dobrze resorowaną karetę, ale bez woźnicy, a potem ze swoim przyjacielem, markizem, walczyli o przywilej powożenia.

Pierwszą noc spędzili w zajeździe, który przyjmował wyłącznie bardzo przyzwoitych gości, a Yves poprosił nawet o umieszczenie dodatkowego łóżka w pokoju Rachel, żeby uniknąć najmniejszej nawet nieprzystojności. Potem zaś prawie jednym tchem zamówił dla siebie i „swojej damy” kolację w zamkniętym saloniku. Mary jadła w pokoju Rachel, a markiz flirtował z szynkarką.

Rachel podejrzewała, że Yves urządził tę wysoce niewłaściwą kolację we dwoje tylko po to, żeby poprawić jej samopoczucie. Jednakże w najwyższym stopniu przypominała ona romantyczne spotkanie, wprawiając Rachel w nastrój swawoli, który tylko Yves potrafił w niej obudzić.

Gdy już skończyli i sprzątnięto nakrycia, Yves rozsiadł się wygodniej i posłał jej swój zniewalający uśmiech.

- Opowiedz mi trochę o sobie, przyjaciółko. Ty wiesz już o mnie dosyć dużo, ja zaś prawie nic na twój temat.

Zaskoczył ją. Dotychczas nikt nigdy jej o coś podobnego nie prosił.

- Nie ma tego zbyt wiele. Prowadzę bardzo spokojne życie. Czytam i pracuję w ogrodzie. Większość czasu poświęcam na prowadzenie przędzalni.

- Chcesz powiedzieć, że sama nią zarządzasz? - Yves ze zdziwieniem uniósł prawą brew.

- Oczywiście. Mam zręcznego nadzorcę, ale w ostatnich trzech latach wszystkie ważniejsze decyzje podejmowałam sama. - Uśmiechnęła się. - Widzę, że jesteś zaskoczony, jak wszyscy, którzy o tym słyszą.

- Ależ skąd: jestem zafascynowany. Nie wiem tylko, w jaki sposób mogłaby kobieta zdobyć wiedzę konieczną do prowadzenia takiego interesu. Jeśli wolno spytać: jakie to decyzje podejmowałaś?

Rachel ze zdziwieniem stwierdziła, że rzeczywiście jest tego ciekaw, więc nie mogła oprzeć się pokusie mówienia na ulubiony temat.

- Kiedy przejęłam przędzalnię, pracownicy mieszkali w ruderach wybudowanych przez mojego dziadka: z wilgotną polepą na podłogach i przeciekającym dachem. Dwoje niemowląt i jedno trzyletnie dziecko umarły pierwszej zimy, a wiosną straciłam najlepszego z moich tkaczy, który zapadł na zapalenie płuc. W lecie kazałam zbudować nowe domki, co oczywiście wywołało oburzenie właścicieli innych przędzalni. Powiedziano mi, że stworzyłam niebezpieczny precedens. Pewnie za

jeszcze gorszy uznano to, że założyłam szkółkę dla dzieci moich pracowników i zabroniłam pracować w Barton Mili dzieciom poniżej lat trzynastu. Jeden z właścicieli tak się tym zirytował, że próbował doprowadzić do ustalenia prawa zakazującego kobietom posiadać przedsiębiorstwo.

- Słyszałem, że bardzo małe dzieci zmuszane są do pracy w przedsiębiorstwach zarówno we Francji, jak i w Anglii - powiedział Yves, marszcząc brwi. - Teraz widzę, że jest to prawda.

- Nie wiem, jak jest w innych częściach Anglii ani we Francji, ale mogę cię zapewnić, że pięcioletnie i sześciolateczne dzieci zmuszane są do wykonywania najbardziej niebezpiecznych zadań dosłownie w każdej przedsiębiorstwie w Yorkshire, poza moją - odparła Rachel. - Ale nie ja pierwsza potępiłam te nikczemne praktyki. Honor należy się jakiemuś właścicielowi przedsiębiorstwa w Szkocji; zapomniałam jego nazwiska.

- Ale postępowałaś zgodnie ze swoimi przekonaniami, a jak mówią, „czyny znaczą więcej niż słowa”. - Yves ciekaw był, czy Rachel zdaje sobie sprawę, że oczywiście zapłonęły, kiedy mówiła o swojej szkółce. Najwyraźniej sprawa była bardzo bliska jej sercu.

- A więc oprócz tworzenia niebezpiecznych precedensów kształcisz dzieci robotników. Nikt ci nie mówi, że możesz napisać tym sobie biedy?

- Mówiono mi - rzekła Rachel. - Pouczono mnie, że jak tylko nauczą się czytać i pisać, rzucą się na mnie niby stado wściekłych psów.

- Ale mimo to postawiłaś budynek, wynajęłaś na-

uczycielkę i dostarczyłaś książek i czego tam jeszcze potrzeba, żeby szkoła mogła funkcjonować. Obawiam się, że istotnie jesteś niebezpieczną kobietą, panno Barton.

- Znalazłam nauczycielkę, gotową pracować za marne grosze do czasu, gdy będzie mnie stać, żeby płacić jej przyzwoitą pensję - zaprotestowała Rachel. - A budynek szkolny na razie znajduje się w sferze marzeń. W tej chwili lekcje odbywają się w stajniach Barton House.

- Mimo to jestem pewien, że znalazłaś sposób, by zrekompensować zmniejszone zarobki rodzicom uczących się dzieci.

- To niewielkie kwoty niegodne wzmianki. - Rachel zarumieniła się.

- Obawiam się, że twoi krytycy mogą mieć rację, panno Barton - droczył się. - Jesteś chyba bardziej zainteresowana filantropią niż zyskiem.

- To nieprawda - odparła Rachel. - Bardzo dobrze prowadzę moje interesy. Tkaniny wyprodukowane w Barton Mills są rozchwytywane w każdym większym mieście w Anglii, a ja umiem negocjować ceny nie gorzej niż mężczyzna. Przez trzy lata, od kiedy mam przedsiębiorstwo, przynosi ona duże zyski. - Zmarszczyła brwi. - No, może nie duże, ale nigdy nie musiałam zaciągać długów.

- Niewątpliwie, panno filantropko. Ale jestem pewien, że to jeszcze nie koniec. Jakie następne niespodzianki szykujesz dla brytyjskiego przemysłu włókienniczego?

- Może myślisz, że zwariowałam... - Rachel pochyliła się do przodu, opierając łokcie na stole. -

Ale bardzo wnikliwie przestudiowałam problem i w każdej chwili jestem w stanie ponad wszelką wątpliwość udowodnić, że wydajność nawet najlepszych tkaczy gwałtownie spada po dwunastu godzinach pracy przy warsztacie. Jak tylko będę mogła, skrócę godziny pracy z czternastu do dwunastu.

- Wielki Boże, kobieto, ukamienują cię! - Yves pokręcił głową.

- Widzę, że uważasz mnie za idiotkę o miękkim sercu. - Rachel uniosła dumnie głowę. - To samo powtarza mi Jacob Zimmerman, mój nadzorca.

- Ależ skąd, Rachel, moim zdaniem jesteś najniezwyklejszą kobietą, jaką znam.

Spojrzała na niego w osłupieniu. „Najniezwyklejsza” to było coś jeszcze lepszego niż „jedyna w swoim rodzaju”. Przyjaźń z Francuzem zdecydowanie poprawiała jej samopoczucie.

- Nadal nie wiem, skąd czerpałaś wiedzę na temat zarządzania przędzalnią. - Yves popatrzył na nią poważnie.

- Powinnam za to podziękować mojemu ojcu. - Wzruszyła ramionami. - Gdy miałam sześć lat, posłał mnie do zamiatania podłogi w gręplarni. W wieku lat czternastu umiałam prząść i tkać równie dobrze jak najlepsi pracownicy.

- Ależ to potworne! - oburzył się Yves. - Co to za ojciec, który zmusza swoją własną córkę do harówki ponad siły, zaledwie wyrosła z powijaków?! Twoja matka nie protestowała przeciwko temu?

- Moja matka umarła, kiedy miałam trzy lata... a na obronę mojego ojca muszę powiedzieć, iż pamiętając, że kiedyś odziedziczę po nim przędzalnię,

starał się, żebym nauczyła się jak najwięcej, zanim to nastąpi. Nie było tak źle - dodała szybko. - Nigdy nie zmuszano mnie do wchodzenia do środka pracującej maszyny, żeby wybierać resztki przędzy, albo po czółenko, które tam spadło. - Nie powiedziała jednak, że nadal śni się jej po nocach poszarpane ciało jej rówieśnika, który próbował wykonać to niebezpieczne zadanie.

- Co więcej, pracowałam tylko pół dnia: dokładnie siedem godzin. Resztę czasu spędzałam z moim korepetytorem: uroczym starszym panem, który nauczył mnie czytać, pisać, rachować, a przede wszystkim kochać książki. - Czując wyrzuty sumienia, gdyż była bardzo przywiązana do nauczyciela, a do ojca wcale, dodała: - Przędzalnia też nie była taka zła.

Yves nie dał się oszukać.

- Już się teraz nie dziwię, że tak protestujesz przeciwko pracy dzieci - powiedział, sięgając przez stół, by ująć jej dłoń. Jak zawsze jego dotyk wywołał dziwne drżenie w okolicy jej żołądka. Czuła, że wpatruje się w niego jak zachwycona pensjonarka. Nie potrafiła jednak tego opanować, tak samo jak powstrzymać się przed spleceniem swej dłoni z jego.

Yves dostrzegł tęsknotę i zmieszanie w jej oczach i zrobiło mu się wstyd, iż je wywołał. W ogóle było mu wstyd. Pod wieloma względami była w dzieciństwie jeszcze bardziej osamotniona niż on. Miał však siostrę i dwanaścioro młodych Durandów do towarzystwa, a gdy przyśnił mu się w nocy znajomy koszmar, koiły go macierzyńskie ramiona

madame Durand. Z kim przyjaźniła się Rachel? Z dziećmi robotników z ojcowskiej przędzalni? Ze swoim nauczycielem? Kto ją utulał, gdy się bała?

Nie hodowała jednak goryczy tak jak on, który poświęcił swe dorosłe życie, szukając zemsty na tych, którzy go skrzywdzili. Rachel zaś potrafiła otrząsnąć się ze złych wspomnień i zająć się tworzeniem lepszej przyszłości dla tych, którzy sami nie potrafili tego uczynić. Kontrast ten nie był dla niego zbyt pochlebny.

- Jest już późno, a my mamy przed sobą daleką drogę - oznajmił. - Odprowadzę cię do pokoju.

Rachel sprawiała wrażenie nieco zaskoczonej jego nagłą decyzją, ale nie protestowała. Ramię w ramię poszli schodami, a potem oświetlonym blaskiem świec korytarzem do swoich apartamentów.

- Dziękuję za uroczy wieczór - powiedziała Rachel, gdy zatrzymali się pod jej drzwiami. - To dar, o którym długo nie zapomnę. - Uśmiechnęła się i musnęła dłonią policzek mężczyzny. - Umiesz słuchać, Yvesie St. Armand, i jesteś dobrym przyjacielem.

Yves'a zawstydziło drżenie głosu Rachel. Patrząc w jej szczere, ufne oczy, przeżył wstrząs. Zdał sobie sprawę, że być może nigdy nie będzie czuł do Rachel takiej napiętności jak do Amalii, ale z całego serca pragnie ją uszczęśliwić. Ogarnęła go przełożona czułość, więc ujął jej delikatne ramiona i przyciągnął dziewczynę do siebie.

Rachel nie opierała się. Nie wiedziała, co wywołało ten przejaw uczucia, ani też o to nie dbała. Zachowa w pamięci tę cudowną chwilę i będzie ją

wspominać przez wiele długich, nudnych lat staropanieństwa, które ma przed sobą.

Yves pochylił głowę i lekko musnął ustami wargi Rachel. Potem nieoczekiwanie przytulił dziewczynę z całej siły i namiętnie pocałował w usta. Natychmiast ogarnęły ją te same mroczne, tajemne pragnienia, które obudził w niej jego pierwszy pocałunek.

Miała wrażenie, że stoi na krawędzi wielkiej skały i gdy z niej spadnie, jej życie nigdy już nie będzie takie samo. Jednak im dłużej trwał pocałunek, tym bardziej pragnęła znaleźć się w powietrzu. Gdy już prawie oderwała się od ziemi, Yves uniósł głowę i popatrzył na nią ze zgrozą.

- *Sacre bleu* - mruknął przez zaciśnięte zęby. Ten pocałunek miał być wyrazem zrozumienia i współczucia dla przyjaciółki, której przeszłość była równie przykra jak jego. Ale gdy tylko ich usta zetknęły się, stracił rozum. Całował ją nie jak przyjaciółkę, lecz jak kochankę, a ona odpowiedziała niepohamowaną namiętnością, która wyzwoliła w nim wszechogarniającą falę pragnień.

Czuł zapach jej włosów i smak jej ust. Aż do bólu czuł pulsowanie krwi w żyłach i niespełnione pożądanie.

Cofnął się o krok i odsunął ją na odległość ramienia.

- Co za niespodzianka - powiedział, natychmiast zdając sobie sprawę z nietrafności swego określenia.

- Nie dla mnie. Od chwili, gdy pocałowałeś mnie po raz pierwszy, wiedziałam, że możesz sprawić,

bym doznawała wrażeń, jakich żaden inny mężczyzna nie zdołałby we mnie wywołać.

Patrzył na nią w osłupieniu. Czy kiedykolwiek zdoła się przyzwyczaić do bezkompromisowej szczerości tej kobiety?

- P-przepraszam, ale pożądanie sprawiło, iż straciłem panowanie nad sobą - wyjąkał, gdy już był w stanie wyrzucić słowo.

- Chcesz powiedzieć, że żywiłeś do mnie pożądanie? - Rachel coś ścisnęło w gardle.

- Oczywiście. Nie jestem z kamienia. - Usiłował uniknąć jej wzroku, patrząc z uporem w jakiś punkt na ścianie za jej prawym ramieniem. - Ale ty zasługujesz na coś więcej, a ja nie jestem jeszcze gotów, by kogoś pokochać - powiedział cicho. Poza tym na grobie Amalii złożył przysięgę, iż nie odda swego serca nikomu innemu. Stracił wszystkie kobiety, które kochał: matkę, babcię, Amalię, nawet pocziwą madame Durand. Miał powody, by wzdragać się przed ponownym wystawianiem swego serca na życiowe ciosy.

Rachel nie mogła uwierzyć własnym uszom. Nawet w najbardziej szalonych marzeniach nie przyszło jej do głowy, że Yves zdolny był odczuwać wobec niej coś innego niż przyjaźń. Do tej pory to jej wystarczało. Jednak wszystko uległo zmianie, gdy przyznał, iż żywił wobec niej pożądanie. Myśl ta zarazem zachwyciła ją i przeraziła.

Jakże szybko jego słowa dały skrzydła jej marzeniom i jakże łatwo marzenia te poszybowały w przestworza. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę z niepokojącej prawdy: coraz mocniej kocha tego

mężczyznę i nie jest w stanie uczynić nic, aby powstrzymać ten proces.

Zastanawiała się, jakie kobiety wcześniej władały jego sercem. Była pewna, że nie należała do nich Jacqueline Esquare ani podobne jej istoty. Kimkolwiek ona była, musiała zranić go bardzo mocno, skoro teraz tak bardzo obawiał się pokochać na nowo. Jak mogła zdradzić zaufanie takiego człowieka jak Yves St. Armand?

Westchnęła. Widać było wyraźnie, że Yves żałuje wyznania o swym pożądaniu oraz pocałunku, który był jego świadectwem. W jego srebrzystych oczach czaił się wyraz lęku jak u dzikiego zwierzęcia schwytanego w pułapkę. Nie miała innego wyboru, jak tylko go uwolnić.

- To był tylko pocałunek - powiedziała łagodnie, ujmując w dłonie jego twarz. - Sprawił mi dużą przyjemność, bez wątpienia. Jestem jednak kobietą praktyczną i nie mam zamiaru dopatrywać się w nim czegoś, co nie istnieje. Pozostaniemy nadal przyjaciółmi i niczym ponadto.

Były to najtrudniejsze słowa, jakie wypowiedziała w życiu.

Blask księżycy wpadał przez otwarte okno w pokoju Yves'a, oblewając srebrnym światłem wypływały dywan i zakurzone zasłony przy łóżku, tak że nie trzeba nawet było zapalać świecy. Yves leżał nago, na nie rozesłanym wąskim łóżku, patrząc na cienie tańczące między belkami sufitu.

Nie mógł zasnąć. Bez względu na to, jak się starał, nie mógł przestać myśleć o tym, czego dowie-

dział się od Rachel na temat jej dzieciństwa. Nie mógł też zapomnieć jej spojrzenia, kiedy bagatelizowała pocałunek, który ich połączył, uznając go za zwykły przejaw przyjaźni. Znał zbyt wiele kobiet, by nie wiedzieć, co oznacza taki wyraz oczu. Jednak sama myśl o tym, że Rachel mogła go pokochać, napawała go przerażeniem.

Polubił ją i nie chce jej zranić. Jednak będzie musiało to nastąpić, jeśli dziewczyna nieopatrnie się w nim zakocha. Nie należy do kobiet, które mu się podobały w *ten* sposób. To niemożliwe, gdyż w niczym nie przypomina Amalii.

Ale dlaczego serce biło mu jak szalone, a ciało ożywało w żenujący sposób, gdy tylko dotknął jej ust?

Dlatego że, u licha, nie jest przecież świętym. Jest mężczyzną, którego żądza nigdy nie wygasa.

Gdyby nie był człowiekiem honoru, zapragnąłby wykorzystać jej niewinność. Jednak nie można proponować Rachel przelotnego romansu. Zasługuje na mężczyznę, który ofiaruje jej dom i dzieci: mężczyznę, który odda jej całą duszę.

On zaś nie jest kimś takim. Jego ciało odczuwa pożądanie, ale jego serce zostało na wieki pogrzebane na paryskim cmentarzu.

O poranku piątego, ostatniego dnia ich podróży z Londynu do Yorkshire Yves dosiadł jednego z dwóch wierzchowców, które biegły przywiązane z tyłu karety, zaś Philippe powoził. Niebo miało odcień głębokiego błękitu, a słońce grzało w twarz, więc Yves nie odczuwał wyrzutów sumienia, przynajmniej przez chwilę.

Po owym pamiętnym pocałunku przysiągł sobie, że przez resztę podróży będzie panował nad swoim pożądaniem i prowadził niezobowiązujące rozmowy. Jak do tej pory skrzętnie dotrzymywał obu przysiąg, chociaż druga była zdecydowanie łatwiejsza do realizacji niż pierwsza.

Rachel miała bystry umysł i najwyraźniej spragniona była okazji do wymiany myśli. Ochoczo podejmowała każdy temat, który jej podsuwał.

Jednego wieczoru zapytał o książki, które ostatnio czytała, i wywołał istny potop. Zanim zdążył złapać oddech, już przerzucali się cytatami z utworu „Miłość ma jest szkarłatną różą” Roberta Burnsa. Potem przeszli na „Ballady liryczne” Worswortha i Coleridge'a, a następnie spierali się o wady i zalety „Waverleya”, kontrowersyjnej powieści Waltera Scotta wydanej przed dwoma laty.

Wyczerpawszy temat, zajęli się Aleksandrem Pope, którego Yves określił jako swojego ulubionego angielskiego ironistę. Rachel natychmiast stwierdziła, że czcigodny ten poeta to złośliwy oświeceniowy dyktator i zaczęło się. Namiętna dyskusja skończyła się dobrze po północy, a Yves poszedł spać kompletnie wyczerpany, ale pewien, że żadna konwersacja nie sprawiła mu takiej przyjemności.

Innego wieczoru ku jego niezadowoleniu Philippe przyłączył się do nich na kolację i został, bawiąc Rachel dowcipnymi, ale gorszącymi historjkami o swawoli i intrygach na dworze króla Francji. Markiz roztoczył cały swój czar i wkrótce Rachel śmiała się i oblewała rumieńcem niczym naiwna pensjonarka. Yves'a to nie bawiło. Skrócił wie-

czór, oznajmiając, że jutro czeka ich długa podróż i powinni w związku z tym wszyscy iść wcześniej spać. Gdy zasypiał, w uszach jeszcze dźwięczał mu drwiący śmiech Philippe'a.

Na szczęście w oberży położonej na północ od Skipton, gdzie zatrzymali się na ostatni nocleg, córka właściciela była bujną dziewczyną o zapraszającym uśmiechu. Philippe, pochłonawszy jeden kufelek lokalnego ciemnego piwa, które podawała, ochoczo zrezygnował z kolacji i udał się za nią w dalsze regiony oberży, by zaspokoić inne, pilniejsze niż jedzenie potrzeby.

W innym czasie i miejscu Yves być może podjąłby rywalizację o względy nadobnej dziewczki i postarał się zwyciężyć. Teraz jednak, nie wiadomo czemu, nie miał ochoty na przygodny flirt. Nawet Jacqueline Esquare uskarżała się, że od kilku tygodni żyje jak mnich, co do tej pory było mu zupełnie obcym stanem umysłu i ciała.

Wczorajszy wieczór nie stanowił wyjątku. Philippe sobie poszedł, więc Yvesowi pozostało towarzystwo Rachel i wcale się na to nie uskarżał.

- Opowiedz mi o tym swoim Yorkshire - zaproponował podczas kolacji... a ona spełniła jego prośbę.

Oczy jej płonęły, gdy długo w noc malowała mu obrazy dzikich wrzosowisk i rozległych pastwisk, opowiadała o starych klasztorach i nowoczesnych przędzalniach, wielkich miastach takich jak York i maleńkich wioskach, których nazwy znali tylko ich mieszkańcy.

Yves słuchał chętnie, a teraz, o wczesnym poran-

ku, zaczął rozpoznawać niektóre z opisywanych przez nią miejsc.

Wcześniej już zauważył na wzgórzach w oddali zabudowania klasztorne i coś, co wyglądało jak zamek z wieżyczkami, i zatrzymał się, by przyjrzeć się z bliska starożytnym pozostałościom, które świadczyły o tym, że na północy Anglii żyli niegdyś Rzymianie, a potem wikingowie.

Mijali także dwie ze sławetnych przędzalni. Murowane te obiekty o charakterystycznych wąskich oknach były do siebie tak podobne, że Yves z pewnością nie umiałby powiedzieć, czy widział dwie różne budowle, czy też przejeżdżał obok tej samej dwukrotnie. Domki robotników znajdujące się opodal także niewiele się od siebie różniły: miały kryte strzechą nieszczelne dachy, rozpadające się drewniane ściany i wałące się ganki.

Brudne, chude dzieci z powagą przyglądały się mijającej je karecie. Wydawało się, że żadne z nich nie miało więcej niż pięć lat, a z dorosłych widziało się tylko siwowłosych starców. Najwyraźniej w świecie wszystkie osoby w wieku od lat sześciu do sześćdziesięciu zatrudniały się w przędzalniach.

Yves zaczął rozumieć, jakie zadanie postawiła przed sobą Rachel, gdy odziedziczyła Barton Mili, i dlaczego nie mogła patrzeć na nędzne rudery otaczające przędzalnie konkurencji. To, co dotychczas zobaczył, świadczyło, iż szczury w kanałach ściekowych Paryża wiodły dostatniejsze życie niż większość pracowników przędzalni w Yorkshire.

- Jak daleko jesteśmy od celu naszej podróży? -

zapytał ją, gdy zatrzymali się, by napoić konie i dać im odpocząć.

- Przed nami widać wzgórze. Za nimi jest przełęcz, która prowadzi do mojej doliny. Jeśli wszystko pójdzie gładko, przed zapadnięciem zmroku powinniśmy się znaleźć w Barton House. - Rachel zmarszczyła brwi. - Najwyższa pora, bo biedna Mary nie czuje się najlepiej. Jazda kareta jej nie służy. Drzę na myśl, co mogłoby się stać, gdybyśmy jechały dylizansem.

Tak jak powiedziała, droga biegła na północ obok następnych dwóch przędzalni podobnych tym, które mijali poprzednio. Potem opuściła nizinę i wiała się pośród łagodnych pagórków, by następnie wznieść się na strome, skaliste zbocze, bardziej nadające się dla górskich kóz niż koni pociągowych. Powoził Yves i musiał nieźle się natrudzić, by panować nad zaprzęgiem.

Im wyżej się znajdowali, tym robiło się chłodniej, a lekki wiaterek przyniósł mocny zapach sosen. Droga w górę wydawała się ciągnąć bez końca, ale wreszcie, objechawszy wielki blok ciemnego granitu, znaleźli się w wąskim, porośniętym lasem wąwozie otoczonym stromymi skalami, z których spadało do rwącego strumienia kilkanaście niewielkich wodospadów. Yves rozejrzał się dookoła, zachwycony pięknem i spokojem tego miejsca.

- To mi się podoba - stwierdził Philippe, gdy zatrzymali się koło strumienia, by napoić konie. Z westchnieniem zsiadł, złożył dłonie i długo pił czystą, zimną wodę.

- Piękna okolica - zgodził się Yves, schodząc

z kozła. - Ale przypuszczam, że w tych górach zima zaczyna się wcześniej.

- O, tak. - Rachel pojawiła się obok nich nad strumieniem. - Nazywają to miejsce „dachem północnej Anglii”, a kiedy spadną śniegi, ta stroma, kręta droga bywa bardzo zdradziecka, jak się o tym przekonało już wielu podróżnych. Moja matka zginęła w swym powozie za tym zakrętem w wigilię Bożego Narodzenia.

- Pozwól złożyć sobie wyrazy współczucia, *cherie* - powiedział łagodnie Philippe. - Wiem, co to znaczy stracić kogoś z rodziców w tak młodym wieku.

Yves wymamrotał stosowne wyrazy współczucia i dodał:

- Będziemy pamiętać o twoim ostrzeżeniu i, gdy tylko będzie można, bezzwłocznie wyruszymy do Londynu.

Miał wrażenie, że Rachel nie opowiedziała im wszystkiego. Zastanawiał się też, czy to tragiczna śmierć żony sprawiła, że jej ojciec stał się człowiekiem na tyle wyzutym z sumienia, by pozbawić dzieciństwa swą jedyną córkę.

Słońce chowało się właśnie za horyzont, gdy Yves pokonał kareta ostrzy zakręt, na którym zginęła matka Rachel. Zatrzymał się na krawędzi skały, skąd widać było głęboką dolinę ciągnącą się po kres horyzontu.

Więcej niż połowę doliny zajmowały małe poletka ograniczone kamiennymi murkami, przypominające farmę w Normandii, gdzie spędził swe dzieciństwo. Pomiędzy nimi tu i tam znajdowało się kilka

budynków zbyt dużych jak na wiejskie chaty, a za małych na pałace arystokratycznych rodów. Yves przypuszczał, że są to domostwa należące do klasy istniejącej tylko w Anglii: drobnej szlachty.

Poniżej płaskowyzu, na którym się znajdowali, leżała nieduża wioska ocieniona przez kościół ze spiczastą wieżą, a za nią stał budynek, który musiał być przędzalnią Rachel.

Dolinę okrył już mrok, ale widać było, że budowla ta wygląda tak samo jak inne, które oglądał wcześniej. Była jednak zasadnicza różnica: otaczały ją solidne domki świeżo pokryte strzechą i odmalowane, stojące w niedużych, ogrodzonych płotami ogródkach. Jak widać, jego dobroczynna przyjaciółka zdołała dokonać zmian na lepsze w życiu ludzi, którzy dla niej pracowali.

Po chwili Rachel wysiadła z karety.

- Dojechaliśmy do mojej doliny - powiedziała, uśmiechając się do Yves'a. - A oto Barton House. - Wskazała obszerny dwupiętrowy budynek z kamienia i drewna z czterema wysokimi kominami. Od przędzalni oddzielał go rząd buków, a dookoła rozciągały się soczyście zielone trawniki i kolorowe klomby. Całość otaczał niewysoki kamienny murek taki sam, jak na chłopskich poletkach.

- Jest zupełnie taki jak ty: skromny, ale dostatni - powiedział Yves, zsiadając z kozła.

Rachel zamrugała oczami i zdała sobie sprawę, że słów tych dama nie uznałaby za komplement. Jednak w zamyśle Yves'a miały nim być. Widząc bowiem jej siedzibę po raz pierwszy, doznał dziwnego uczucia, jakby bywał tam już wielokrotnie i w jej

grubych murach czułyby się jak u siebie w domu. Podobnie w towarzystwie Rachel odnosił wrażenie, jakby znali się już od dawna.

- Powiedz mi, kto jest właścicielem tych wszystkich owiec? - zapytał, mierząc wzrokiem ogromną łąkę, która zajmowała ponad połowę doliny. - Jest ich mnóstwo.

- Ja - odparła Rachel. - Jak również łąki, na których się pasą.

- Tyle ziemi i żadnych upraw? Dla owiec wystarczyłaby jedna czwarta.

- Najpewniej tak. - Rachel wzruszyła ramionami. - Ale nie mam zamiaru uprawiać mojej ziemi. Wystarczy mi, że wytwarzam dosyć wełny na potrzeby przędzalni.

- To okropne marnotrawstwo. - Yves potrząsnął głową.

- Dla mnie pustynią jest wszystko, co znajduje się na północ od Londynu - stwierdził Philippe, podchodząc do nich i spoglądając w dół. - A tutaj jest niewątpliwie koniec świata.

- Wiedziałam, że jest pan mieszcuchem. - Rachel zaśmiała się.

- To prawda, mademoiselle - zgodził się. - Amalia i ja czuliśmy się najlepiej na paryskim bruku, pośród wysokich budynków. Paryż był centrum naszego świata. Nie potrafiliśmy zrozumieć, dlaczego Yves tak go nienawidził.

- Amalia? - Rachel ze zdziwieniem popatrzyła na obu mężczyzn. - Nie sądzę, aby Yves kiedykolwiek wymienił to imię.

Philippe popatrzył na Yves'a, jakby imię Amalii

wymknęło mu się przypadkiem. Yves jednak wiedział lepiej. Markiz de Brune był znacznie bystrzejszym człowiekiem, niż mogło się wydawać. To, co mówił lub czynił, zawsze miało swój cel.

- Amalia de Maret była moją siostrą bliźniaczką. Umarła trzy lata temu - powiedział Philippe cichym głosem.

- Tak młodo - szepnęła Rachel i powtórzyła wyrazy współczucia, które on sam składał jej kilka minut wcześniej.

Philippe zawahał się na chwilę, a potem dodał:

- Jej narzeczony był brytyjskim szpiegiem na dworze Bonapartego. Zabito ją, gdy próbowała go ostrzec o zdradzie.

Rachel zbladła i patrzyła szeroko otwartymi oczami na obu mężczyzn. Yves widział, że natychmiast pojęła wszystkie implikacje słów Philippe'a.

- A więc dlatego Yves tak bardzo pragnie odnaleźć zdrajcę - mruknęła, przykładając dłonie do skroni, jakby przeszył ją nagły ból głowy.

Yves zgrzytnął zębami. Przeklęty Philippe, który musi się we wszystko wtrącać, i niech diabli wezmą sentymentalną głupotę Rachel! Temat Amalii de Maret stanowił jego własne, prywatne piekło i nie zamierzał z nikim się tym dzielić.

- Pora ruszać - powiedział chłodno. - Nie mam ochoty borykać się z tymi potwornymi zakrętami po ciemku, a poza tym musimy znaleźć sobie jakiś nocleg, zanim zapadnie noc.

Rachel pokręciła głową, jakby chciała obudzić się z koszmarnego snu.

- Nie chcę o tym słyszeć - zaprotestowała gło-

sem, w którym dały się słyszeć resztki szoku, który nadal malował się w jej oczach. - Przejechaliście taki szmat drogi z mojego powodu, że jestem wam winna co najmniej gościnę w Barton House.

- I chcesz potem żyć ze zszarganą reputacją, gdy wyjedziemy do Londynu? Musimy zachować pozory.

- Tutaj mam reputację zdziwaczałej starej panny. - Rachel wzruszyła ramionami. - Dawno już przestałam przejmować się tym, co o mnie pomyślą.

- Mimo to uważam, że będzie lepiej, jeśli Philippe i ja przenocujemy w oberży.

Yves drgnął, widząc ból w oczach dziewczyny, i szybko złagodził swoją odmowę, dodając:

- Wątpię jednak, byśmy wzbudzili wielkie zgorzienie, spożywając kolację w Barton House, a jutro, zanim wyruszymy do Londynu, bardzo chciałbym zwiedzić twoją przędzalnię.

- Chciałbyś? - zapytała Rachel ze zdziwieniem. - Z przyjemnością cię oprowadzę, ale nigdy mi nie przyszło do głowy, że byłbyś tym zainteresowany. Dano mi do zrozumienia, że arystokraci nie gustują w sprawach związanych z interesami.

- Większość - powiedział sucho Philippe. - Jednak ja wyczuwam coś chłopskiego w pochodzeniu Yves'a. To jest jedyne wyjaśnienie jego niektórych dziwacznych gustów.

Yves powstrzymał się od komentarza. Wiedział, że Philippe czynił aluzję nie tylko do jego zainteresowania przędzalnią, ale także do jego odmowy przyjęcia gościny u Rachel. Markiz lubił wygodę, a Barton House z pewnością zapewniał je w znacznie większym stopniu niż zajazd dla dyliżansów.

Yves jednakże miał swoje powody, dla których zdecydował się na nocleg w oberży. Był pewien, że Fairborne podąży za Rachel do Yorkshire i spróbuje dojść z nią do porozumienia. Yves zaś nie chciał rzucać się mu w oczy, co byłoby trudne, gdyby zamieszkiwał w domu Rachel.

Nie zamierzał się bowiem dłużej stosować do założeń Whitehall. Jeśli nie znajdzie pisemnych dowodów, których domagał się lord Castlereagh, pozbędzie się zbrodniczego zdrajcy na swój sposób, a w Yorkshire będzie mu znacznie łatwiej uniknąć szubienicy niż w Londynie. Kiedy dokona aktu zemsty, po prostu przemknie się przez granicę do Szkocji i wsiądzie w Glasgow na statek udający się do Ameryki.

12

Bezpiecznie dowiózłszy Rachel i jej pokojówkę do Barton House i pozostawiwszy karetę hrabiego Stratham w rękach stajennego w zajezdzie Pod Czarną Owcą, Yves gotów był udać się na spoczynek. Ale nie Philippe. Najstarsza córka oberżysty była pulchną, kruczowłosą piękną o nieśmiałym uśmiechu, który natychmiast wywołał zawiadacki błysk w oku markiza de Brune.

Yves zostawił go miłosnym podbojom bez chwili wahania. Był wciąż na niego tak wściekły, iż obawiał się, że nie zdoła zachować nawet pozorów uprzejmości. Zasypiał właśnie, gdy rozległo się głośne pukanie do drzwi, które natychmiast przywróciło mu przytomność. Nawyk sprawił, iż chwycił nóż, który miał ukryty pod poduszką, ale po chwili zrozumiał, kim jest ów intruz za drzwiami.

- Odejdź, Philippe, ja już śpię - zawołał w swoim ojczystym języku. - Jesteś ostatnią osobą, którą chciałbym teraz widzieć.

- Wpuść mnie! - odrzyknął Philippe. - Albo będę walił do drzwi, aż cała oberża się obudzi.

Yves wiedział, że jego popędliwy przyjaciel nie zawaha się przed niczym.

I on i Amalia doskonale umieli uzyskać to, cze-

go chcieli. Yves niechętnie podniósł się z łóżka, naciągnął spodnie i otworzył drzwi.

Philippe stał w progu, rozczochrany, w rozchełstanej koszuli. W jednej ręce trzymał butelkę, a w drugiej dwa kieliszki.

- Nie przyszedłem cię przeproszać za to, że powiadomiłem twoją przyjaciółkę Rachel o Amalii - stwierdził nieco bełkotliwym głosem.

- Wcale się tego nie spodziewałem - odparł Yves sucho. - Ani ty, ani twoja siostra nie mieliście takiego zwyczaju.

- Przyszedłem tu, żeby ci powiedzieć, co wymyśliłem. - Philippe wepchnął się do pokoju, podszedł do nocnego stolika i napełnił kieliszki.

- A może najpierw powiesz mi, ile wypiełeś? - Yves uniósł brew.

- Trochę. Ale właśnie w takim stanie wpadają mi do głowy najlepsze pomysły. - Uniósł kieliszek. - Za dziedziczkę z Yorkshire, która tylko czeka, żeby ją sobie wziął.

- Traktuję Rachel jak przyjaciółkę, nic ponad to. - Yves przełknął ślinę. - Do chwili, gdy zaaranżowałeś swoją scenkę, nie zdawałem sobie sprawy, że może żywić dla mnie jakieś cieplejsze uczucia. W Londynie nic nie dawała mi po sobie poznać.

- Może wydało jej się, że odwzajemniasz jej uczucia, bo popędziłeś za nią przez całą Anglię?

- Chcesz powiedzieć, że przypomniałeś sprawę Amalii, bo miałeś wrażenie, że zalecam się do Rachel?

- Każda panna doszłaby do podobnego wniosku. - Philippe wzruszył ramionami. - Nawet mająca tak ni-

skie mniemanie o sobie jak mademoiselle Barton. Obawiam się, że będzie zdruzgotana, gdy dowie się, że nic do niej nie czujesz... zwłaszcza teraz, gdy udowodniłeś jej, że Fairborne'a interesowały tylko jej pieniądze.

- Nic takiego nie mówiłem...

- Aha! A więc podoba ci się?

- Co czuję wobec Rachel, albo jakiegokolwiek innej kobiety, to nie twoja sprawa - warknął Yves. Starał się okazywać cierpliwość, ale pomału miał już dosyć tej rozmowy.

- Ale to zaczyna być moja sprawa. - Philippe nalał sobie następny kieliszek. - Jesteś mi bliski jak brat, więc za nic nie chciałbym wchodzić ci w drogę. Ale jeśli nie masz żadnych planów wobec tej panny, sam chętnie spróbowałbym moich szans u niej.

- O ile sobie przypominam, czyniłeś takie próby dwa dni temu. Bez większego skutku - zaśmiał się Yves.

- Badałem grunt. Teraz pójdę na całego. Stwierdziłem bowiem, że mademoiselle Barton może okazać się dla mnie idealną żoną... a ja idealnym mężem dla niej.

Kieliszek wysunął się Yvesowi z palców i brązowa strużka koniaku pociekła na białą pościel.

- Oszalałeś chyba. Co może mieć wspólnego paryski dandys z angielską prowincjuszka?

- Pieniądze - odparł Philippe bez chwili wahania. - Ma ich znacznie więcej, niż potrzebuje, a ja nie mam wcale, bo mój dziadek nie postarał się ukryć przed sankiulotami fortuny w złocie i klejnotach tak jak twój.

Zmysłowe usta Philippe'a wygięły się w irytującym uśmiechu.

- Reprezentuję sobą to, czego panna potrzebuje. Wiadac wyraźnie, że ktoś jej kiedyś wmówił, że jest nieatrakcyjna i niegodna miłości. Żaden mężczyzna nie ma lepszych kwalifikacji niż ja, by przekonać ją, że jest inaczej. Ta majątna panna nie zmarnuje swoich pieniędzy, gdy zechce dzielić ze mną swe małżeńskie łóżko.

- A niech cię diabli! - Yves poderwał się na równe nogi. - Tylko spróbuj, a będziesz miał ze mną do czynienia! Wyzwę cię na pojedynek!

- Ani myślę się na to zgadzać. Strzelasz o wiele lepiej niż ja i dobrze o tym wiesz. - Philippe zachichotał. - Popatrz na siebie. Jesteś gotów zabić swojego najlepszego przyjaciela z powodu kobiety, której, jak twierdzisz, wcale nie kochasz.

Yves usiadł na łóżku i spojrzał na swoje dłonie. Były zaciśnięte w pięści tak mocno, że paznokcie wbijały mu się w ciało.

- Chciałem cię sprowokować - powiedział Philippe. - Dałeś się złapać jak ryba na tłustego robaka. - Wygodniej rozsiadł się w fotelu i skrzyżował nogi w kostkach. - Może powinieneś iść z nią do łóżka. Wiedziałbyś wtedy, co do niej czujesz: miłość czy przyjaźń.

- Nie mogę. Rachel to nie dziewczka swobodnych obyczajów, z którą można przeżyć niezobowiązujący romans. A tylko tyle mogę jej zaofiarować.

- Bzdury. Jesteście dla siebie stworzeni. Zajrzałem do was wtedy wieczorem, gdy kłóciliście się o jakąś książkę. Byliście sobą tak zajęci, że nawet mnie nie zauważyliście.

- To prawda, że oboje kochamy książki...

- I, chociaż ja zupełnie nie rozumiem dlaczego, uwielbiacie proste wiejskie życie. Przyjrzałem ci się, kiedy patrzyłeś na jej dom w dolinie. Sprawiałaś wrażenie człowieka, który po życiu spędzonym na wędrownie nareszcie znalazł swoje miejsce na ziemi.

Yves był zaskoczony spostrzegawczością Philippe'a. Mimo to z uporem pokręcił głową.

- Do Rachel czuję przyjaźń połączoną z głębokim szacunkiem i podziwem... ale to nie jest miłość.

Miłość to było uderzenie pioruna, które dosięgło go, gdy po raz pierwszy ujrzał Amalię de Maret na sali balowej... wszechogarniająca namiętność, która sprawiła, że pozostał w Paryżu o wiele dłużej, niż było to bezpieczne. Uczucie, które żywił wobec Rachel, pojawiło się zbyt niepostrzeżenie, by mogło być miłością.

- Nawet gdybym był skłonny oświadczyć się tej pannie, a tak nie jest - Yves wzruszył ramionami - to jestem ostatnim człowiekiem na ziemi, którego powinna poślubić.

- A to czemu? - Philippe był szczerze zdziwiony. - Masz stare, szlacheckie nazwisko i jesteś bogaty. Nie musiałbyś jej błagać o łaskę.

- W londyńskim towarzystwie bogaty francuski arystokrata może zostać przyjęty. Ale ludzie z gminu są o wiele mniej otwarci. Jako przykład może posłużyć recepcjonista z Pulteney. Bez wątpienia wiele rodzin w Yorkshire utraciło swych synów na wojnie. Kiedy dowiedziano by się, kim je-

stem, stałbym się obiektem wzdargy, a Rachel razem ze mną, gdyby została moją żoną.

- Kiepska to wymówka. Mademoiselle Barton nie sprawia wrażenia osoby, która przejmuje się opinią innych. - Philippe przyjrzał się Yvesowi, mrużąc oczy. - Ale, oczywiście, obaj wiemy, że to nie jest prawdziwy powód, dla którego boisz się przyznać, co do niej w rzeczywistości czujesz.

- Nie mam pojęcia, co usiłujesz mi teraz wmówić - stwierdził zmęczony Yves. - Ale jestem pewien, że zaraz mnie objaśnisz.

- Pytałeś, co ja mam wspólnego z panną Barton. - Philippe dopił koniak. - A teraz ja cię zapytam, ile ty miałeś wspólnego z Amalią?

Yves poderwał się na równe nogi.

- Jak śmiesz! - Gwałtownym ruchem odstawił kieliszek na nocny stolik. - Z całego serca kochałem twoją siostrę, a ona w pełni odwzajemniała moją miłość!

- Nikt, kto was widział razem, nie odważyłby się zaprzeczyć, że łączyła was namiętność - zgodził się Philippe. - Sam cesarz powiedział kiedyś, iż obawia się, że wasze gorące spojrzenia spowodują pożar Wersalu. Ale pytałem, co miałeś z nią wspólnego poza tym, co dzieje się w łóżku? Nie nawidziłeś Paryża, a ona pogardała wsią, która jest twoim naturalnym środowiskiem. Powiedz mi, przyjacielu, gdzie zamierzaliście zamieszkać po ślubie?

- Skąd mam to wiedzieć. Odebrano mi ją, zanim zdążyliśmy podjąć decyzję. - Prawdę mówiąc, pokłócili się właśnie o to na kilka godzin przed jej

śmiercią i od tej pory Yves nie mógł sobie wybaczyć tego, co jej wtedy powiedział.

Zmęczony ponad wszelką miarę podszedł do okna i wyrżał na oświetlony blaskiem księżyca świat.

- Po co to wszystko robisz? - zapytał. - Myślałem, że kochałeś swoją siostrę.

- Ależ oczywiście. Byliśmy bliźniakami: stanowiła moją drugą połowę i zawsze będzie mi jej brakowało. Ale Amalia nie żyje od trzech lat, ty zaś wciąż chodzisz po tym świecie i jesteś mi bliski jak brat.

- Do czego więc zmierzasz?

- Masz trzydzieści dwa lata i potrzebna ci żona oraz gromadka dzieci, aby rozjaśnić twe dni. A zgodnie ze słowami poety: „sądzę, że za bardzo zaprzeczasz” temu, że czujesz coś więcej niż przyjaźń do tej Angielki. Czy obawiasz się, że pokochasz kogoś tak różniącego się od Amalii, dasz dowód, iż byłaby ona złą żoną?

Celne pytanie Philippe'a trafiło w czuły punkt.

- Bądź przeklęty - syknął Yves, zaciskając palce na parapecie okna. - Precz mi z oczu! Idź jątrzyć gdzie indziej albo wyrzucę cię przez okno, jak na to zasługujesz.

Za jego plecami rozległy się kroki. Drzwi otworzyły się, a potem zamknęły. Philippe najwyraźniej w świecie poważnie potraktował tę groźbę. Całe szczęście, bo ten nieznośny człowiek mógłby świętego wyprowadzić z równowagi.

Tak samo jak Amalia.

Odwrócił się od okna i rozejrzał po mrocznym pokoju, chociaż wiedział doskonale, że głos, który

wypowiedział te zdradzieckie słowa, należał do tego samego chochlika, który załgał się w jego głowie i dręczył go na długo przed śmiercią Amalii.

Wstrząśnięty do głębi Yves nalał sobie następny kieliszek koniaku, aby stępić swój umysł i móc wreszcie zasnąć. Daremnie, gdyż trzeba było znacznie więcej koniaku, niż zostało w butelce, by zamknąć puszkę Pandory otworzoną przez złośliwego chochlika.

Po prawdzie bowiem podobieństwa między Amalią a Philippe'em de Maret wykraczały poza kolor włosów i oczu. Amalię także cechowało zaskakujące połączenie bezwstydnego narcyzmu i nieoczekiwanej wrażliwości. W jednej chwili była gorącą kobietą, która spełniała najniezwyklejsze fantazje Yves'a, by w drugiej stać się nieznośnym, egoistycznym dzieckiem.

Na początku ich burzliwego związku uważał, że jej nagłe zmiany nastroju są szalenie podniecające. Ale na długo przed jej tragicznym końcem zaczął tracić cierpliwość dla dziecięcej części podwójnej osobowości swej kochanki. Do tego stopnia, że zaczął się zastanawiać...

Urwał, przerażony tym, co chciał pomyśleć. Czyżby Philippe miał rację? Czyżby rzeczywiście życie z Amalią miało z czasem stać się nie do zniesienia?

Ależ co też on sobie wyobraża? Ona przecież zawsze była czarująca. Nawet najgorsze kłótnie oddalały się w nicość jak mgła pod promieniami słońca, gdy tylko wziął ją w ramiona. Była jego jedyną prawdziwą miłością i poświęciła życie, by go ura-

tować. Żadna inna kobieta nie zastąpi jej w jego sercu.

Z kieszeni kamizelki wydobyl dziwaczny srebrny guzik, który z niezrozumiałych przyczyn nosił przy sobie od czasu, gdy go znalazł na zapleczu oberży w Dover. Szmaragdowe oczka maleńkiego smoka błysnęły złośliwie w bladym świetle ubywającego księżyca i jak zawsze Yves poczuł w palcach dziwne mrowienie, gdy dotykał tego złowrogięgo przedmiotu.

Jeszcze raz przypomniał sobie, że złoczyńca, którego poszukuje, jest zarazem zdrajcą swojej ojczyzny i wyrachowanym mordercą.

Jeszcze raz musiał przyznać, że jako człowiek honoru najpierw powinien pomścić przeszłość, zanim zacznie myśleć o przyszłości.

Pierwszego poranka w domu Rachel obudził jasny blask słońca wpadającego przez okno jej sypialni i uporczywe dźwięki dobywające się z zegara nad kominkiem. Usiadła i potarła oczy zaskoczona, że wciąż jeszcze jest w łóżku, mimo że już dziewiąta godzina. Ale czego miała się spodziewać? Spędziła noc, siedząc przy oknie, patrząc, jak księżyc wędruje po niebie, i poszła spać dopiero wtedy, gdy pierwsze promienie słońca oświetliły horyzont.

Nocne rozmyślania przyniosły jej niewiele poza okropnym bólem głowy. Nic bowiem, czego dowiedziała się na temat Yves'a od jego gadatliwego przyjaciela, nie miało najmniejszego wpływu na stan jej uczuć. Najwyżej zdolność Yves'a do obdarzenia kobiety głębokim uczuciem sprawiła, że pokochała go jeszcze bardziej.

Doznała jednak pewnej ulgi, gdy tuż nad ranem stwierdziła, iż wyznanie, że Yves jej pożąda, nie jest tak istotne, jak jej się wydawało. Najwyraźniej był w stanie pożądać wielu kobiet, nawet tej, którą uważał za swoją przyjaciółkę; kochał jednak tylko raz.

Niezwykłe było to, że udało jej się wmówić sobie, iż może marzyć o czymś, co, jak czuła w głębi serca, nie miało prawa nastąpić. Nie jest przecież kobietą, która może wzbudzić głęboką namiętność albo wieczną miłość, chyba że tak jak w przypadku hrabiego Fairborne uczucie mężczyzny budzą jej pieniądze.

Wszystko to nie zmieniało faktu, że Yves wyraził chęć zwiedzenia przędzalni, a ona powinna być gotowa, gdy się zjawi. Szybko odbyła poranne ablucje, uczesała włosy w gładki kok i założyła brązową suknię z białym kołnierzykiem i mankietami.

W chwilę później była już na dole, w kuchni, i piła mocną, gorącą herbatę w nadziei, iż złagodzi to jej ból głowy. Gospodyni, pani Partridge, przygotowywała właśnie posiłek południowy i niskie pomieszczenie wypełniał apetyczny zapach duszonej baraniny. Podniosła wzrok znad ciasta, które zagniałała na chleb, i popatrzyła z niepokojem na Rachel.

- No, nareszcie jest panienka na nogach, co? Już się o panienkę martwiłam. Panienka siada. Mam dla panienki coś dobrego.

- Herbata mi wystarczy. Nie mam apetytu i źle spałam - odparła Rachel, nalewając sobie filiżankę napoju z czajniczka stojącego obok pieca kuchennego.

nego. Herbata jak na to, co pijało się w Yorkshire, nie była wystarczająco gorąca, ale za to tak mocna, że wyciskała łzy z oczu.

Pani Partridge podzieliła gładkie białe ciasto na kawałki, uformowała je w bochenki i ułożyła na dwóch blachach, które umieściła w ciepłe, by wyrosły.

- Twoja nowa pokojówka mówi, że słyszała w nocy, jak panienka płacze.

- Uroiła coś sobie - stwierdziła Rachel stanowczo, mając nadzieję, że jej oczy nie są już zapuchnięte.

- Hm! - Pani Partridge zajęła się skrobaniem stolnicy. - Jeśli chce panienka wiedzieć, to dzieje się tu coś dziwnego. Od kiedy to potrzebuje panienka pokojówki?

- Mary może robić także inne rzeczy - broniła się Rachel. - Tyle razy narzekałaś, że potrzebny jest ci ktoś do pomocy przy robotach domowych.

- Mnie wystarczyłaby dziewczyna ze wsi, twoja londyńska pokojówka napyta nam tylko biedy.

- Jakże to?

- Nie widzisz, jak wygląda? Za to dobrze przyjrzał się jej Jacob Zimmerman, kiedy był dzisiaj rano. Wdzięczył się do niej, jakby nigdy nie widział złotych loków i błękitnych oczu. To się nie godzi, żeby nadzorca przędzalni ledwo dwa lata po śmierci żony interesował się zwykłą pokojówką.

Rachel popatrzyła z niezadowoleniem na swoją wścibską gospodynię, mając wielką ochotę zapytać, skąd wziął się jej taki snobizm wobec kogoś ze swojej własnej klasy. Pohamowała się jednak ze wzglę-

du na jej długie lata wiernej służby u niej samej, a przedtem u ojca. Powiedziała tylko:

- Jestem pewna, że Jacob nie miał na myśli nic złego. Mary jest taka ładna, że każdy mężczyzna musi się nią zainteresować.

- Nie uroda się liczy, ale charakter - stwierdziła pani Partridge kwaśno. - Ta mała za bardzo się wdzięczy jak na młodą wdowę, a jeszcze na dodatek, o ile mnie oczy nie pomyliły, jest w odmiennym stanie.

Rachel miała dosyć. Pani Partridge była dobrą kobietą, ale zgorzkniała od czasu, gdy jej mąż uciekł z córką jednego z farmerów, o połowę od niego młodszą. Zazwyczaj Rachel okazywała wyrozumiałość, gdy starsza kobieta rozładowywała swoje rozgoryczenie uszczypliwościami. Ale nie dziś rano.

- Niech pani da spokój - rzuciła przez zaciśnięte zęby. - Mary Tucker to uczciwa młoda kobieta, której wiele zawdzięczam dobrego. Ma dosyć własnych problemów. Nie pozwolę, by pani dodawała jej następnych.

Starsza kobieta otworzyła usta ze zdziwienia i patrzyła w osłupieniu. Rachel natychmiast pożłowała swych gniewnych słów. Pani Partridge była kimś więcej niż gospodynią: w dzieciństwie prawie zastępowała Rachel matkę.

- Przepraszam, że byłam kąśliwa - powiedziała ze skruchą. - Boli mnie głowa i po nieprzespanej nocy wszystko mnie drażni.

- To ja powinnam panienkę przeprosić - odparła gospodyni. - Zapomniałam się. - Westchnęła. - Zmieniłam się w starą, złośliwą jędzę i sama siebie

czasami się lękam. Znienawidziłam Mary Tucker od pierwszej chwili tylko dlatego, że przypomniała mi...

- Wiem - powiedziała uspokajająco Rachel. Miała ochotę wyjawić pani Partridge prawdę o Mary, ale obowiązywała ją dyskrecja.

- Służąca czy nie, twoja Mary to śliczne dziewczę. - Pani Partridge wzięła głęboki wdech. - Jeśli Jacob Zimmerman uważa, że jest dla niego dosyć dobra, cóż ja mam powiedzieć. Może zechce wziąć coś po innym, zwłaszcza że jego własne dziecko zmarło w tydzień po tym, jak przyszło na świat.

- Mój Boże, oni się spotkali po raz pierwszy dziś rano. Nie chwał dnia przed zachodem słońca.

- Już ja tam swoje wiem. - Pani Partridge potrząsnęła głową. - Mężczyzna, który ma takie maślane oczy, jest gotowy do wzięcia.

Rachel powstrzymała się od dalszych uwag. Nie potrafiła sobie jednak wyobrazić, że tak nieromantyczny człowiek jak Jacob Zimmerman mógł dać się porwać uczuciom na tyle, by porzucić swą zwykłą rezerwę. Po tych wszystkich latach wspólnej pracy nie potrafiła go nawet przekonać, by zwracał się do niej inaczej jak: „Panno Barton”.

Wstała od stołu, podeszła do pieca i nalała sobie następną filiżankę herbaty.

- Mówiąc o Jacobie... - zaczęła. - Rozumiem, że przyszedł, żeby powiadomić mnie o bieżącej produkcji. To gdzie teraz jest?

- Wrócił do przędzalni. A przynajmniej tak powiedział, kiedy wychodzili z tym zuchwałym, ciemnowłosym londyńczykiem.

- Yves był tutaj? Tak wcześnie? Poznali się z Jacobem?

- Tak. Siedzieli przy tym właśnie stole, jedli moje bułeczki i pili moją herbatę, zupełnie jakby byli u siebie w domu. Potem udali się do przędzalni, bo były jakieś kłopoty z krosnem numer cztery, jakby ten londyńczyk miał o tym jakieś pojęcie.

Rachel jednym haustem dopiła swoją herbatę i wstała. Czwórka to było jej najnowsze i najlepsze krosno mechaniczne. Jeśli działo się z nim coś złego, lepiej, żeby jak najprędzej znalazła się w przędzalni. Ale co to za pomysł, żeby mieszać Yves'a w ich sprawę? To nie są rzeczy, które mogłyby zainteresować francuskiego arystokratę. Podejrzewała, że Yves wyraził pragnienie, by zwiedzić przędzalnię bardziej z grzeczności niż z rzeczywistego zainteresowania.

Mniej więcej dziesięć minut później szybki spacer bukową aleją zawiódł Rachel do Barton Mili. W małym pokoiku, który służył jako biuro jej i Jacobowi, nie było nikogo, więc dziewczyna pchnęła ciężkie dębowe drzwi oddzielające go od pomieszczeń fabrycznych i weszła do gręplarni. Panował tu ogłuszający hałas: potężne maszyny cesały i wyrównywały włókna surowej wełny, która miała następnie zostać uprzedzona.

- Dzień dobry, Timothy! - zawołała do mężczyzny pracującego przy najbliższej maszynie.

- Dzień dobry pani - odrzyknął przysadzisty młody człowiek, nie odrywając oczu od wełny, którą ładował do maszyny. - Dobrze, że panienka wróciła. Krosno numer cztery stoi.

- Słyszałam. - Omijając kilkanaście koszów z wełną ustawionych obok niego, Rachel skierowała się w stronę przepierzenia oddzielającego gręplarki od ogromnych parowych przędzarek, które nabył jej ojciec dziesięć lat temu.

- Halloo, Maggie Robinson! - zawołała do tęgiej, mniej więcej czterdziestoletniej kobiety obsługującej jeden z wielkich kołowrotów, które ciągnęły, skręcały i nawijały zgręplowaną wełnę przekształcając ją w przędzę.

- Halloo, panienko! - odpowiedziała kobieta. - Jeśli szuka pani Jacoba, to jest razem z tym przystojnym, czarnowłosym londyńczykiem przy czwórce. Mają tam jakiś problem.

Rachel uśmiechnęła się. Wiadomości o kłopotach szybko rozchodziły się po całej przędzalni. Przez kilka minut przyglądała się, jak zręczne pałce Maggie kontrolują pracę wrzeczona, na które nawijała się coraz to nowa przędza. Będąc w Londynie, zdawała sobie sprawy, że tęskni za przędzalnią. Jednak dopiero teraz poczuła, jak bardzo. To było jej miejsce na ziemi: jej świat, w którym czuła się kompetentna, potrzebna i akceptowana.

Jeszcze raz uśmiechnęła się do kobiety, która nauczyła ją wszystkiego na temat sztuki przędzenia, obeszła ogromną kadź z farbą i ruszyła do tkalni. To było serce przędzalni: sala, w której mieściły się zdumiewające mechaniczne krosna, stanowiące dumę i radość jej ojca. Uczucia te były uzasadnione, gdyż dzięki niezwykłej piękności tkaninom wykonanym na tychże krosnach Benjamin Barton stał się najbogatszym właścicielem przędzalni w Yorkshire.

Rachel zatrzymała się tuż za drzwiami, by przez chwilę przysłuchiwać się miarowym dźwiękom wydawanym przez czółenka. „Muzyka czółenek” grała dla niej od najwcześniejszego dzieciństwa. Słuchała jej tylekroć, że potrafiła odróżnić dźwięki wydawane przez poszczególne z nich, i natychmiast zorientowała się, że krosno numer cztery nie działa.

Ostrożnie ominęła kilkanaście pracujących krosien, które dzieliły ją od milczącej czwórki. Pierwszą osobą, jaką zobaczyła, zbliżywszy się, był tkacz siedzący beczynnie na swoim wysokim stołku.

Obok niego stał Jacob Zimmerman, trzymający w rękę znajomy niebieski surdut.

- Dzień dobry, panienko - powiedział głosem dziwnie pogodnym w sytuacji, gdy jego najlepsze krosno miało awarię.

- Gdzie Yves? - Spojrzała pytająco na surdut.

Jacob wskazał jej parę zakurzonych butów wystających spod masywnej podstawy krosna.

- Na miłość boską... - zachnęła się Rachel.

- Nic się nie stało. - Na szczupłej, pobrużdżonej twarzy Jacoba pojawił się szeroki uśmiech, a w oczach ukrytych za okularami wesołe błyski - Twój przyjaciel z Londynu założył się o funta, że awaria czwórki nie jest spowodowana zużytym czółenkiem, jak sugerowałem, ale odpadkami wełny, które dostały się do przesmyku i utrudniają przesuwanie się czółenka. To zaś, jak mu powiedziałem, nie ma najmniejszego sensu

Jacob był pomocnikiem nadzorcy największej przędzalni w Lancashire, skąd przeniósł się do ojca Rachel, a ona ufała mu bez zastrzeżeń. Mimo to

każdy może się pomylić, a Yves nie miał zwyczaju wygłaszać twierdzeń, których nie potrafiłby udowodnić. Nie umiała jednak sobie wyobrazić, skąd francuski arystokrata mógłby wiedzieć na temat krosien na tyle dużo, żeby móc mieć swoje zdanie.

- Dlaczego uznałeś, że czółenko jest zużyte? - zapytała. - Nie powinno. O ile pamiętam, zostało wymienione niedawno temu.

- Nie pracowało w rytm. - Jacob wzruszył ramionami. - Odniosłem wrażenie, jakby zużyło się nierówno i kolebało się, przeciągając wątek przez przesmyk. Co więcej, sprawdzałem to krosno kilka dni temu i nie było w nim żadnych odpadów.

- A więc to musi być wina czółenka. - Rachel pokiwiała głową. - Używamy wełny najwyższej jakości, więc przez te kilka dni nie mogło się nabierać tyle resztek, żeby utrudniały pracę czółenka.

- Ty to wiesz i ja także, panno Barton. Yves wkrótce się tego nauczy.

Yves? Jacob i on znali się tylko parę godzin i już byli na „ty”?

- Widzę, że świetnie się bawisz, obserwując, jak ten biedak się kompromituje. - Rachel zmarszczyła brwi.

- W istocie. - Jacob zaśmiał się. - Poza tym po drodze uczę go tego i owego na temat krosien mechanicznych.

- A niech cię diabli - syknęła. - Yves jest moim szczerym przyjacielem. Towarzyszył mi przez całą drogę z Londynu z dobroci serca. Nie podoba mi się, że sobie z niego drwisz.

- Sprawiał wrażenie człowieka, który zna się na

żartach - zdziwił się Jacob. - Wątpię, żeby się mną bardzo przejął, a mała nauczka dobrze mu zrobi.

- Wszystko słyszałem. - Przedmiot ich dyskusji wyłonił się spod krosna. Na czole i policzku, a także na przodzie koszuli, miał obfite ślady smaru, ale braki w elegancji nie żenowały go w najmniejszym stopniu. Na jego twarzy malował się uśmiech zadowolenia.

- Bardzo jesteś wesół jak na człowieka, który właśnie przegrał zakład - zauważył Jacob. - Czy jesteś tak bogaty, żeby bez szkody utracić funta?

- Mam dosyć pieniędzy, drogi przyjacielu, a teraz nawet jeszcze więcej niż parę minut temu, i to dzięki tobie - odparł Yves, rozpromieniając się jeszcze bardziej. - Pomiąłem bowiem dwa drobiazgi, kiedy robiliśmy nasz zakład. Po pierwsze, kobieta, która mnie wychowywała, pracowała jako tkaczka, a ja musiałem naprawiać jej krosno, a po drugie, nigdy się nie zakładam, jeśli nie mam pewności wygranej. - Mówiąc to podniósł nasączony smarem kłęb odpadów wełny na tyle duży, że dałoby się nim wypchać niewielką poduszkę.

Rachel usłyszała, że za jej plecami tkacz wydał lekki okrzyk zdziwienia, a jej samej na chwilę zabrakło tchu.

- Skądś to, do licha, wziął? - zapytał Jacob.

- To nie są żadne sztuczki - zaśmiał się Yves. - Po prostu już kiedyś miałem z czymś podobnym do czynienia. Kobieta, która opiekowała się mną w dzieciństwie, zanim poślubiła swego farmera, była tkaczką, więc także po ślubie pracowała przy krosnach w długie zimowe wieczory. To prawda, że

krosno madame Durand było ręczne, ale zasada rządząca działaniem czótenka była taka sama jak tu. Gdy usłyszałem pracę waszego krosna, wiedziałem, że zapchał się przesmyk. Tak się zdarzało, gdy madame Durand musiała używać surowca gorszej jakości.

- Ależ to niemożliwe - zaprotestowała Rachel. - Zawsze używamy najlepszego surowca. Wyłącznie wełen Blue Faced Leicester, Suffolk, Shetland, Teeswater, no i oczywiście mojej własnej doskonałej Wensleydale. Żadna z nich nie może dać takich odpadów, jakie trzymasz w ręku.

- Chyba że... - Jacob popatrzył na kłęb trzymany przez Yves'a. - Pamiętasz tę partię, którą kupiłaś od farmera z Karlsborough?

Przeniósł wzrok na Yves'a, który podniósł się na nogi.

- Panna Barton doskonale radzi sobie w interesach... chyba że serce wejdzie jej w paradę. Niech no tylko u jej drzwi pojawi się jakiś biedak z głodnym dzieckiem, kupi od niego wszystko, i to za podwójną cenę.

- Nakazałam jak najsurowiej, żeby zniszczyć całą partię - oburzyła się Rachel.

- Wygląda mi na to, że zamiast tego dostała się do gręplarni.

- Nic o tym nie wiedziałem, panienko, przysięgam - jęknął krępy, ciemnowłosy mężczyzna.

- Wierzę ci. Jacob nikogo nie obwinia. Po prostu próbujemy wyjaśnić, co mogło spowodować kłopoty. - Rachel uśmiechnęła się do tkacza. - Zaraz wszystko naprawimy, a teraz daję ci wolne. Możesz

ić do domu na obiad i zjeść go z żoną i dziećmi.

- Ale panienko...

- Nie potrącę ci z zarobku, jeśli tego się lękasz... pod warunkiem, że zachowasz dla siebie to, co tu dziś rano widziałeś.

- Daję panience moje najświętsze słowo. Zabiorę tę tajemnicę ze sobą do grobu. - Wybałuszając z przerażenia oczy, mężczyzna chwycił swój garnuszek z obiadem i szybko zniknął z pola widzenia.

Rachel obserwowała, jak Jacob wyciąga zwitek banknotów jednofuntowych z kieszeni, oddziela jeden i podaje go Yvesowi.

- Chociaż bardzo nie lubię przegrywać zakładów, zwłaszcza jeśli przy tym wychodzę na durnia, jestem ci bardzo wdzięczny, że wskazałeś nam, na czym polega problem, dzięki czemu oszczędziliśmy sporo cennego czasu. Nie możemy sobie na to pozwolić, zwłaszcza w świetle poleceń, jakie otrzymaliśmy w zeszłym miesiącu.

Rachel przyjrzała się badawczo kłębowi odpadów, które Yves wydobył z krosien.

- A więc jesteś pewien, że to awarię spowodowała wełna z Karsborough? - zwróciła się do Jacoba.

- Tak. Zastanowiłem się nad tym i chyba wiem, jak to się stało, że trafiła do gręplarni. Tylko ty i ja umielibyśmy powiedzieć, że jest gorszej jakości. Dla wszystkich innych... może poza twoim szlachetnie urodzonym przyjacielem z Londynu... wełna to wełna.

Podał Yvesowi jego surdut i zwrócił się do Rachel:

- Sprawdź, czy są jakieś kupony tkaniny, do któ-

rych dostała się ta wełna, bo masz bardziej wrażliwe palce. Ja zobaczę, czy tego paskudztwa nie ma gdzieś jeszcze w gręplarni i przędzalni.

Rzekłszy to, Jacob oddalił się, ale przedtem mruknął do Rachel:

- Nie pozwól, żeby ci się wymknął, panno Barton. Jest wart dwudziestu takich jak ten poprzedni londyńczyk, który się do ciebie zalecał.

13

Yves zauważył rumieniec Rachel i przez chwilę wahał się, czy powinien udać kompletną głuchotę, czy też potraktować prowokacyjną uwagę Jacoba Zimmermana jako absurd, zasługujący tylko na krótki komentarz. Wybrał to drugie wyjście. Zawsze uważał, że lepiej rzecz wyjaśnić, niż pozwalać, by między przyjaciółmi narastały nieporozumienia.

- Jacob to dobry człowiek i najwyraźniej bardzo do ciebie przywiązany... co można mu poczytać tylko za zasługę - powiedział cicho. - Jestem zaszczycony, iż uznał mnie... godnym.

- Powinieneś być zaszczycony - odparła Rachel, marszcząc brwi z zakłopotaniem. - Niełatwo zawiera przyjaźnie i nie ceni sobie arystokratów, a tym bardziej francuskich.

- Obawiam się, że może uważać, iż jestem Anglikiem, i do tego plebejuszem. Nie wiem czemu, ale łatwo uczę się języków. Niemcy uważają mnie za Niemca, Hiszpanie za Hiszpana. Raz zdarzyło się, że wzięto mnie za Rosjanina. Wcale nie chciałem go zwieść. Powiem mu, kim jestem, gdy tylko znowu się z nim zobaczę.

- Nie, proszę, nie rób tego. Po co wytwarzać nie-

przyjemną sytuację, skoro przyjechałeś tu tylko na krótki czas? - W głosie Rachel zabrzmiała niezwykła u niej ironia. - Jacob od samego początku nie znosił hrabiego Fairborne i wcale nie próbował tego ukrywać, gdy się spotykali. To było bardzo nieprzyjemne.

Szacunek Yves'a dla nadzorcy przędzalni wzrósł o kolejny stopień. Jeśli nadejdzie potrzeba, w tajemniczy go i poprosi o pomoc w schwytaniu zdrajcy.

- Co miał Jacob na myśli, mówiąc, że twoje palce najlepiej nadają się do wykrycia tkaniny zawierającej gorsze włókna? - zapytał z ciekawości.

- To umiejętność, którą nabywałam przez wiele lat... jest niezbędna, jeśli chce się produkować doskonałe tkaniny. Jeśli cię to naprawdę ciekawi, mogę ci pokazać.

- Jestem ciekaw - powiedział. A potem, widząc jej powątpiewanie, skrzyżował palce i dodał: - Nie jestem przeciwny zajmowaniu się interesami jak większość ludzi z mojej klasy. Kto wie? Może sam kiedyś zechcę zainwestować w przędzalnię?

Rachel najwyraźniej potraktowała jego słowa serio, bo poleciła mu patrzeć uważnie i zaczęła szybko przesuwając palcami po powierzchni tkaniny, jakby potrafiła wyczuć, w których miejscach znajdowały się włókna gorszej jakości.

- Co robisz? Nie widzę żadnych skaz ani w tkaninie, ani w kolorze.

- Skazy, które szukam, nie da się wykryć wzrokiem, tylko dotykiem. Pokażę ci. Przesuwaj za mną palcami po tkaninie i staraj się myśleć czubkami

palców. - Popatrzyła na niego badawczo. - Czujesz, gdzie tkanie jest inne?

- Nie. Mam wrażenie, że wszędzie jest takie samo.

- Tak się z początku wydaje. Dopiero zaczynasz. Ale zamknij oczy i próbuj dalej.

- To beznadziejne - stwierdził Yves kilka minut później, czując się zdecydowanie głupio.

- Jesteś niecierpliwy.

Yves zaklął cicho w swoim ojczystym języku, ale nie otwierał oczu i wciąż badał tkaninę. Wreszcie, kiedy już chciał zrezygnować...

- Chyba mam! - zawołał. - Coś szorstkiego, jakby kruchego, co sprawia, że swędzą mnie palce... tutaj.

Rachel przeciągnęła dłonią w miejscu, które wskazywał.

- Tak! Bardzo dobrze. Widzisz teraz, dlaczego należy sprawdzić każdy skrawek tkaniny, do której dodano gorszą wełnę. Nigdy nie sprzedałabym pod szyldem firmy Barton Mills serży, od której klienta swędziałyby skóra. Na szczęście tym razem nasz klient zamówił materiał w trzydziestojardowych sztukach, więc poszukiwania mają szansę powodzenia.

- Ale poniesiesz poważną stratę, jeśli okaże się, że w grę wchodzi wiele kuponów. - Yves zmarszczył brwi.

- Nie. Będziemy musieli oczywiście wyprodukować nowe tkaniny, co oznacza dodatkowe godziny pracy dla moich tkaczy, ale inaczej niż pozostali pracodawcy odpowiednio ich wynagrodzę. Na no-

wych tkaninach dobrze zarobię... a i na starych nie stracę.

- Jakże to? - zapytał Yves, patrząc na wielki stos kuponów leżący obok krosna.

- Jestem przygotowana na taką okoliczność. - Rachel wzruszyła ramionami. - Jak każdy właściciel przędzalni. Już dawno temu nauczyłam się, że nawet najdoskonalszy surowiec i najlepsi tkacze nie chronią przed popełnieniem błędu. Dlatego mam miejsce, gdzie zbywam wadliwe produkty, używając innej nazwy firmy, niż Barton Mills.

Ku jej zaskoczeniu, słysząc tę odpowiedź, Yves wybuchnął szczerym śmiechem.

- Co w tym zabawnego? - zapytała. - Daję ci bardzo dobrą radę.

- Wiem, wiem. Nie śmieję się z ciebie, ale z mojego własnego męskiego zarozumiałstwa. Wierz mi, jeśli chcesz, ale zamierzałem zwiedzić przędzalnię nie dlatego, że pragnąłbym w coś takiego zainwestować, ale raczej dlatego, że chciałem przyjrzeć się mężczyźnie... albo mężczyznom... którzy prowadzą ją dla ciebie.

- Naprawdę? A to po co?

- Dlatego, moja droga przyjaciółko, że chociaż utrzymujesz, iż jesteś kobietą interesu, miałem swoje wątpliwości. Mówiłaś bardzo dużo o tym, jak poprawiałaś byt swoich pracowników, a bardzo mało o pracy przędzalni.

- Więc uznałeś, że jeśli nie ma jakiegoś mężczyzny, który pohamuje moją rozrzutność, na pewno wkrótce doprowadzę interes do bankructwa.

- No, może nie posuwałbym się aż tak daleko...

- Nie zaprzeczaj. Już kilka razy mówiłeś, że bardziej interesuję się filantropią niż zyskiem.

- Hm, wszyscy wiedzą, że kobiety są to bezradne, nieudolne istoty, o których los zatroszczyć się musi mężczyzna - powiedział Yves i chociaż uśmiech jego świadczył o tym, że nie podziela tej opinii, Rachel poczuła się zobowiązana do protestu.

- Dziękuję ci za troskę - rzekła sztywno. - Jednak zapewniam cię, że doskonale potrafię zadbać o siebie.

- Co udało mi się zauważyć. - Yves uśmiechał się. - Teraz widzę, że nie muszę pilnować, by ktoś się tobą zajął, zanim wyjadę do Ameryki.

- Do Ameryki? Nie wracasz do Francji?

- Nie. Kocham Francję, ale nie mogę tam dłużej mieszkać. - Słowa: „Za dużo mam bolesnych wspomnień”, zawisły w powietrzu między nimi i Rachel poczuła, że rana w jej sercu powiększa się, gdy myśli o tym, że niebawem ocean oddzieli ją od mężczyzny, który jej to serce odebrał.

- Co sprawiło, że wybrałeś Amerykę? - zapytała, usiłując się uśmiechnąć. - Kraina, w której główną zasadą jest równość wszystkich ludzi, to chyba nie najlepsze miejsce dla utytułowanego arystokraty?

- Ale ja nie jestem typowym utytułowanym arystokratą. Przyzwyczaiałem się do ciężkiej pracy i bezczynne życie byłoby dla mnie bezgranicznie nudne. Poza tym moja siostra i jej mąż osiedlili się w miejscu zwanym Wirginią, a siostra jest jedyną żyjącą przedstawicielką mojej rodziny.

- A więc musisz nauczyć się jak najwięcej o prowadzeniu przedsiębiorstwa, bo o ile wiem, Amerykanie

mają wielkie doświadczenia zarówno w hodowli owiec, jak uprawie bawełny - stwierdziła Rachel, siłąc się na dziarski ton, który w jej własnych uszach zabrzmiał sztucznie.

- Tak właśnie myślałem - Yves kiwnął głową.

- No więc masz doskonałą okazję. Na początek pomożesz mi poszukać gorszego surowca w tej serży. We dwójkę skończymy przed obiadem.

Chociaż Yves poważnie wątpił, czy kiedykolwiek zainwestuje swoje pieniądze w przedsiębiorstwo, posłusznie zdjął ze stosu dwa górne kupony tkaniny, żeby mogli zacząć pracę. Dawno temu uznał, że w głębi duszy jest rolnikiem i jak na razie nic z tego, co widział w przedsiębiorstwie Rachel, nie skłaniało go do zmiany zdania. Jednakże, udając zainteresowanie, miał wymówkę, by zostać w Yorkshire do czasu, gdy pojawi się tu Fairborne.

Popatrzył z ukosa na Rachel. Surowy wyraz jej twarzy świadczył o tym, że znowu stała się tą praktyczną osobą, którą poznał w Londynie. Uznał, że tak będzie lepiej. Z tą Rachel czuł się bezpiecznie. Ta druga, w której oczach świeciły gwiazdy, za bardzo dawała mu odczuć, że jest mężczyzną, a ona kobietą.

Dwie godziny intensywnej pracy pozwoliły Rachel stwierdzić, że w każdym kuponie serży ostatnio tkanej na krośnie numer cztery występują włókna wełny z Karlsborough. Pozostawało jej teraz tylko modlić się, aby sprawa ograniczała się do tego jednego krosna i zamówienia krawca z Yorku. Klient ten składał zamówienia na długo, zanim na-

prawdę potrzebował materiału, więc lekkie opóźnienie nie przyniesie mu poważnej szkody. Jeśli nie pojawią się inne problemy, Rachel da sobie radę tak samo jak przez poprzednie trzy lata.

Kłopoty jednak istniały. Rachel wątpiła, czy nawet Jacob zdaje sobie sprawę, jak bardzo naruszyła swój kapitał obrotowy budową nowych domków i podwyżką płac dla dorosłych pracowników. Choć wciąż polegała na nim całkowicie w sprawach produkcji, księgi finansowe przędzalni prowadziła samodzielnie.

Jacob czekał na nich w kantorku.

- Mam całkiem dobre nowiny - stwierdził. - Z tego, ile zostało wełny z Karlsborough w gręplarni, wnioskuję, że użyto jej tylko na krośnie numer cztery i nic nie poszło do klientów. Na wszelki jednak wypadek sprawdzę jeszcze raz, czy nic więcej nie zostało zgręplowane albo uprzedzone. Resztę zapakowano już i pójdzie jako dar dla Towarzystwa Tkaczy Chałupniczych w Hammersville. To by się nie stało, gdybym lepiej pilnował. - Na jego czole pojawiła się zmarszczka.

- Jeśli chcesz kogoś obwiniać, bądź przynajmniej sprawiedliwy - odparła Rachel. - Błąd wystąpił dlatego, że pozwoliłam rządzić memu sercu i kupiłam surowiec, wiedząc, iż jest niższej jakości... a potem pogorszyłam jeszcze sprawę, goniąc do Londynu i nie dopilnowując, żeby zabrano go z terenu przędzalni.

- A jeśli powiesz choć jedno słowo o nieudolności kobiet, które potrzebują mężczyzn, by się o nie

troszczyli - popatrzyła żałośnie na Yves'a - to odwołam moje zaproszenie i będziesz musiał poszukać sobie obiadu w zajeździe... Oznacza to los gorszy od śmierci, jeśli to, co mówią o tamtejszej kuchni, jest prawdą.

- Mój żołądek jest pusty, więc milczę - powiedział Yves, uśmiechając się. - Od rana cieszę się na myśl o duszonej baraninie, którą szykuje pani Partridge.

- A ty, Jacob? - zapytała Rachel. - Czy dasz się namówić?

- Chyba tak, panno Barton. - Jacob uśmiechnął się. - Duszona baranina to moja ulubiona potrawa.

Rachel nie wierzyła własnym uszom. Od śmierci żony często zapraszała go na posiłki. Z wyjątkiem piątkowych kolacji, kiedy to omawiali miniony tydzień pracy, zawsze uprzejmie odmawiał. Rachel miała tylko nadzieję, że przyczyną zmiany była rozwijająca się przyjaźń z Yvesem, a nie, jak twierdziła pani Partridge, zainteresowanie brzemienną pokojówką.

Gdy znaleźli się w Barton House, Rachel zaprowadziła obu mężczyzn do niewielkiego saloniku i poczęstowała kufelkiem lokalnego piwa. Potem przeprosiła, wyjaśniając, że musi powiadomić gospodynię, iż mają gości.

Yves nie cierpiał piwa, zwłaszcza ciemnego, gustował w brandy. Jednak grzeczność wymagała, aby albo wypić to paskudztwo, albo wylać je gdzieś dyskretnie. Na szczęście tego pięknego jesiennego dnia okno było szeroko otwarte. Teraz musiał tylko poczekać chwili, gdy Jacob odwróci swą uwagę.

Problem rozwiązał się sam kilka chwil później, gdy pojawiła się Mary Tucker i zaczęła nakrywać do obiadu długi dębowy stół. Jacob natychmiast zaczął śledzić wzrokiem każdy ruch ślicznej pokojówki, która z wdziękiem wykonywała swe zadanie.

Yves szybko wylał piwo w krzaki pod oknem i, z pustym kufelkiem w dłoni, powitał dziewczynę uśmiechem.

- Witaj, Mary Tucker. Twe lśniące oczy i rumiane policzki świadczą o tym, że czujesz się znacznie lepiej.

- O, tak, sir. - Mary dygnęła z wdziękiem. - Znacznie lepiej. Mój żołądek nie lubi jazdy kareta... nawet tak wspaniałą jak pańska. - Westchnęła. - To była długa i ciężka podróż. Ale gdy się już jest na miejscu... Ładnie tu.

- W istocie. Mnie także podoba się tu znacznie bardziej niż w Londynie.

Mary przeniosła wzrok na Jacoba Zimmermana i wykonała następny dyg.

- Dzień dobry panu, sir - powiedziała i zarumieniła się uroczo.

Od chwili, gdy weszli do saloniku, Jacob bez przerwy omawiał co ciekawsze aspekty przedsiębiorstwa, przerywając tylko po to, żeby jednym haustem wypić swoje piwo. Teraz nagle stał się niezdolny wypowiedzieć choć jedno słowo. Wyglądał trochę tak, jakby dostał czymś ciężkim po głowie, a na okularach pojawiła mu się mgiełka. Nadzorca przedsiębiorstwa był najwyraźniej w świecie porażony widokiem uroczej pokojóweczki z Londynu.

Yves ciekaw był, czy Rachel zdaje sobie sprawę

z rozwoju sytuacji, a jeśli tak, to co zamierza w tej sprawie uczynić. Sam, chociaż zdążył już polubić Jacoba, czuł się poniekąd odpowiedzialny za losy kobiety, którą wiozł przez całą Anglię, nawet jeśli należała do służby.

- Rachel ma bardzo ładną pokojówkę - powiedział niedbale, gdy dziewczyna poszła do kuchni.

- Rzeczywiście. - Jacob zamrugał powiekami, jakby budził się ze snu.

- I bardzo odważną - ciągnął Yves. - Podróż z Londynu musiała być bardzo ciężka dla kogoś w jej stanie, a ona ani razu się nie poskarżyła.

- W jej stanie?

- Rachel powiedziała mi, że wdowa jest w odmiennym stanie i że będziemy musieli często się zatrzymywać, jeśli znowu zrobi się jej niedobrze. Nie myliła się.

- A więc jest brzemienna? - zapytał Jacob, mrugając znowu powiekami, jakby ta możliwość nie mieściła mu się w głowie.

- Tak się wydaje. - Yves wiedział z doświadczenia, że wiadomość o stanie odmiennym kobiety zazwyczaj doskonale chłodziła męskie zapały, a oszołomienie malujące się na twarzy Jacoba powiedziało mu, że jego plan się powiódł.

Podniósł wzrok i ujrzał Rachel wchodzącą z uśmiechem do saloniku.

- Yves powiedział mi, że twoja pokojówka jest ciężarna - odezwał się Jacob, gdy podeszła bliżej.

Rachel rzuciła Yvesowi badawcze spojrzenie.

- To prawda. Chociaż nie rozumiem, co was, dwóch nieżonatych mężczyzn, może w tym interesować.

- To dlatego przywiozłaś ją tu, do Yorkshire. - Jacob przyglądał się jej badawczo.

Jak dla Yves'a, Rachel wahała się odrobinę za długo.

- Istotnie, dlatego. Każdy wie, jak trudno byłoby utrzymać się w Londynie młodej wdowie z dzieckiem.

Lekkie drżenie powiek powiedziało mu, że za tą sprawą kryje się coś więcej, jednak nie interesował się, co. Pokojówka i jej maleństwo będą bezpieczne pod skrzydłami Rachel.

- Rozumiem więc, panno Barton - rzekł Jacob, odchrząknawszy - że uważasz się za opiekunkę Mary Tucker, nie tylko za jej pracodawczynię.

- Nie myślałam o tym w ten sposób - odparła - ale chyba tak.

- A więc proszę o pozwolenie, bym mógł ją odwiedzić.

- Odwiedzać? Chcesz chodzić z wizytą do pokojówki? - Rachel patrzyła na Jacoba, jakby ten stracił rozum. - Po co?

- W takim razie powiem to inaczej. Pozwól mi ubiegać się o jej rękę. - Jacob zdjął okulary i wytarł je chusteczką. - Widzę po was, że uważacie mnie za szaleńca. Może istotnie nim jestem, bo ujrzałem Mary po raz pierwszy cztery godziny temu. Jednak gdy się do mnie tak nieśmiało uśmiechnęła, wiedziałem, że to jest kobieta, na którą czekałem. Gdyby udało mi się zdobyć jej względy, dziecko będzie tylko dodatkową korzyścią.

Yves ukrył swe zaskoczenie pod maską ironii. Nie raz spotkał się ze zjawiskiem „miłości od

pierwszego wejrzenia", ale nigdy nie pomyślałby, że dopadnie ona tak przyziemnego człowieka jak Jacob Zimmerman... a w dodatku jeszcze, że uczuciem obdarzona zostanie pokojówka.

- Pójdę pogawędzić z panią Partridge, a wy będziecie mogli porozmawiać spokojnie - zaproponował.

- Proszę nie odchodzić z mojego powodu. - Jacob zmarszczył brew. - Moje zainteresowanie wdową Tucker przestanie być sekretem, gdy zacznę oficjalnie starać się o jej rękę, oczywiście za zgodą panny Barton.

Rachel zarumieniła się z zażenowania.

- Doprawdy nie wiem, co powiedzieć. Moje demokratyczne ciągoty były krytykowane przez wszystkich właścicieli przędzalni w Yorkshire i nie bez powodu. Ale nawet ja zastanawiam się, czy byłoby właściwe, aby mój nadzorca starał się o rękę jednej z moich panien służących.

- Bardziej właściwe niż panienka myśli - odparł Jacob, poważniejąc. - Wszyscy wiedzą, że mój ojciec pracował jako tkacz, a moja matka była córką pasterza, który spędził całe życie, pilnując owiec, ale nigdy nie miał nawet własnego jagnięcia. Wyniosłem się ponad ten skromny stan, ucząc się samemu czytać i pisać, oraz słuchając i naśladowując, jak mówią tak zwani lepsi ode mnie.

- To godne podziwu osiągnięcie, Jacob, za które darzę cię szczerym szacunkiem - powiedziała Rachel, a Yves widział, że była równie zdziwiona wyznaniem swego nadzorcy, jak i on.

- Ale jednak udało ci się i teraz stoisz o wiele wy-

żej niż sługa - ciągnęła - i staniesz się obiektem najgorszych plotek, jeśli poślubisz pokojówkę, a do tego w stanie odmiennym.

- Jeśli sugerujesz, że stanę się wyrzutkiem społecznym w oczach okolicznej szlachty, to wiedz, że przetrwam to bez większej szkody dla własnego samopoczucia.

- Jednak twoja pierwsza żona była córką jednego z tych szlachciców.

- I w ciągu czterech lat małżeństwa ani przez chwilę nie dała mi zapomnieć, że popełniła mezalians, wychodząc za mnie - odparł z goryczą Jacob. - Jestem dumny z tego, co osiągnąłem, ale nie wstydzę się moich rodziców. Kiedy znajdę sobie drugą żonę, będzie to kobieta, która zechce być dla nich córką i potraktuje ich z szacunkiem, na jaki zasługują. Należy jednak brać pod uwagę nie tylko moje uczucia. Czy proponowany przeze mnie mezalians może stać się kłopotliwy dla ciebie jako mojej pracodawczyni? - Wzrok Jacoba wyrażał zmieszanie.

- Ależ nie. - Rachel zawahała się tylko na krótką chwilę. - No dobrze, jeśli tego właśnie chcesz, porozmawiam o tobie z Mary. Jest uroczą, odważną młodą kobietą, która, znalazłszy właściwego mężczyznę, będzie potrafiła go uszczęśliwić... a ja z radością przyczynię się do poprawy jej położenia.

- Dziękuję, panno Barton. Winien jestem ci dozgonną wdzięczność. - Jacob uśmiechnął się. - A teraz, bardzo przepraszam, ale straciłem cały apetyt. Wrócę do przedzalni i upewnię się, czy wykryliśmy

wszystkie miejsca, gdzie może być ten wadliwy surowiec.

Skinawszy głową Yvesowi, ruszył do wyjścia, ale znalazłszy się w drzwiach, jeszcze raz zwrócił się do Rachel:

- Porozmawia panienska z nią jeszcze dzisiaj, pan-no Barton?

- Dobrze. - Rachel kiwnęła głową.

Jacob zniknął w hallu, a po chwili Yves usłyszał, jak zamykają się za nim drzwi wejściowe.

- Nie do wiary - stwierdziła Rachel przyciszonym głosem.

- Istotnie. - Yves z niesmakiem potrząsnął głową. - Co dowodzi jedynie, że nigdy niczego nie można być pewnym. Do dzisiaj przysiągłbym, że nic mnie w życiu nie może już zaskoczyć.

Po posiłku Yves oddalił się do zajazdu, obiecując jednakże, iż wróci wieczorem na kolację. Rachel chętnie uwierzyłaby, że to jej towarzystwo przyciąga go do Barton House, ale miała poważne przypuszczenia, że magnes stanowią doskonałe potrawy przygotowywane przez panią Partridge.

Mimo to rozstała się z nim z uśmiechem, a potem poszła szukać Mary, żeby spełnić obietnicę daną Jacobowi. Znalazła dziewczynę w kuchni, czyszczącą srebrny dzbanek do herbaty i radośnie chociaż nieco fałszywie nucącą jakąś melodię. Pani Partridge nie było w zasięgu wzroku.

Rachel przysunęła sobie krzesło i usiadła.

- No i jak, Mary? Jak mija ci pierwszy dzień w Barton House?

- Cudownie, panienko. Na początku obawiałam się, że pani Partridge mnie nie lubi, ale to się zmieniło, kiedy powiedziałam jej o dziecku i od tej pory jest dla mnie bardzo dobra. Ale nie powiedziałam jej wszystkiego. - Na policzki Mary wypłynął rumieniec. - Wstydzę się, że pozwoliłam jej sądzić, iż jestem wdową.

- Nie powinnaś. Mężczyzna, który jest ojcem twojego dziecka, zniknął z twojego życia na zawsze. Teraz postaraj się stać taką matką, z której twoje dziecko mogłoby być dumne.

- Będzie tak, panienko, dzięki tobie. Dziś rano poczułam się tak, jakbym narodziła się na nowo, i to jest wspaniałe.

Rachel zastanawiała się, jak ma dyplomatycznie poruszyć temat Jacoba Zimmermana, i wreszcie uznała, że najlepiej będzie postawić sprawę jasno. Obchodzenie tematu dookoła nie sprawi, że prośba zarządcy stanie się mniej dziwaczna.

Wzięła głęboki wdech.

- Pani Partridge powiedziała mi, że dziś rano poznałaś nadzorcę przędzalni.

- O, tak - powiedziała Mary i natychmiast jej policzki stały się jaskraworóżowe.

- I co o nim myślisz?

- Proszę?

- Czy podoba ci się... albo czy przynajmniej mogłabyś go polubić, gdybyś go lepiej poznała?

- Nie mnie o tym sądzić, panienko. - Mary zrobiła wielkie oczy. - On jest, kim jest, a ja jestem służącą.

- Chyba masz rację - zgodziła się Rachel i zauwa-

zając czujne spojrzenie Mary, dodała szybko: - Jednak mam powody, aby cię o to pytać. Jacob być może ci o tym nie mówił, ale...

- Nie powiedział ani słowa - przerwała jej Mary. - Tylko tak dziwnie na mnie patrzył. Ale skoro panienka mnie pyta, poczułam się... - Zadrżała. - No wie panienka.

Niestety, Rachel nie miała pojęcia, o co dziewczynie chodzi. Brakowało jej stosownego doświadczenia. Owszem, pamiętała, jak ścierpła jej skóra, kiedy Edgar pożerał ją chciwym spojrzeniem ostatniego dnia jej pobytu w Londynie, i co wyczyniało jej serce, ilekroć patrzył na nią Yves. Nie miała jednak pojęcia, które z tych wrażeń wywarł na Mary wzrok Jacoba, a może też było to coś pośredniego.

- Jacob uważa, że jesteś bardzo ładną dziewczyną - powiedziała niezręcznie.

- Wiem. - Mary potrząsnęła dumnie głową. - Nie jest pierwszym mężczyzną, który patrzy na mnie w ten sposób. Ale ja nie zwracałam na niego uwagi. Właśnie przez coś takiego jestem teraz w kłopotcie.

- Jacob w niczym nie przypomina tego hultaja z Londynu; jest uczciwym człowiekiem. Pytał mnie, czy pozwalam, aby cię odwiedzał.

- A po co? - Mary zmarszczyła brwi.

- Ma nadzieję, że jeśli się lepiej poznacie... to znaczy, jeśli wasze towarzystwo będzie sprawiało wam przyjemność... - Rachel dostrzegła, że Mary nie rozumie, o co jej chodzi, i w desperacji rzuciła: - Na miłość boską, on chce cię poślubić.

Mary upuściła szmatkę do polerowania, a za nią na ziemię poleciał z łoskotem srebrny dzbanek.

- Chyba stracił rozum. Tacy jak on nie poślubiają pokojówek.

- Istotnie, nie jest to przyjęte. Jacob jednak jest niezwykłym człowiekiem.

- Ma nie po kolei pod sufitem i tyle, panienko. Na pani miejscu zastanowiłabym się dwa razy, zanim powierzyłabym przedziałnię takiej baraniej głowie. - Westchnęła. - Ale chętnie zobaczyłabym twarz tego mojego, gdyby się dowiedział, że prawdziwy dżentelmen poprosił mnie o rękę.

- Jacob stał się dżentelmenem dzięki swojej pracy, nie z urodzenia, i dlatego potrzebna mu niezwykła żona - wyjaśniła Rachel. - Ale ma poważne zamiary wobec ciebie i twojego dziecka. Nie oceniaj go więc pośpiesznie. Wątpię, czy znajdziesz innego mężczyznę, który zechce poślubić wdowę z dzieckiem.

- W tym cały problem, panienko. Nie jestem przecież prawdziwą wdową. Jestem pokojówką, która dała się wziąć na lep słodkich słówek lokaja. Jeśli ten panienki Jacob jest takim dobrym człowiekiem, to zasługuje na coś lepszego niż głupia dziewczyna i jej bękart.

Rachel sięgnęła przez stół i przykryła dłonią rękę Mary.

- Pozwól mu o tym samemu zadecydować. Proponuję, żebyś jednak pozwoliła mu się odwiedzać. Jeśli polubisz go na tyle, że zapragniesz go poślubić, powiesz mu prawdę.

- Czy muszę, panienko? - Błękitne oczy Mary wypełniły się łzami. - Czy będzie się panienka na mnie gniewała, jeśli nie powiem?

Rachel potrząsnęła głową.

- Oczywiście, że nie. Nie musisz mówić mu nic, czego byś nie chciała.

- W takim razie byłabym bardzo wdzięczna, gdyby panienka powiedziała panu Zimmermanowi, że nie jestem mu rada.

- Niech i tak będzie, ale znając Jacoba, wiem, że będzie chciał wiedzieć, dlaczego - odparła łagodnie Rachel.

- Uczynił mi zaszczyt swoją propozycją. Ale ja nie chcę nikogo... nie tak od razu...

Otarła łzę spływającą po jej pulchnym policzku.

- Do szczęścia wystarczy mi, że znalazłam się tu, w Barton House, z panienką i panią Partridge. Może kiedyś, kiedyś zechcę wyjść za męża, ale będzie to ktoś zwykły: ogrodnik albo koniuszy. Nie czułabym się dobrze, pędząc życie w towarzystwie kogoś o tyle wyżej ode mnie postawionego, że musiałabym dygać, ilekroć pojawiłby się na widoku.

Wróciwszy do zajazdu, Yves udał się prosto do baru i, jak przypuszczał, znalazł tam Philippe'a zagadującego córkę oberżysty. Na jego widok jednakże elegancki markiz natychmiast ujął hoże dziewczęcę pod pulchny podbródek i przeprosił, obiecując, że zobaczą się wkrótce.

- Wyglądasz, jakbyś miał problemy - powiedział w swoim ojcystym języku, idąc za Yvesem na górę do jego pokoju. - Jak poszło zwiedzanie przędzalni?

- Bardzo dobrze - odparł Yves w tym samym języku.

- Ale coś jest nie w porządku. Czy pokłóciłeś się z panną Barton?

- Ależ skąd. - Yves był tak wdzięczny Philippe'owi, że najwyraźniej nie czuje urazy o wczorajszy niemiły incydent, że nawet nie zwracał uwagi na jego gadatliwość. Mimo różnic byli sobie bliscy jak bracia i jak bracia potrafili wybaczyć i zapomnieć nawet najgorsze kłótnie.

- A więc powiedz mi, co stanowi przedmiot twojej troski. - Philippe jak zwykle rozsiadł się na jedynym fotelu w pokoju.

- A niechże to, nawet nie mam ochoty o tym mówić... nawet tobie.

Philippe tylko wyciągnął przed siebie nogi, skrzyżował je w kostkach i czekał.

- No dobrze. Spotkałem dziś niezwykłego człowieka... kogoś, kto swoją pozycję zawdzięcza samemu sobie. Niewielu takich ludzi udało mi się poznać w ciągu trzydziestu dwóch lat mojego życia. Byłem świadkiem, jak próbował, pomimo beznadziejności sytuacji, sięgnąć po coś, co uważał za szansę na szczęście. Wtedy zdałem sobie sprawę, jak puste jest moje własne życie. - Odchrząknął. - Skłoniło to mnie do przemyślenia naszej wczorajszej, dosyć gorącej dyskusji. Muszę stwierdzić, że w tym, co powiedziałaś, może tkwić ziarno prawdy.

- W tym, co mówię, jest zawsze prawda, chyba że staram się zyskać względy jakiejś pięknej kobiety - stwierdził Philippe. - A która to prawda wywołała tę zmarszczkę na twoim czole?

- Powiedziałaś, że ja i Rachel jesteśmy dla siebie

stworzeni. - Yves usiadł na łóżku i spojrzał Philippe'owi prosto w oczy.

- Bo tak jest, tylko musisz się do tego sam przed sobą przyznać.

- Wyznaję, że ją podziwiam. Każdy rozumny człowiek musi tak uczynić, biorąc pod uwagę to, co zdołała osiągnąć w swym krótkim życiu. I lubię jej towarzystwo. Przyjemnie mi z nią szukać rozwiązania kłopotu w przedzalni, kłócić się o książkę, którą oboje czytaliśmy, jeść razem kolację. Łapię się na tym, że myślę, jak by jej sprawić przyjemność, bo dzięki niej czuję się szczęśliwszy.

- A więc nie rozumiem, w czym leży problem. - Philippe strzepnął jakiś pyłek z rękawa surduta. - Chyba że po prostu nie czujesz pożądania do kobiety, którą tak podziwiasz.

- To jest najbardziej niezrozumiałe. Ostatnio, ilekroć znajdę się obok niej, mam nieprzepartą chęć, by wziąć ją w ramiona. Ogarnia mnie wtedy czułość, nie tylko namiętność, a wszystko to stało się tak niepostrzeżenie. Gdzie te uderzenia pioruna, które czułem wcześniej? Gdzie błyskawice? Jeśli to miłość, to w niczym nie przypomina tego, czego doznawałem z Amalią.

- A czemu miałyby być tak samo? - Philippe bębnił palcami o drewniane oparcie fotela. - Byłem zakochany wielokrotnie i za każdym razem jest zupełnie inaczej. Jak już powiedziałem, nie rozumiem, w czym leży problem. Pragniesz jej, a ona najwyraźniej jest ci wzajemna. Weź ją i skończ z tym wreszcie.

- Ile razy mam ci powtarzać, że Rachel nie nale-

ży do kobiet, z którymi można przeżyć przelotny romans?

- A więc ożeń się z nią. Zapomnij o Ameryce. Osiądź w tej dolinie i daj jej tuzin ślicznych, ciemnowłosych maleństw. Mówiłeś, że chcesz uczynić ją szczęśliwą. To jest właściwy sposób.

- Brzmi to tak, jakbym ja był ogierem, którego jedynym zadaniem jest pokryć klacz. - Yves zacisnął zęby. - Ale uczciwie mówiąc, co oprócz tego mógłbym robić w Yorkshire?

- W tym nie mogę ci pomóc, *mon ami*. Najzupełniej nie pojmuję, jakie zajęcie, wyszedłszy z łoża, mógłby znaleźć mężczyzna z naszej sfery w tym zapomnianym przez Boga miejscu. Ale skoro twierdzisz, że chciałbyś zająć się interesami, mam wrażenie, że mademoiselle Barton byłaby dla ciebie idealną żoną. Mówiono mi, że zgodnie z prawem angielskim po ślubie wszelkie pieniądze i majątek nieruchomy kobiety stają się własnością jej męża. Domniemywam, że obowiązuje to także wtedy, gdy mąż jest cudzoziemcem. Jeśli tak, miałbyś kobietę, której pragniesz, a także wszedłbyś do świata interesów.

- Nigdy nie skorzystałbym z tego prawa. Przędzalnia należy do Rachel. Drogo i na wiele sposobów, których nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, za nią zapłaciła. Ja zaś musiałbym uczyć się całe życie, aby jej dorównać.

- Obawiam się, że lata, które spędziłeś jako syn farmera, zmaściły ci umysł. - Philippe zmarszczył brwi. - Żaden szanujący się arystokrata nie zrezygnowałby z okazji powiększenia swej fortuny.

- Ależ ja nie potrzebuję majątku. Mam swój. Problem polega na tym, że Rachel utworzyła tu swoje królestwo, w którym rządzi żelazną ręką i miękkim sercem... a ja nie nadaję się na księcia małżonka. Pogardzałbym sobą, a później zacząłbym pogardzać kobietą, dla której stałbym się kimś takim.

- A zatem obawiam się, przyjacielu, że twój problem jest nie do rozwiązania. - Philippe ziewnął. - Co tam, jak tylko znajdziesz się w Ameryce, zapomnisz o tej pannie z prowincji. Słyszałem, że jest tam pełno nie uprawionej ziemi i gorących kobiet. Będziesz tam sobie gospodarzył do syta i płodził małych, dziarskich Amerykanów. Gdyby nie to, że nienawidzę wiejskiego życia, puściłbym się z tobą na tę awanturę.

Yves tak się zamyślił, że tylko jednym uchem słuchał przemowy Philippe. Ale jedno zdanie przeniknęło do jego świadomości i obudziło jego czujność.

- Co ty powiedziałeś? - zapytał.

- Powiedziałem, że gdybym nie nienawidził...

- Nie, nie to. Coś o nieuprawionej ziemi.

- Powiedziałem, że możesz sobie gospodarować do syta w Ameryce.

- Ale przecież mógłbym także robić to samo tutaj, w Yorkshire? - Yves zadał to pytanie bardziej samemu sobie niż Philippe. - Rachel ma wielki kawał nieuprawnej ziemi, o wiele więcej, niż jej potrzeba na wypas owiec. Pamiętam, że sam mówiłem, jakie to marnotrawstwo.

Poderwał się na równe nogi i zaczął chodzić po ciasnym pokoju z rękami założonymi na plecach.

- Rachel jest bardzo bogatą kobietą, ale równo-

czesnie brak jej gotowizny, skoro musiała odłożyć budowę szkoły i skrócenie godzin pracy w przędzalni. Krótko mówiąc: ona ma ziemię, a ja mam potrzebne jej fundusze.

- A więc mamy do czynienia ze związkiem pobłogosławionym przez niebiosa. - Philippe popatrzył na Yves'a z rozanielonym uśmiechem.

Yves zauważył jego ironię, ale zdecydował się ją zignorować.

- Jestem pewien, że ziemia nadaje się do uprawy. Trawa wygląda na bardzo bujną. Proponuję, żebyśmy przejechali się przez łąki, żebym mógł się im lepiej przyjrzeć. Jeśli gleba jest taka żyzna, jak mi się wydaje... - Urwał. - Co ja opowiadam? Muszę najpierw załatwić zaległości.

- A jeśli nigdy nie znajdziesz dowodów wystarczających, żeby wysłać tego hultaja do kolonii?

- Wtedy, bez względu na obietnicę, jaką dałem Castlereaghowi, zakończę sprawę po swoim.

- I będziesz musiał uciekać z Anglii, żeby uniknąć szubienicy. - Philippe skrzywił się z niesmakiem. - Bardzo sprytnie, drogi przyjacielu. A wtedy nikczemny hrabia po raz drugi zrujnuje twoje życie.

- A co ty proponujesz? Zapomnieć o zemście za Amalię?

- Może powinieneś zadowolić się myślą, że pošubiając pannę z Yorkshire, osiągniesz dwie rzeczy. - Philippe wyprostował się w fotelu. - Zapewnisz sobie szczęśliwą przyszłość i uniemożliwisz Fairborne'owi ratunek. Wątpię, żeby miał czas na zdobycie następnej majątnej panny w porę, by uchronić się przed wierzycielami. To wystarczy,

przyjacielu. - Popatrzył na Yves'a przez zmrużone powieki. - Moja siostra oddała życie, by cię uratować. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że jej poświęcenie byłoby daremne, gdybyś marnował te bezcenne lata, które ci podarowała, na bezowocne poszukiwanie zemsty?

Yves zdziwił, a zarazem zachwycił Rachel swoim pragnieniem obejrzenia łąk, na których pały się jej owce. Oczekiwała raczej, że oznajmi jej, iż zwiędziwszy przędzalnię, wraca do Londynu. Teraz mogła mieć nadzieję, że spędzi w jego towarzystwie jeszcze jeden dzień, a nie znała przyjemniejszego sposobu na spędzenie słonecznego jesiennego poranka niż przejażdżka po okolicy jej zaprzężonym w kucyka wózkiem w towarzystwie ukochanego mężczyzny.

Wyruszyli z Barton House tuż po dziesiątej. Powoził Yves, a koc i kosz piknikowy przygotowane przez panią Partridge ulokowano pod siedzeniem wózka. Mijając przędzalnię, ujrzeli w drzwiach kantorku Jacoba, który patrzył na nich ze smutnym wyrazem na swej szczupłej, pooranej twarzy.

- Zgaduję, że zaloty nie idą gładko naszemu przyjacielowi - powiedział Yves, oddając krótki ukłon nadzorczy przędzalni.

- Robiłam co mogłam, żeby przekonać Mary, aby pozwoliła mu się odwiedzać. - Rachel westchnęła.
- Ale ona nie chce. Powiedziała, że nie czułaby się dobrze w towarzystwie człowieka postawionego od niej o tyle wyżej.

- Ta dziewczyna ma rozum ponad swoje lata. Bardzo żałuję, że ja w jej wieku nie byłem taki mądry. - Wygłaszając to enigmatyczne stwierdzenie, Yves potrząsnął lejcami, aby nakłonić kuczka do przejścia w kłus, a Rachel mogła się tylko zastanawiać, co też jej przyjaciel chciał przez to powiedzieć.

Zawinęła się ciasniej w swój śliczny, jedwabny szal i pożałowała, że w wyborze stroju bardziej kierowała się próżnością niż rozsądkiem. Chociaż słońce świeciło jasno, wiał chłodny wiaterek, a liście buków i klonów zaczynały się barwić kolorami jesieni.

W zgodnym milczeniu przejechali obok ceglano-budynku przędzalni, rzędu szop na wełnę, aż znaleźli się w wąskiej alei, która kierowała się w stronę północnej części doliny. O jedenastej godzinie przędzalnia i Barton House zostały daleko za nimi, zaś obok nich pojawiło się pierwsze wielkie stado owiec pasących się na rozległej łące.

- To jest rasa Teeswater - powiedziała Rachel, machając do młodego pasterza, który zajmował się stadem. - Za jakąś milę albo dwie zobaczymy rasy Shetland, Leicester i Suffolk, a jeszcze dalej stado moich najlepszych owiec: rasa Wensleydale.

- Wyglądają dorodnie i zdrowo - zauważył Yves, gdy minawszy kolejne cztery stada zatrzymali się, by dać odpocząć kucykowi. - Ale o owcach nie mam najmniejszego pojęcia. Monsieur Durand nie hodował ich, chociaż madame Durand była tkaczką.

- To tylko kilka z moich stad - oznajmiła Rachel. - Potrzebuję dużo wełny dla przędzalni i staram się

większość z niej produkować sama. W ten sposób mam lepszą kontrolę nad jej jakością. - Poczowała, że się rumieni na myśl o tym, że Yves był świadkiem sytuacji, kiedy na jaw wyszło zaniedbanie.

- To zadziwiające, że patrząc z daleka, potrafisz odróżnić jedną rasę od drugiej - powiedział. - Dla mnie wszystkie wyglądają tak samo.

- Miałam dobrego nauczyciela, od którego dowiedziałam się, że każda rasa ma charakterystyczną jakość i strukturę wełny.

- Domyślam się, że wszystkie owce w tej części doliny należą do ciebie. - Yves zmarszczył brwi.

- Tak - Rachel kiwnęła głową. - A także bydło, które widać tam, w oddali. Nie jem bez przerwy baraniny. Kurczak i wieprzowina, które pani Partridge podała wczoraj na kolację, pochodzą z jednej z małych farm na południe od wsi. Nie mam ochoty hodować świń ani kur.

- Ale cała północna część doliny należy do ciebie?

- Tak daleko jak okiem sięgnąć - powiedziała Rachel, zastanawiając się, czemu Yves tak o to wypytuje. - Mój dziadek zaczął kupować ziemię wkrótce po tym, jak osiedlił się w Yorkshire. Kiedy umarł, posiadał ponad połowę doliny. Jestem pewna, że kupiłby i drugą, gdyby zdołał namówić właścicieli do sprzedaży.

- A kim oni byli? - Yves uniósł brew.

- Kilkudziesięciu farmerów mających nieduże gospodarstwa i kilkoro szlachty dzierżawiących ziemię chłopom, a wszyscy równie fanatycznie przywiązani do swojej ziemi jak ja do mojej.

- Aha. - Przez następną godzinę posuwali się dalej wolnym kłusem. Gdy znaleźli się na szczycie łagodnego wzniesienia, Yves zatrzymał wózek i zapatrzył się na ogromną pustą łąkę, wyobrażając sobie, jak wyglądałaby wiosna, obsiana pszenicą, jęczmieniem albo kukurydzą: plony sprzedawałby właścicielom spichlerzy w Yorku i Londynie.

Rachel przyglądała się z niepokojem jego profilowi.

- Wyglądasz, jakbyś myślał o czymś, co znajduje się tysiące mil stąd. Na przykład o Ameryce.

- Nie dotarłem dalej niż do Londynu. - Yves uśmiechnął się. - Myślałem o naszym pierwszym spotkaniu w bibliotece hrabiego Fairborne. Jestem przekonany, że było nam to przeznaczone, *cherie*. My, Francuzi, wierzymy w przeznaczenie.

Jeśli miało to być nam pisane, to chyba na moje nieszczęście, pomyślała Rachel, podziwiając, jak *słońce* połyskuje na czarnych, gęstych włosach Yves'a. Czy los mógłby uczynić coś bardziej okrutnego, niż postawić na drodze brzydkiej jak noc dziewczyny z prowincji najpiękniejszego na ziemi mężczyznę?

- Cóż, ja nie jestem Francuzką... - Rachel dumnie potrząsnęła głową. - Przyznaję, że spotkanie z tobą stanowi niezwykle wydarzenie w moim życiu, ale sądzić, że wdało się w to „przeznaczenie”, to gruba przesada.

- Doprawdy? W takim razie trzeba coś z tym zrobić. - Yves zawiązał lejce i ku jej zdziwieniu zszedł z wózka, okrążył go i pomógł jej wysiąść.

- O co ci chodzi? - zapytała, czując obejmujące ją ramiona.

- Sprawię, że uwierzysz, panno sceptyczko - odparł, muskając wargami jej usta w krótkim, ale czułym pocałunku, który wywołał znajome łaskotanie w jej żołądku.

Zadrzała w jego ramionach, a on rzucił jej wymowne spojrzenie, które wywołało rumieniec na jej policzkach.

- A teraz powiedz mi, że nie wierzysz w przeznaczenie, *cherie*.

Rachel usiłowała się opanować. Spojrzała mężczyźnie badawczo w twarz. Zmysłowe usta, które spotkały przed chwilą jej wargi, uśmiechały się triumfalnie. Najwyraźniej była to jakaś męsko-damska gra, a ona jest zbyt naiwna, by ją pojąć.

- Daremnie byłoby zaprzeczać, że twoje pocałunki wywołują we mnie uczucia, których nigdy dotąd nie doznałam - powiedziała ze spokojną godnością.

- Ale nie pojmuję, co ma to wspólnego z przeznaczeniem.

- Na litość boską, Rachel. - Yves zachichotał. - Angielskie stare panny nie powinny ujawniać światu, że zdolne są odczuwać pożądanie.

- Nie powiedziałam, że cię pożądam - zachnęła się.

- Nie musiałaś mi tego mówić. Jesteś zbyt szczerą, by ukryć swe uczucia, a ja już przyznałem, że pragnę ciebie. Jeśli to nie przeznaczenie, to przynajmniej szczęśliwy zbieg okoliczności.

Rachel poczuła, że jego przekorne słowa, a być może fakt, iż nie mogła zaprzeczyć zawartej w nich prawdzie, wywołały na jej policzkach gorący rumieniec. Nigdy jeszcze Yves nie był w takim swobod-

nym nastroju jak dziś. Jednak wyczuwała, że pod maską rozbawienia ukrywa powagę i niepokój. Przyglądała się, jak mruży oczy, patrząc pod słońce na pola, i zastanawiała się, o czym teraz myśli.

Tymczasem Yves nie myślał o niczym, ogarnięty falą uczuć. Od czasu wyjazdu z Normandii po raz pierwszy cieszył go śpiew ptaków i widok bujnych łąk i lśniących strumieni. Nie miał też od dawna okazji oddychać tak cudownie świeżym i wolnym od dymu i smogu powietrzem.

Wziął głęboki oddech i sam przed sobą przyznał, że dawno już nie czuł takiego zadowolenia i zgody ze wszystkim, co go otaczało. Jeśli jego zmęczona dusza mogła znaleźć tu odnowę, oznacza to, że tutaj i u boku tej kobiety, która stała się już częścią jego życia, powinien spędzić resztę swych dni.

Śnił o niej zeszłej nocy... był to czysto erotyczny sen, po którym rano pozostały mu tylko wspomnienia ogrzewające jego samotne łóżko. Ułamki snu wciąż go otaczały niczym dym na wietrze. Był tam jakiś pocałunek, o wiele bardziej namiętny niż ten, który ich przed chwilą połączył, i inne, bardziej intymne czynności, za które mógłby dostać mocny policzek, gdyby wydarzyły się na jawie.

Wszystko to było oczywiście wytworem jego wyobraźni. Jednak czuł jak na jawie zapach, smak i smukłe ciało Rachel. Nawet teraz dręczyły go żądze, które obudził w nim sen o tej dziewczynie.

Taki stan umysłu jest niebezpieczny dla mężczyzny, który zbyt długo żyje bez miłości, ale jeszcze groźniejszy dla osoby, której przyszłość zależy od tego, co i jak powie w ciągu najbliższych kilku minut.

Dlaczego, na litość boską, uległ pokusie, żeby ją pocałować? Nie pora teraz tracić panowanie nad sobą. Rachel jest wszak osobą niezmiernie praktyczną. A zatem omawianie ich wspólnej przyszłości należałoby zacząć od spraw praktycznych. Mimo że na pocałunki odpowiadała z namiętnością, w sprawach ciała była wciąż niewinna.

- Co powiesz na spacer po łące? - zapytał, sprawdzwszy uprzednio, że założyła solidne trzewiki.

- Bardzo chętnie i możemy rozłożyć nasz piknik pod tamtym dębem - powiedziała, wskazując stare, pokręcone przez wiatr drzewo rosnące na odległym pagórku.

- Czy kucyk ucieknie, jeśli go tu zostawimy? - Zapytał Yves, sięgając po kosz i koc.

Rachel podrapała zwierzę za uchem i uśmiechnęła się, gdy w odpowiedzi zarżało z zadowoleniem.

- Wątpię, żeby Toby zechciał gdziekolwiek się ruszyć, ale wyprzążmy go z wózka i puśćmy na łąkę. Jest bardzo łakomy. Jeśli pozwolimy mu się tutaj paść, nie oddali się z miejsca.

Po chwili, gdy kucyk zajął się już soczystą, zieloną trawą, ruszyli przed siebie. Rachel niosła koc. Yves w jednej ręce trzymał kosz, a ponieważ ziemia była miękka, a trawa śliska po niedawnym deszczu, drugą ręką ujął dłoń dziewczyny. Poczowała dreszcz przyjemności, gdy ich palce złączyły się i ku jej upokorzeniu ten niedobry człowiek posłał jej uśmiech, świadczący o tym, iż wie doskonale, jaki wpływ ma na nią jego dotyk.

Dwukrotnie zdarzyło się, iż odstawiał kosz, przysiadł i wrywał kępę trawy. Za każdym razem

otrząsał ziemię z korzeni tak samo jak Rachel, gdy wyrwała chwasty z grządek w swoim ogrodzie. Dziewczyna przyglądała się Yvesowi, nie mając pojęcia, o co tu chodzi.

- Czarna, żyzna gleba, dużo dżdżownic - stwierdził z dziwnym zadowoleniem, kiedy wykonał swój dziwny rytuał po raz trzeci, tym razem u stóp pagórka. - To byłaby doskonała ziemia pod uprawę.

- Tak mi też mówiono - odparła Rachel, gdy wspięli się po łagodnym zboczu i rozłożyli koc u stóp drzewa. - Kilku farmerów z doliny prosiło mnie, żebym wydzierżawiła im na ten cel trochę gruntu, ale zawsze im odmawiałam. Ta ziemia należy do rodziny Bartonów od trzech pokoleń, a ja nie mam zaufania do obcych.

Yves otworzył kosz i zaczął wyjmować starannie zapakowane potrawy i rozkładać je po środku koca.

- Rozumiem cię. Ale czy zaufałybyś przyjacielowi?

- Mam tylko dwóch przyjaciół, do których mam zaufanie. - Rachel wzruszyła ramionami. - Wątpię, żeby Jacob potrafił odróżnić, którym końcem pługą się orze, a ty... - przełknęła ślinę. - Ty zamierzasz otworzyć przedsiębiorstwo w Ameryce.

Yves podniósł wzrok znad koca, a jego oczy przybrały wyraz, jakiego nigdy przedtem nie widziała.

- Może wprowadziłem cię w błąd w tej kwestii - powiedział łagodnie. - Bo chociaż bardzo podobało mi się zwiedzanie przedsiębiorstwa, wcale nie mam ochoty posiadać czegoś takiego.

- Ludzie utytułowani zazwyczaj nie parają się interesami. - Rachel nie była zdziwiona.

- Mój tytuł nie ma tu nic do rzeczy. Im dłużej żyję, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że chociaż urodziłem się arystokratą, w głębi serca jestem rolnikiem. Wiem, że to ryzykowne zajęcie, bo jest mnóstwo klęsk, jakie mogą się przydarzyć, zanim nadejdą zbiory, ale gdy coś posieję i to rośnie... czuję w duszy zadowolenie.

- A więc w Ameryce będziesz bardzo szczęśliwy - powiedziała Rachel, chociaż, mówiąc te słowa, poczuła fizyczny ból. - Z tego, co wiem, jest to kraina farmerów.

- Pewnie bym tak zrobił, gdyby los nie rzucił mnie do Yorkshire - odparł Yves, patrząc na Rachel przez zmrużone powieki. - Zmieniłem zdanie i nie zamierzam już wyjeżdżać do Ameryki.

- Nie?

- Nie, i muszę ci także wyznać, że miałem dodatkowe powody, dla których chciałem obejrzeć twoje ziemie.

Zrozumiawszy, co chce jej powiedzieć, Rachel poczuła, że miękną jej kolana, więc usiadła szybko na brzegu koca.

- J-jakie powody?

- Mówiąc krótko, masz więcej ziemi niż ci potrzeba, ale brak ci pieniędzy na budowę szkoły i realizację innych planów. Ja mam więcej pieniędzy, niż mógłbym kiedykolwiek wydać, ale nie mam ziemi. Myślę, że w takiej sytuacji możemy dojść do porozumienia.

Serce Rachel zaczęło bić jak szalone.

- Czy oznacza to, że zamierzasz osiedlić się w Yorkshire?

- Przyszło mi coś takiego do głowy. - Yves uśmiechnął się. - Ale ostateczna decyzja zależy w tej chwili od ciebie.

- Bo chcesz kupić ode mnie ziemię, żeby móc ją uprawiać?

- Nie. Nie myślałem o bezpośredniej sprzedaży. Raczej o czymś w rodzaju spółki.

- Chcesz robić ze mną interesy? - Rachel otworzyła usta ze zdumienia. - Niczego bardziej nie pragnę, jak żebyś został w Yorkshire - powiedziała, gdy wreszcie odzyskała głos. - Ale muszę ci powiedzieć, że spółka pomiędzy niezonatym mężczyzną a niezamężną kobietą byłaby czymś wysoce niewłaściwym. Nie wiem nawet, czy byłoby to zgodne z prawem.

- Ależ oczywiście. Każdego dnia w Anglii zawieranych jest wiele takich spółek. Dzieje się tak również we Francji. Przypuszczam, że kościół anglikański sprzyja związkom małżeńskim równie silnie jak kościół katolicki.

- M-małżeńskim? - Rachel poczuła nagle niezwykłą lekkość. W uszach jej szumiało. Mimo to wiedziała, że dobrze zrozumiała słowa Yves'a. - P-proponujesz mi małżeństwo? - wyjąkała.

- Ależ oczywiście, moja droga. Jestem mężczyzną i wywodzę się z Francji. Byłoby dla mnie bardzo niezręczne pozostawać w jakiegokolwiek innego rodzaju długotrwałym związku z uczciwą kobietą, której pożądam... a jak twoja mądra pokójoweczka wiem, że nigdy nie byłbym szczęśliwy, czując się niezręcznie.

Popatrzył na nią z przekornym uśmiechem.

- Ponadto, jak twierdzi mój przyjaciel, markiz, mam już trzydzieści dwa lata i dawno powinienem posiadać gromadkę dzieci. Coś takiego bez legalnie poślubionej żony mogłoby wyrzucić jak najgorsze wrażenie w całej okolicy.

Spoważniał.

- A więc co na to powiesz, Rachel? Zawrzemy umowę? Myślę, że będziemy się dobrze rozumieć, bo mamy wiele wspólnego, a już teraz sobie ufamy. Ile par może coś takiego powiedzieć, stając na ślubnym kobiercu?

Rachel patrzyła na swoje złożone na kolanach dłonie i zastanawiała się, jak może jedno serce być tak pełne radości, a zarazem bliskie pęknięcia. Z rozpaczą powtarzała sobie słowa, których Yves użył, by poprosić ją o rękę.

Będziemy się dobrze rozumieć. Ufamy sobie.

Niczego w życiu nie pragnęła bardziej, niż by zostać żoną Yves'a St. Armand- żyć z nim, rodzić mu dzieci, razem z nim się zestarzeć. Ale jakże suche były jego słowa, wśród których brakowało tego jednego: „kocham”.

Rozumiała się dobrze z farmerem, który dostarczał jej masła i jajek, a Jacobowi Zimmermanowi zawierzyłaby własne życie, ale żadnego z nich nie pragnęła poślubić. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak mogłaby być żoną człowieka kochanego bez wzajemności.

Musi mu to jakoś wyjaśnić.

Nabrała powietrza do płuc, wypuściła je powoli i zaczęła:

- Nic nie mogłoby uczynić mnie szczęśliwszą niż twoje oświadczyiny, ale...

- A więc zgadzasz się? - przerwał jej Yves.

- Jeszcze nie. Muszę ci coś powiedzieć...

Podniósł dłoń, jakby parując cios.

- Martwi cię moja londyńska kochanka. Doskonale cię rozumiem, zwłaszcza po tym przedstawieniu w Drury Lane. Jednak uwierz mi, było ono skierowane do bardzo specyficznej widowni. Jacqueline Esquare nic dla mnie nie znaczy. Wyślę mojemu pełnomocnikowi polecenie, by zakupił jej jakąś kosztowną błyskotkę i znalazł innego bogatego projektora.

Rachel zgrzytnęła zębami.

- Nie to mnie martwi...

- I nie bój się, że jak większość arystokratów będą cię zdradzał - ciągnął, ignorując jej słabe protesty. - Wychowany zostałem przez bogobojnych francuskich chłopów, którzy nauczyli mnie szacunku dla świętych sakramentów.

Chwytał jej dłoń i złożył na niej czuły pocałunek... i wszystkie jej obiekcje nagle gdzieś znikły. Nieważne, że ani razu nie wyznał jej miłości, ani nawet to, że uważała się za niezdatną do małżeństwa. Rozum podsuwał jej wątpliwości; serce podpowiadało, że życie z Yvesem na dowolnych warunkach jest lepsze niż życie bez niego.

- A więc dobrze, jeśli jesteś pewien, że tego chcesz, zgadzam się za ciebie wyjść - powiedziała cicho.

- Jestem pewien, *cherie*, i przysięgam na duszę mojej matki, że poświęcę resztę życia, abyś nigdy

nie żałowała swojej decyzji. - Oczy mu pociemniały. - Masz pojęcie, jak przyjemnie jest złożyć taką przysięgę? Planować przyszłość, zamiast poświęcać każdą myśl zemście?

- Cieszę się, że porzuciłeś pomysł, iż hrabia Fairborne jest zdrajcą, którego szukasz. - Rachel uściśnięła mu dłoń. - Niewątpliwie jest hultajem i głupcem, ale nie wierzę, aby miał w sobie tyle zła, by zdradzić swoją ojczyznę.

- Jesteśmy zaręczeni nie dłużej niż pięć minut, a już znaleźliśmy powód do niezgody - powiedział ponuro Yves. - Albowiem do grobowej deski uważać będę, że nie tylko miał możliwość, ale także popełnił tę najohydniejszą zbrodnię. Niestety wydaje się, że nie mam sposobu udowodnienia jej ponad wszelką wątpliwość, więc zdecydowałem, że oddam go czulej trosce jego wierzycieli, a sam zajmę się własnym życiem.

Słońce dawno już minęło zenit i kierowało się ku zachodowi, gdy Rachel i Yves spakowali resztki jedzenia i ruszyli w stronę wózka. Milcząco zgodzili się pomijać temat hrabiego Fairborne; rozmawiali o planach budowy szkoły, jakie snuła Rachel, oraz o planach Yves'a dotyczących uprawy ziemi i o dzierżawcach, których musi w tym celu znaleźć. Jak para przyjaciół znających się od dziecka gadali, śmiali się i nie zauważyli, kiedy cienie popołudnia zaczęły wpełzać na łąkę.

Każde słowo nabrało nieoczekiwanej wagi, tak samo jak każde tęskne spojrzenie i każde nieprzypadkowe zetknięcie palców, więc w sercu Rachel

zaczęła kiełkować nadzieja. Jeśli Yves już teraz ją lubi i jej pragnie, może kiedyś ją również pokocha.

Koszyk był już schowany pod siedzeniem wózka, a kucyk w uprzęży, gdy Yves podszedł do Rachel, jakby chciał pomóc jej wsiąść. Zamiast tego mocno ujął jej ramiona i przyciągnął do siebie.

- Co chcesz zrobić? - zapytała, chociaż błysk w oku mężczyzny nie pozostawił jej wiele wątpliwości.

- Wystarczy już tych poważnych rozmów - zamruczał jak kot domagający się pieśczot. - Dosyć na dzisiaj ważkich ustaleń. Pora na odrobinę rozrywki.

Rachel nie broniła się, ale udało jej się przybrać wyraz dezaprobaty.

- Jeśli usiłujesz mnie przekonać, że całowanie się i rozrywka stanowią to samo, tracisz czas, mój panie - zadrwiła. - Nawet stara panna z Yorkshire wie, że to nieprawda.

- *Au contraire, mademoiselle* - Yves uśmiechnął się przekornie. - Całowanie się to najprzyjemniejsza rozrywka szczególnie odpowiednia dla dwojga przyjaciół, którzy niebawem zostaną kochankami.

Kochankami. Samo to słowo obudziło w niej coś zuchwałego i swawolnego. Jego wargi muskały jej usta, a ona z zapartym tchem czekała, aż pocałunek stanie się bardziej namiętny. Gdy to nie nastąpiło, sama jawnie go sprowokowała.

- Ach, Rachel, co ty ze mną wyprawiasz - westchnął Yves i oddał się miłosnym zapałom, tak że gdy skończył, musiała z całej siły trzymać się go, bo inaczej mogłaby upaść.

Zamykając oczy, oparła mu głowę na piersi i zatęnęła w ramionach ukochanego. A potem to usłyszała. Najpierw ciszej, jakby z daleka, rozległa się znajoma melodia owczych dzwoneczków. Z doświadczenia wiedziała, że pasterz musi znajdować się gdzieś w pobliżu.

Jakież to irytujące! I to wtedy, gdy właśnie stała się zuchwała i swawolna. Wyjrzała znad ramienia Yves'a, ale stada nie było w zasięgu jej wzroku.

Wtedy znowu rozległy się dzwonki: tym razem już znacznie bliżej. Wydawało jej się, że dźwięk dobiega zza pagórka, który właśnie opuścili. Rachel poznała starego pasterza, który wypasał owce rasy Wensleydale, kiedy miała dwanaście lat, a ojciec wysyłał ją co rano na pastwiska, żeby burkliwy starzec uczył ją wszystkiego o tych zwierzętach. Gdyby dziadek zastał ją w kompromitującej sytuacji, byłaby zdruzgotana.

Szybko uwolniła się z objęć Yves'a.

- Pora jechać - powiedziała ostrzej, niż zamierzała.

- Ale dlaczego? - opuścił ręce i patrzył na nią zamglonym wzrokiem.

- Chyba zaraz zacznie padać - wymyśliła naprędce. - Nie chcę wrócić do domu przemoczona do suchej nitki i potem pić gorzkie ziółka pani Partridge.

- To dziwne, ale ja wcale nie czuję, żeby zbierało się na deszcz. - Yves potrząsnął głową, jakby budził się ze snu. - Wierzę ci jednak na słowo, bo lepiej znasz tutejszy klimat. - Bez dalszych korowodów pomógł jej wsiąść do wózka, a potem zajął miejsce obok niej i podniósł lejce.

Wrócili do Barton House żwawym kłusem, za-

trzymując się tylko dwa razy, żeby dać odpocząć kucykowi i napić go ze strumienia, który płynął obok drogi. Rachel modliła się, żeby spadła chociaż jedna kropla deszczu, uwiarygodniając jej przepowiednię. Ale im bliżej Barton House się znajdowali, tym mniej chmur było na niebie. Gdy przejechali przez bramę i znaleźli się w długiej, wysadzonej drzewami alei dojazdowej, słońce świeciło tak mocno, że nawet jej cienki, jedwabny szal był za ciepły.

Yves odprowadził Rachel do drzwi, ale sprawiał wrażenie dziwnie roztargnionego, więc zaczęła się lękać, iż się na nią obraził.

- Czy coś się stało? - odważyła się zapytać, gdy już chciał się oddalić bez pożegnania.

- Stało? Nie. - Patrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy. - Ale czegoś nie rozumiem.

Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko wyjaśnić mu swój nagły niepokój, chociaż na pewno uzna niechęć do zgorszenia starego pasterza za pruderię. Francuzi nie wahają się przecież publicznie wyrażać swych uczuć.

- Twoje pocałunki sprawiają mi przyjemność - wyrzuciła z siebie, a potem umilkła, skrępowana.

- Mnie zaś sprawia przyjemność całować cię - odparł poważnie. - Każdy następny pocałunek jest jeszcze przyjemniejszy niż poprzedni, a ten ostatni był zupełnie niezwykły.

Rachel zarumieniła się, przypominając sobie, że to ona go sprowokowała.

- Nie będę cię oszukiwał, *cherie*. - Zmarszczył brwi. - Nie jestem święty. Całowałem wiele kobiet... więcej, niż wypadałoby przyznać.

- Nie wątpię w to - odparła sztywno. - Bez doświadczenia nie zyskałbyś takiej biegłości.

- Oczywiście, niektóre pocałunki są lepsze niż inne, ale każdy z nich sprawił mi przyjemność.

Ojej. Wiedziała, co chciał jej przez to powiedzieć. Oszczędzi mu kłopotu. Uniosła dumnie głowę:

- Przed spotkaniem ciebie nie zaznałam wielu pocałunków, ale jestem pewna, że z czasem i ja się nauczę.

- Nauczysz się? *Sacre bleu*, kobieto. Już teraz mnie oszałamiasz!

- Naprawdę? To cudownie! - Popatrzyła badawczo, czy sobie z niej nie drwi... ale mówił najzupełniej poważnie.

- Nie myśl jednak, że wcześniej mi się to nie zdarzało. Jak mój przyjaciel, Philippe, lubi powtarzać, jestem człowiekiem o dużym apetycie. Kiedyś zdarzyło mi się nawet usłyszeć grzmot i ujrzeć błyskawice, gdy pocałunek był szczególnie przyjemny.

Rachel nie wątpiła w jego słowa. Sama widziała kilka błyskawic, gdy usta Yves'a spoczęły na jej wargach.

- Ale przysięgam, że do dnia dzisiejszego nie zdarzyło mi się usłyszeć dzwonek. - Yves niecierpliwie odgarnął włosy z czoła.

- Słyszałeś dzwonki? - Rachel zamrugała oczami.

- Bałem się ci o tym powiedzieć, żebyś mnie nie wzięła za wariata. Ale Bóg mi świadkiem, kiedy dziś się całowaliśmy, usłyszałem dzwoneczki: słodkie, srebrzyste, zupełnie takie, jakich używał nasz ksiądz do porannej mszy. Miałem wrażenie, że same anioły błogosławią naszemu związkowi.

Rachel poczuła przygnębienie. Przez jedną szaloną chwilę chciała pozwolić Yvesowi uwierzyć w tę uroczą fantazję. Ale gdyby to uczyniła, do końca życia dręczyłyby ją wyrzuty sumienia. Z drugiej zaś strony, jak może powiedzieć mu prawdę, nie przyprawiając go o zakłopotanie, nie mówiąc już o tym, że zraniłaby jego męską dumę?

- Muszę ci coś wyznać, Yves - zaczęła niepewnie, przestępując z nogi na nogę i wpatrując się w węzeł jego krawatki. - Ja także słyszałam te dzwonki...

- Naprawdę? - Na twarzy Yves'a pojawił się wyraz ulgi zmieszanej ze zdumieniem. - A więc ich sobie nie wyobraziłem! Ach, droga moja, gdybym do tej pory nie wierzył, że jesteś moim przeznaczeniem, teraz pozbyłbym się wszelkich wątpliwości.

- Ale Yves, ty nie rozumiesz...

- Cśś, Rachel. Nie martw się. Co może pokrzyżować nasze plany, jeśli mamy po swojej stronie anioły? - Porwał ją w ramiona i wyszeptał: - Jeszcze jeden pocałunek dla uczczenia naszych zaręczyn, nim się z tobą rozstanę, moja miła. - Zanim jednak zdołał spełnić swoje życzenie, drzwi otworzyły się z nienacką i wypadła z nich Mary Tucker, cała zapłakana i z włosami w nieładzie.

- Och, panienko, jak to dobrze, że jest panienka z powrotem. Tak się przeleżałam.

- Na litość boską! - Rachel szybko wyzwoliła się z objęć Yves'a i zwróciła do swojej pokojówki. - Co się stało? Kto cię przestraszył?

- Pani Partridge wysłała mnie do wsi - powiedziała Mary, tłumiąc szloch. - Tam właśnie ujrzałam tego nikczemnika wyglądającego oknem swej pięknej

karety. Odwróciłam głowę, żeby mnie nie rozpoznał, ale stanie się to na pewno, gdy ujrzy mnie z bliska. - Jej niebieskie oczy wypełniły się łzami. - A wtedy całe Yorkshire dowie się o mojej hańbie.

- Przestań płakać i powiedz mi, kogo zobaczyłaś we wsi - zażądała Rachel, pragnąc raczej zyskać na czasie niż dlatego, że nie domyślała się, kim jest ten „nikczemnik”.

- To był on, hrabia Fairborne - jęknęła Mary. - Jest tutaj, w Yorkshire i, jak Bóg na niebie, nie wróży to nic dobrego ani mnie, ani panience.

15

- Jesteś pewna, że mężczyzna, którego ujrzałaś, był to hrabia Fairborne? - Ostry ton głosu Yves'a sprawił, iż Rachel zapragnęła zasłonić sobie uszy. Dopiero co upewniła się, że zamierza zapomnieć o przeszłości i gotów jest zająć się przyszłością, którą razem tak starannie planowali. A teraz jedna wzmianka o hrabim zmieniła tego radośnie planującego przyszłość człowieka w mściwe indywiduum, które z trudnością rozpoznawała.

- Jestem pewna, panie - odparła Mary. - Nawet gdybym nie widziała jego twarzy, wystarczyłaby mi karetka. - Skrzywiła się. - Z tym ohydny stworem na drzwiach.

Yves uniósł pytająco brew i Rachel pospieszyła wyjaśnić:

- Podróżna karetka hrabiego ma na drzwiach jego herb, tak samo jak karety większości arystokratów. Jego herb wyróżnia się szczególnie, bo jest na nim dosyć niezwykły smok.

- Smok? - Yves sięgnął do kieszeni, wydobył nieduży, srebrny przedmiot i podał im na wysuniętej dłoni. - Może podobny do tego?

- Oj, panie, toż to ta sama bestyja! - zawołała Mary. - Tylko ta na drzwiach karety jest dziesięć razy większa.

Rachel patrzyła z niedowierzaniem na szmaragdową miniaturkę smoka z herbu Edgara, natychmiast rozpoznając, skąd się wzięła. Zdołała jednak opanować wstrząs na tyle, by polecić Mary, żeby podała im herbatę w saloniku obok jadalni, i zaprosić tam Yves'a.

- Skąd masz ten guzik? - zapytała, gdy tylko znaleźli się w saloniku i usiedli obok siebie na kanapce.

- Jesteś pewna, że chcesz to wiedzieć? - zapytał po krótkim namyśle.

- Oczywiście, że tak. Już ci kiedyś mówiłam, nie lubię tajemnic.

- Dobrze więc. Znalazłem go w Dover, w małym zaułku na tyłach karczmy o podejrzanej reputacji.

- W jaki sposób się tam, na miłość boską, znalazł? - Teraz Rachel uniosła brwi. - No i co ty tam robiłeś?

- Na polecenie lorda Castlereagh pojechaliśmy z Philippe'em do Dover, aby zbadać sprawę morderstwa trzech osób, których ciała znaleziono w tym zaułku poprzedniego dnia. Dlatego nie było mnie w Pulteney, kiedy tam przysłaś.

Rachel przez chwilę patrzyła w osłupieniu, porażona nieokreślonym lękiem.

- Kim były te osoby i dlaczego poproszono cię, żebyś zbadał tę zbrodnię? - zapytała, odzyskawszy wreszcie głos.

- Lord Castlereagh miał wrażenie, że te morderstwa zainteresują mnie, gdyż ofiarami byli: prostytutka z Dover, Francuz, który właśnie przyjechał z kontynentu, i policjant, który miał za zadanie śledzić hrabiego Fairborne.

- Wielki Boże! To niemożliwe! - Jednak w tej samej chwili Rachel wyczuła, że Yves mówi prawdę. Z całej siły chwyciła poręcz kanapki, usiłując sobie przyswoić sens słów Yves'a. A może jednak ktoś popełnił jakiś błąd... może istnieje jakieś inne logiczne wyjaśnienie...

- Zbladłaś jak ściana, gdy zobaczyłaś ten dziwny guzik. - Yves przyglądał się jej badawczo. - Gdzie widziałaś coś podobnego?

Wydawało się, że nie jest w stanie sformułować odpowiedzi. Mogła tylko patrzeć na niego, onieamiając się ze zgrozy.

- Do diabła, Rachel, mów. - Yves wrzucił guzik do kieszonki kamizelki. - Powiedz mi, co wiesz.

- Ostatniego dnia w Londynie - odchrząknęła - kiedy Edgar wrócił ze swej posiadłości w Surrey...

- Fairborne nie ma posiadłości w Surrey ani nigdzie indziej. To było pierwsze, co sprawdziła policja.

Rachel zamknęła oczy, pragnąc uniknąć przenikliwego wzroku Yves'a i okropnej prawdy.

- Hrabia jest zazwyczaj bardzo schludny, ale tego dnia wyglądał niezwykle jak na siebie nieporządnie - powiedziała tępo. - Na rękawie surduta miał czarną plamę, a u kamizelki brakowało mu guzika. Pamiętam, że pomyślałam sobie, jaka to szkoda, bo te szmaragdowookie smoki są bardzo niezwykle.

- Gdy go znalazłem, od razu miałem wrażenie, że należy do Fairborne'a. - Yves zaklął pod nosem. - Dotykając go, wyczuwałem coś niewymownie złego. Ale nie rozumiałem, dlaczego wydawał mi się taki znajomy. Teraz wiem. Musiałem dostrzec herb

na jego miejskiej karecie, kiedy spotkałem cię przed księgarnią Hatcharda.

- Co zamierzasz zrobić teraz, gdy masz dowody, że hrabia jest... jest tym, za kogo go miałeś? - Rachel bacznie przyglądała się twarzy Yves'a.

- Jakie dowody? - Odwrócił głowę. - Charakterystyczny guzik może być wystarczający dla mnie, ale wątpię, żeby Whitehall albo Tajna Rada zadowolili się czymś takim, by posłać na dożywocie szlachetnie urodzonego.

Przed oczami Rachel pojawiła się wizja trzech martwych ciał, rzuconych jak śmieci w ciemnym zaułku. Przełknęła ślinę, starając się opanować mdłości.

- Ale jeśli im powiem...

- Co im powiesz? Że będąc gościem w miejskiej rezydencji hrabiego Fairborne zauważyłaś, że brak mu guzika u kamizelki, guzika, który przypomina coś, co ja znalazłem w Dover? Oczywiście zaprzeczy, żeby kiedykolwiek miał taką kamizelkę... a skoro na pewno już dawno się jej pozbył, jak udowodnisz, że było inaczej? Za pozwoleniem, Rachel. - Popatrzył na nią przepraszająco. - Ale ile warte będzie świadectwo osoby z gminu, a do tego kobiety, wobec słów para królestwa i bliskiego przyjaciela regenta?

- Bardzo niewiele, jak sędzę - powiedziała Rachel, opadając na oparcie kanapki. - Jednak hrabia powinien zostać postawiony przed sądem. Chociaż jest mi bardzo trudno, muszę uznać, że człowiek, którego uważałam za przyjaciela, jest wcieleniem zła. Zabija, gdy poczuje się zagrożony. Co może po-

wstrzymać go przed tym, by uczynił to ponownie?

- Nic w istocie, skoro nie mam żadnych przekonujących dowodów na jego zdradę.

Patrzyła na Yves'a szeroko otwartymi z przerażenia oczami.

- Zabije ciebie, jeśli dowie się, że chcesz go zde-maskować.

- Niewątpliwie spróbuje... po raz kolejny - stwierdził ponuro Yves. - Ale tym razem będę na niego czekał.

- Czy sądzisz, że w tym celu przyjechał za tobą do Yorkshire?

- Nie. Skąd miałby wiedzieć, że tu jestem? Myślę, że przyjechał tu za tobą, żeby raz jeszcze spróbować położyć łapę na twoim majątku.

Rachel zacisnęła rękę na oparciu kanapki tak, że pobiełały jej kostki.

- Dlaczego mam wrażenie, że nie byłeś zdziwiony, kiedy Mary powiedziała, że hrabia jest w Yorkshire?

Yves zastanowił się, zanim udzielił jej odpowiedzi. Wiedział, że prawda obciąży go w jej oczach, ale zbyt długo żył w kłamstwie i przemilczeniu. Jeśli chce zbudować pewną przyszłość z Rachel, musi zacząć od położenia fundamentu zaufania.

- Nie byłem zdziwiony - przyznał cicho. - Prawdę mówiąc, oczekiwałem, że będzie próbował się z tobą pogodzić. Jego sytuacja finansowa jest rozpaczliwa, a ty jesteś środkiem, przy pomocy którego miał zamiar odtworzyć swoją fortunę, utraconą przy stole do gry. - Nie wspomniał jednak, że obsesja Fairborne'a na punkcie Jacqueline Esquare

i innych jej podobnych „rajskich ptaszków” kosztowała go prawie tyle co nałóg hazardu. Nadmierna prawdomówność mogłaby okazać się szkodliwa.

Rachel uniosła dumnie głowę, a Yves wstrzymał oddech, czekając, jaka będzie jej reakcja.

- Twoja szczerść jest nieco spóźniona - powiedziała spokojnie. - Mam nadzieję, że w przyszłości będziesz bardziej prawdomówny.

Każda inna kobieta, nawet Amalia, żądałaby od niego niezliczonych zapewnień, że nie oświadczył jej się tylko po to, żeby popsuć szyki wrogowi. Rachel skwitowała niebezpieczny temat dwoma zwięzłymi zdaniem, w których wyraziła swoje niezadowolone, a zarazem przekonanie, iż mimo wszystko uważa jego oświadczenia za szczerze. Zaprażył uklęknąć przed nią i dziękować za to, że miał szczęście ją poznać.

- Istotnie, nie mylisz się - ciągnęła. - Mężczyzna znajdujący się w takich tarapatach nie podda się łatwo. - Westchnęła. - Nie rozumiem, dlaczego nie wpadłam na to, o co mu chodzi, kiedy w lipcu poprosił naszego pastora, aby mnie go przedstawił. Co roku spędzał miesiąc lub dwa z wizytą u krewnej zamieszkałej w naszej dolinie, ale nigdy nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi.

Jej oczy rozszerzyły się i Yves widział w nich tę samą myśl, która jemu też przyszła przed chwilą do głowy. Niestety tę właśnie chwilę wybrała pani Partridge na wniesienie tacy z herbatą, więc musiał poczekać, aż wyjdzie, i dopiero wtedy poprosił:

- Powiedz mi o tej krewnej, którą Fairborne odwiedza co roku.

- Lady Helen jest jego cioteczną babką i wdową od wielu lat. Jej ojciec był baronem, a mąż szlachcicem o nazwisku Ostrander, którego rodzina od pokoleń posiadała w dolinie nieduży majątek. Lady Helen już bardzo stara i mówi się, że w ostatnich latach kompletnie zdziecinniała.

- Czy Fairborne może dziedziczyć jej majątek?

- Nie. O ile wiem, spadkobiercą pana Ostrander jest jego bratanek, który obecnie przebywa w Bengalu jako pracownik Kompanii Wschodnioindyjskiej, ale zgodnie z ostatnią wolą męża lady Helen może mieszkać w majątku do końca życia. - Urwała i badawczo spojrzała w twarz Yves'a. - Myślisz, że jeśli istnieją jakieś dowody, to mogą być ukryte gdzieś w domu jego ciotki?

- To całkiem prawdopodobne, jeśli Fairborne co roku spędza tam jakiś czas. Na pewno jest to bezpieczniejsze miejsce na ukrycie kompromitujących dokumentów niż jego londyńska rezydencja, a sama wiesz najlepiej, że nie mam żadnych innych poszlak. - Niecierpliwie zabębnił palcami o oparcie kanapki. - Znasz ten dom? Możesz mi go pokazać?

- Jak każdy, kto mieszka w dolinie. Ale to chyba zbyt ryzykowne przeszukiwać go w chwili, gdy mieszka tam hrabia. Jeśli masz rację, że przyjechał tu tylko po to, aby mi się oświadczyć, nie zabawi długo. Poślę go gdzie raki zimują, jak tylko pokaże się w Barton House. Błagam cię, zaczekaj, aż wyjedzie z Yorkshire, zanim zaczniesz poszukiwania.

Yves pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach, a głowę na dłoniach.

- Godzinę temu być może zgodziłbym się z to-

bą. Pozwoliłem ci się przekonać, że zrobiłem wszystko, co możliwe, aby postawić Fairborne'a przed sądem, i powinienem pozostawić go na łasce rozwścieczonych wierzycieli. - Podniósł głowę i wyraz udręki malujący się na jego twarzy sprawił, że Rachel łzy stanęły w oczach. - Wiedziałem lepiej, ale tak bardzo chciałem zapomnieć o przeszłości i zająć się przyszłością. Niestety, właśnie to, co powiedziałaś przed chwilą, sprawiło, że zdałem sobie sprawę, iż dopóki Fairborne jest na wolności, przeszłość nigdy nie da mi spokoju. - Skrzywił usta w smutnym uśmiechu. - Pytałaś mnie, co powstrzyma go przed następnym zabójstwem. Odpowiedź jest taka sama jak w przypadku każdego innego drapieżnika. Więzienie lub śmierć.

Słowa te i wyraz twarzy Yves'a sprawiły, że Rachel przeleciał po plecach zimny dreszcz.

- Nie chodzi tu tylko o zemstę - ciągnął beznamiętnie. - Nie mogę pozwolić, by Fairborne, gdy przekona się, że jesteś poza jego zasięgiem, wrócił do Londynu szukać następnej majątnej panny. Zadań sobie to pytanie, *cherie*. Co powstrzyma go przed zamordowaniem żony, gdy już zagarnie jej fortunę?

- Tak samo jak pozbyłby się mnie. - Rachel zadrżała. - Dobrze więc, przyznaję, że musisz znaleźć sposób, aby został ujęty tutaj, w Yorkshire. Ale błagam, potem wyślij go do Londynu. Wszystkie nasze plany mogą spalić na panewce, jeśli ty... - Nie potrafiła wypowiedzieć tego słowa. - Jeśli będziesz musiał uciekać z Anglii. - dokończyła niezręcznie.

Złożyła ręce na kolanach.

- Powiem ci, jak moim zdaniem powinniśmy zabrać się za poszukiwania we dworze. Potem ty przedstawiś mi twój plan. Wspólnie wymyślimy najlepsze rozwiązanie.

- My? - Yves stanowczo potrząsnął głową. - Ty masz się w to nie mieszać. Zabraniam ci mieć cokolwiek wspólnego z Fairborne'em poza tym, że wyślesz mu list oświadczający, iż nigdy więcej nie przyjmiesz go w Barton House.

- Nie masz jeszcze prawa zabraniać mi czegokolwiek - odparła z równą stanowczością. - Chcę pomóc ci znaleźć dowody potrzebne, by wysłać hrabiego Fairborne do więzienia. Ja też pragnę zapomnieć o przeszłości i tworzyć przyszłość, o której rozmawialiśmy.

Nagła błyskawica kazała jej spojrzeć w okno. Deszcz, którego tak wcześniej czekała, pojawił się w całej obfitości. Krople waliły o szybę i świat na zewnątrz wydawał się ciemny i groźny. Gdyby była tak przesądna jak Yves, uznałaby to za zły omen.

Postanowiła jednak nie poddawać się lękom i po chwili przedstawiła mu coś, co uważała za niezawodny plan działania.

- Przyjmę hrabiego, gdy zechce mnie odwiedzić, i zajmę go tak długo, żebyście zdążyli wraz z markizem przeszukać dom lady Helen.

- Nie mogę ci na to pozwolić - zaprotestował. - Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby Fairborne zrobił ci jakąś krzywdę.

- Nic złego mi nie zrobi - stwierdziła z pewnością, w którą bardzo chciała wierzyć. - Będzie wychodził ze skóry, żeby mnie sobie zjednać, a ja mu

na to pozwolę przez godzinę lub dwie. Postaram się tylko, aby nawet przez chwilę nie zostać z nim sam na sam. Mary i pani Partridge będą w domu i poproszę chłopaka stajennego, żeby zawiadomił Jacoba, jak tylko pojawi się karetą hrabiego. Kiedy skończycie swoje poszukiwania, wróćcie do Barton House. Razem z markizem bez trudu poradzicie sobie z hrabim i zawieziecie go do Whitehall, jeśli tylko znajdziecie niezbędne po temu dowody. Jeśli nie... wolę o tym nie myśleć.

- Ach, ukochana, w twojej wersji wszystko jest takie proste. - Yves ujął jej dłoń.

- Bo jest - odparła Rachel. - Tak proste, że musi się powieść. Jest piątek, więc Jacob przyjdzie na kolację i możemy go zaraz wtajemniczyć w nasz plan, a także Mary i panią Partridge. A jutro pokażę ci, gdzie jest majątek lady Helen. Cóż może być łatwiejszego?

Niestety, jak się okazało, plan Rachel nie był niezawodny. Nie wzięła bowiem pod uwagę niecierpliwości hrabiego Fairborne, który jak najrychlej zapragnął powrócić do jej łask. Przewidywała, iż odczeka kilka dni w majątku swojej ciotki, zanim zechce ją odwiedzić. Zamiast tego punktualnie o pierwszej następnego popołudnia podróżna karetą hrabiego zaturkotała na jej podjeździe.

Rachel szybko napisała liścik do Jacoba, powiadając go o nieprzewidzianym rozwoju wypadków i prosząc, aby jak najprędzej zaprowadził Yves'a do majątku ciotki hrabiego, podczas gdy ona zajmie się nim samym. Dała liścik Mary z poleceniem, żeby ta

wysłała z nim chłopca stajennego do Jacoba... Była to trochę ryzykowna i okrężna droga, ale inne wyjście nie istniało. Potem, godnie prostując ramiona, odsunęła na bok panią Partridge, podeszła do drzwi, w których czekał hrabia, i udała zdumienie, iż widzi go w swoim domu.

- Po tym wszystkim, co się wydarzyło, dziwię się, milordzie, że miał pan czelność znowu mnie nawiedzić - powiedziała lodowato.

- Musiałem odwiedzić moją drogą ciotkę. Bardzo mnie teraz potrzebuje, żyjąc tak samotnie. A skoro znalazłem się blisko Barton House, poczułem, że muszę się z panną zobaczyć, droga panno Rachel. - Przyłożył dłoń do czoła w dramatycznym geście rozpaczony. - Nigdy nie dowiesz się, ile wymagało to ode mnie odwagi. Będąc tchórzem, wykorzystałem jako pretekst książki, które zostawiłaś. - Machnął ręką w stronę karety i jego woźnica pojawił się z plikiem książek, które Rachel kupiła u Hatcharda.

- To przyjmuję z wdzięcznością - odparła, gestem nakazując woźnicy położyć swój bagaż tuż za progiem. - Przykro mi, że okoliczności zmusiły mnie do ich zostawienia. Dziękuję i do widzenia. - Udała, że chce zamknąć drzwi, chociaż widziała wyraźnie but hrabiego, który by je zablokował.

- Zechciej mnie pani przyjąć przynajmniej na tak długo, abym mógł wyjaśnić moje zachowanie - poprosił.

- Wolałabym nie, panie. - Rachel potrząsnęła głową. - Doprawdy nie chcę słyszeć, co ma mi pan do powiedzenia, a po tym, co spotkało mnie z twoich

rąk w Londynie, obawiam się, że straciłam do pana zaufanie. - To było niezłe posunięcie. Nie powinien zauważyć, że w istocie chce go zwabić do saloniku.

- Błagam, droga pani. Jeśli tego pragniesz, padnę przed tobą na kolana.

- Nie życzę sobie, aby ktokolwiek się przede mną poniżał. Niech pan nawet nie próbuje żenować siebie i mnie w ten sposób.

Prawdę mówiąc, gdyby mogła uczynić to, na co miała ochotę, zatrzasnęłaby mu drzwi przed nosem. Gdy poznała prawdziwą naturę tego człowieka, na sam jego widok przechodził ją dreszcz obrzydzenia. Jednak dla dobra Yves'a musi odegrać swą niemądrą rolę.

- Dobrze więc, jeśli pan nalega. - Przyjrzała się hrabiemu przez zmrużone powieki. - Może pan wejść na kilka minut. Ale traci pan czas, milordzie, bo nic, co mógłby pan powiedzieć, nie zmieni mojego zdania na pański temat.

Uśmiechając się w duchu na widok zadowolenia malującego się na twarzy hrabiego, poprowadziła go do saloniku i poleciła pani Partridge przynieść herbatę i trochę upieczonego dziś rano makowca.

Po kilku minutach, gdy nalewała herbatę, ujrzała przez okno Jacoba pędzącego na swojej klaczy i odetchnęła z ulgą. Jacob był prawdopodobnie najgorszym na świecie jeźdźcem i będzie trzeba cudu, żeby zdołał się utrzymać na końskim grzbiecie aż do zajazdu, a tym bardziej do majątku Ostrandorów. Jednak, znając sumienność swego nadzorcy, była pewna, iż uczyni to albo zginie.

Nagle zdała sobie sprawę, że hrabia mówi do

niej bez ustanku od chwili, gdy usadowił się w fotelu naprzeciwko niej, a ona nie usłyszała z tego ani słowa.

- I właśnie dlatego, droga pani, uczyniłem to, co uczyniłem.

- Uhm - powiedziała, ściągając brwi, jakby poważnie się zastanawiała nad tym, co powiedział.

- Miłość! - Uniósł ręce w geście rozpaczy. - Najlepszych przemienia w głupców!

- Miłość sprawiła, że groził mi pan i umieścił lokaja na straży przed moimi drzwiami? Trudno mi w to uwierzyć, milordzie. Pańskie czyny przypominają raczej działania człowieka zdesperowanego groźbą utraty nie afektu, ale fortuny.

- Obawiałem się, że źle zrozumiesz moje impulsywne czyny. - Smutnie potrząsnął głową. - Jakież teraz trapią mnie wyrzuty sumienia, gdy wiem, że kobieta, którą uwielbiam ponad wszystko, pogardza ziemią, po której stąkam!

Fairborne upił łyk herbaty, odstawił filiżankę i rzucił Rachel bolesne spojrzenie. Wtedy przyszło jej do głowy, że pewnie uwierzyłaby w każde jego słowo, gdyby nie znała całej prawdy. Edmund Kean* mógłby się od niego uczyć sztuki aktorskiej.

- Niechże pan spróbuje makowca pani Partridge - zaproponowała. - O ile pamiętam, jest to pana ulubione ciasto.

- Pamiętasz! - wykrzyknął. - Wiedziałem, że to, co nas łączy, jest zbyt cenne, by mogło ulec znisz-

*Edmund Kean (1787 - 1833) - angielski aktor, słynny z ról szekspirowskich (przyj. tłum.).

czeniu w wyniku jednego niemądrego czynu! - Szybko zjadł oferowany mu kawałek ciasta, popił herbatą i wziął się za następny. „Wyrzuty sumienia” najwyraźniej nie popsowały mu apetytu.

Jak długo można jednak jeść ciasto i pić herbatę? Obiecała Yvesowi, że zajmie hrabiego przez dwie godziny. Tymczasem upłynął zaledwie kwadrans, a ona nie miała już nic więcej do powiedzenia. Nervowo szukała w pamięci jakiegoś tematu, na który mogłaby teraz porozmawiać z hrabim. Życie ukochanego człowieka zależało od tego, czy przez najbliższy czas zdoła zatrzymać Fairborne'a z dala od domu ciotki.

Nieoceniona pani Partridge pomogła jej na swój zwykły niezrównany sposób.

- Obiad już jest gotowy, panno Rachel - powiedziała, stając w drzwiach saloniku. - Mam go odstawić? Czy też pan zje razem z panienką?

Jak to dobrze, że poczciwa kobieta pamiętała, iż wszyscy mężczyźni, dobrzy i źli, kochają jeść. Rachel poczuła, że kamień spadł jej z serca. Chwilowo problem został rozwiązany. Można było liczyć, że hrabia spędzi godzinę albo dwie, objadając się pysznościami pani Partridge.

Jednak dla zachowania pozorów Rachel zmarszczyła brwi, jak gdyby propozycja gospodyni wzbudziła jej dezaprobatę, i popatrzyła na zegarek u paska.

- Będę gotowa do posiłku dokładnie za piętnaście drugą - warknęła. - Jestem jednakże pewna, że pan hrabia ma inne plany.

- Wręcz przeciwnie, moja droga. - Hrabia strzep-

nał okruszki z kamizelki. - Czuję się wielce zaszczycony twoją propozycją i z przyjemnością spożyję produkty wspianałej kuchni Barton House.

Rachel zachciało się śmiać, gdy usłyszała, jak przeinaczył jej słowa, tak by mu odpowiadały. Jednak wyraz przebiegłości malujący się na jego przystojnej twarzy przypomniawszy Rachel, że nic zabawnego nie było w tym, iż omal nie wpadła w jego szpony. Gdyby nie pomoc Yves'a, mogłaby popełnić życiowy błąd i poślubić łotra bez skrupułów.

O oznaczonej porze, zaciskając zęby, zaprowadziła hrabiego do jadalni i podjęła zadanie karmienia go i pojenia przez następne dwie godziny. Zgodnie ze swym obyczajem przed rozpoczęciem posiłku pochyliła głowę. Jednak zamiast podziękować za pożywienie, modliła się za sukces jej „prostego planu”, który stanowił klucz do jej i Yves'a przyszłości.

Yves stał przy oknie w swoim pokoju, gdy Jacob wpadł do stajni zajazdu na gniadej klaczy. Z bijącym sercem zbiegł po schodach, pewien, że coś jest nie w porządku.

Jacob nie marnował czasu na wstępy.

- Nastąpiła zmiana planów - wysapał. - Hrabia jest w Barton House, a ja mam was zaprowadzić do majątku jego ciotki.

- Do diabła! I zostawić Rachel bez ochrony przed Fairborne'em! Nic z tego!

Wyłaniający się z baru za jego plecami Philippe zdążył wszystko usłyszeć.

-Jedź, na litość boską! To może być twoja ostat-

nia szansa na znalezienie dowodów, zanim będziemy musieli uciekać z Anglii przed szubienicą. Będę bronił twojej damy, choćbym miał to życiem przepłacić!

Yves nie czekał dłużej, lecz ruszył do stajni, gdzie stał jego wierny wierzchowiec. Pomimo swoich wad Philippe de Maret jest człowiekiem honoru. Pod jego ochroną Rachel będzie bezpieczna.

Okazało się jednak, że "plan" wymyślony przez Rachel nie był taki prosty, jak się wydawało. Po pierwsze, majątek Ostranderów znajdował się o wiele dalej, niż myślał Yves, nie mógł więc pognać tam na złamanie karku, jak uczyniliby to w razie potrzeby z Philippe'em. Jacob starał się jak mógł, ale z ledwością trzymał się w siodle. Gdy zbliżali się do celu, minęło już prawie trzydzieści minut z ich bezcennych dwóch godzin.

Kiedy dotarli na miejsce, majątek okazał się być wielkim, zarośniętym parkiem, w którym Yves zauważył stadko owiec pasących się spokojnie w towarzystwie niedużej grupki saren. Dawniejsza żwirowana aleja stała się teraz zarośniętą chwastami ścieżką obramowaną dwoma rzędami wielkich drzew, których pokręcone gałęzie wyciągały się ku niebiosom niczym starożytni błagalnicy modlący się do jakiegoś zapomnianego celtyckiego bożka.

Dom na końcu alei sprawiał wrażenie jeszcze starszego niż drzewa. Była to dwupiętrowa budowla z drewna i kamienia z wysuniętym do przodu gankiem, płytkimi wykuszowymi oknami i kilkoma nieokreślonego charakteru ceglanyimi kominami, które pamiętały lepsze czasy.

- Te gęste zarośla otaczające dom zasłaniają cały widok. Nikt nie zauważy naszego przybycia - stwierdził Yves. - Zobaczmy, czy jest tu jakieś otwarte okno. Wolałbym nie wybijać szyby.

- Ja także bym tego nie chciał. - Jacob popatrzył niepewnie. - W Yorkshire włamanie uważa się za poważne przestępstwo.

- A więc co mam uczynić? - Yves skrzywił się. - Mam zapukać do drzwi i poprosić starszawą damę, żeby mi pozwoliła przeszukać dom w celu znalezienia dowodów zdrady jej siostrzeńca?

- Wybacz mi, ale nie wszystko dobrze rozumiem. - Na chudych policzkach Jacoba pojawił się ciemny rumieniec. - Nie nawykłem do działań poza prawem bez względu na to, jak bardzo jest to uzasadnione - powiedział sztywno.

Yves powstrzymał się od wygłoszenia zjadliwej repliki. Przedsięwzięcie było ryzykowne. Liczył, że tyły zabezpieczać mu będzie doświadczony w potyczkach markiz. Obawiał się, że spokojny nadzorca przędzalni okaże się bardziej przeszkodą niż pomocą.

Szczerście dopisało mu pod jednym względem. Dzień był ciepły i większość okien na parterze była otwarta, a także oszklone drzwi prowadzące do pomieszczenia, które wyglądało na bibliotekę. Gdy Yves zajrzał do środka, stwierdził jednak, że nie bardzo zasługuje na tę nazwę. W odróżnieniu od londyńskiej biblioteki Fairborne'a, wysoki, wyłożony ciemną boazerią pokój z sięgającymi sufitu półkami na książki zawierał w sobie tylko kilka pokrytych kurzem tomów walających się tu i tam.

Jacob wszedł do pomieszczenia i rozejrzał się bacznie.

- Wiemy, że hrabia jest w Barton House. Ale gdzie jest starsza pani? No i o tej porze dnia powinna gdzieś tu być służba.

- Starsza pani jest pewnie w swojej sypialni - odparł Yves. - Dowiedziałem się, że pędzi dosyć samotny żywot, a służby nie ma chyba zbyt wiele, albo są wyjątkowo leniwi. Pełno tutaj kurzu.

Ledwo skończył mówić, usłyszeli zbliżające się kroki. Yves szybko wypchnął Jacoba za drzwi i kazał mu pełnić straż na zewnątrz. Sam schował się za kotarą.

Po chwili skrzypnęły drzwi i Yves z ukrycia zobaczył łysego starca w poplamionej niebieskiej libe-rii i wydeptanych kapciach. Wiekowa pokojówka w niegdyś białym czepku pojawiła się tuż za nim. W rękę miała miotełkę z piór.

- Lepiej bierz się do odkurzania, zanim hrabia wróci - powiedział mężczyzna. - Niewiele brakowało, a dostałby wczoraj szału, jak zobaczył tę bibliotekę. Oskarżył mnie, że nie odkurzałem tu od czasu, gdy wyjechał do Londynu.

- A po co miałbyś to robić, skoro tylko on tu wchodzi? I w ogóle, co on tutaj robi we wrześniu? - gderała kobieta, wymachując miotełką po biurku. - Jak sięgnę pamięcią, nigdy nie przyjeżdżał o tej porze, ale w lipcu.

- Musi chciałby położyć łapę na majątku Barto-nówny - stwierdził starszawy lokaj, przestawiając coś na biurku, żeby wytworzyć wrażenie porządku. - Jego woźnica mówi, że psiajucha nie ma ani gro-

sza i ja mu wierzę. Po co przyjeżdżałby tu z tym swoim ważnym lokajem?

- Ha! Kręci się koło nie tej baby co trzeba, jeśli chcesz znać moje zdanie. Córka Bena Bartona nie jest taka głupia, żeby brać towar z felerem.

Yves próbował stłumić chichot, ale w wyniku tego kichnął.

- Co to było? - zapytała pokojówka.

- Coś skrzypi - odparł lokaj. - W starych domach często się to zdarza.

Yves zatkał sobie nos. Ukrywał się w zwojach zakurzonej tkaniny, więc jedno kichnięcie z łatwością mogło dać początek całej serii. Musiał się opanować, aby nie zdradzić swego schronienia, dopóki kobieta nie dokończy swych niedbałych zabiegów. W końcu wreszcie się z nimi uporała i oboje się oddalili, zamykając za sobą drzwi, ale zmarnowane zostało piętnaście minut cennego czasu.

Pospiesznie zabrał się za przeglądanie szuflad wielkiego biurka. Nie było w nich nic prócz następnych nie zapłaconych rachunków hrabiego. Nie znalazł także nic ciekawego w licznych szufladach i skrytkach starego sekretarzyka, który, poza dwoma fotelami, stanowił pozostałe umeblowanie biblioteki. W końcu przerzucił strony nielicznych książek, ale bez skutku.

Zdesperowany rozejrzał się po pokoju w nadziei, że dostrzeże jakiś schowek. Nie miał jednak wielkich nadziei.

Pomieszczenie miało kształt nieregularny, z licznymi zakamarkami, w których mogły znajdować się sprytnie zamaskowane skrytki. W czasach, gdy

ów dom był budowany, ani w Anglii, ani we Francji nie istniały jeszcze banki. Dlatego też budowniczowie projektowali skrytki, gdzie właściciele domów mogli bezpiecznie przechowywać pieniądze i kosztowności.

W takim właśnie miejscu w ich rodzinnym pałacu dziadek Yves'a ukrył swoją fortunę i powierzył wiernej niani tajemnicę otwierania go. Yves zdawał sobie sprawę, że samodzielne znalezienie takiego schowka graniczy nieomal z cudem. Mógłby spędzić na poszukiwaniach wiele dni i wcale na nią nie natrafić, jeśli w ogóle istniała. Miał coraz mniej czasu, a jego anioł stróż jakoś nie kwapił się z dokonaniem następnego cudu.

Podszedł do kominka, mając nadzieję, że może znajdzie luźną cegłę, za którą dałoby się ukryć jakiś dokument. Naciskał więc je kolejno, zaczynając od góry, i był już w drugim rzędzie, gdy znowu usłyszał skrzypienie drzwi. Tym razem znajdował się za daleko od okna, by ukryć się za zasłoną.

Doznając niemiłego uczucia *deja vu*, wyprostował się i patrzył na kobietę, która weszła przez otwarte drzwi. Jednak na tym skończyło się podobieństwo z ową pamiętną nocą, kiedy po raz pierwszy spotkał Rachel.

Włosy tej kobiety miały kolor starego śniegu, a nieobecne błękitne oczy osadzone były w pomarszczonej twarzy przypominającej suszone jabłko, które madame Durand dodawała zimą do ciast. Czepek z pożółkłych koronek z trudnością utrzymywał się na czubku jej głowy, zaś chude ciało spowijała fioletowa, atłasowa suknia z tiurniurą, mod-

na w czasach, gdy na tronie Francji zasiadał jeszcze Ludwik XVI.

Yves wiedział bez pytania, że ma przed sobą cioteczna babkę hrabiego Fairborne, panią domu, do którego wdarł się bez pytania. Wstrzymał oddech i nie drgnął nawet, aby przestraszona nie zaczęła krzyczeć.

Ku jego zdziwieniu, przyjrzała mu się spokojnie, jakby obcy człowiek grzebiący w jej bibliotece stanowił dla niej rzecz najzupełniej powszednią.

- Jeśli szukasz brandy, którą mój siostrzeniec przywiózł z Londynu, to wybrałeś złe miejsce, młody człowieku - powiedziała głosem tak ciekim i suchym jak jesienny liść.

Nie znajdując odpowiedzi na to zdumiewające stwierdzenie, Yves odetchnął powoli i patrzył, jak staruszka zbliża się do niego, szurając kapciami.

- Ten sknera myśli, że jest taki sprytny - mruknęła. - Mnie daje pomyje, których nie wypłyby marynarz na statku do Indii, a co lepsze chowa w miejscu, którego, jak sądzi, nikt nie zna. - Zachichotała. - Ale ja przyjechałam tu z Devonshire jako panna młoda prawie sześćdziesiąt lat temu i znam wszystkie sekretne miejsca w tym domu. Patrz tylko, chłopcze. - Mrugnęła do niego. - Pokażę ci coś, na co wybałuszysz oczy.

Yves uśmiechnął się do staruszki przyjacielsko i zbliżył o krok. Biedaczka była najwyraźniej równie szalona jak pensjonariusze niesławnego szpitala St. Mary of Bethlehem, ale sprawiała wrażenie nieszkodliwej.

Patrzył, jak ujmuje jedną z ozdobnych gałek

przy obmurowaniu kominka, a gdy mocno ją przekęciła, odsunęła się jedna z płyt boazerii, ukazując wnękę z czterema głębokimi półkami. Na najwyższej stała kryształowa karafka z brandy, w połowie pełna, a obok kieliszek.

Yves zamrugął oczami i spojrział znowu. Na niższej półce, ładnie ułożone w trzech stosach, leżały jakieś papiery, z których część sprawiała wrażenie urzędowych dokumentów. Serce waliło mu jak młotem, gdy przepełniony głębokim szacunkiem wykonywał znak krzyża.

Wydawało się, że jego anioł stróż jednak o nim nie zapomniał. O ile się bowiem nie mylił, miał przed sobą skrytkę, w której hrabia Fairborne ukrywał przed resztą świata swoje czarne sekrety.

16

Staruszka sięgnęła po karafkę, ale Yves powstrzymał jej dłoń.

- Pozwól, milady. Piękna kobieta nie powinna nigdy sama sobie usługiwać.

- To mi dopiero grzeczny kawaler. - Zachichotała kokieteryjnie. - Ale nalej mi tylko troszeczkę. Lepiej, żeby mój kutwiący siostrzeniec nie zauważył, że popijam jego francuską brandy. Potrafi być nieprzyjemny, kiedy mu się wejdzie w drogę, a zwłaszcza wtedy, gdy sam nie wyleje za kołnierz.

Yves nalał jej nieco brandy, którą wychyliła jednym haustem. Potem wydobyła z rękawa chusteczkę i wytarła kieliszek do sucha.

- No, teraz nic a nic się nie domyśli. Przepraszam, że nie mogę cię poczęstować, kawalerze, ale sam widzisz, jak tu jest.

- W rzeczy samej, milady.

Chciała przekreślić gałkę, ale Yves znowu ją powstrzymał.

- Ja się tym zajmę. Musi pani oszczędzać swe delikatne rączki.

- Ależ z ciebie słodki chłopiec. I przystojny. Zawsze lubiłam ciemnych mężczyzn. - Westchnęła. - Gdybyś był o dwadzieścia lat starszy, a ja o tyleż

młodsza... - Uśmiechnęła się nieśmiało, ujawniając braki w uzębieniu. - Ale pozwolę ci ucałować mą dłoń, jeśli chcesz.

Yves poczuł dziwne porozumienie z tą zbikowaną staruszką, prawdopodobnie źle traktowaną przez swego chciwego ciotecznego wnuka. Uniósł jej kościstą dłoń do ust i przytrzymał dłużej, niż było to właściwe.

- Niecnota! - przekomarzała się, mrugając porozumiewawczo. - Jeśli przyszedłeś po jakieś papiery mojego siostrzeńca, bierz, co chcesz. Nic mnie bardziej nie ucieszy jak to, że ktoś zechce narobić mu kłopotów.

- Mogę to zrobić - odparł Yves i mrugnął do niej w odpowiedzi. Odczekał, aż szurając wyjdzie z pokoju, zamknął za nią drzwi i zabrał się do przeglądania zawartości skrytki. Papiery po lewej wszystkie wyglądały na dokumenty urzędowe; jednym z nich był akt własności londyńskiej rezydencji hrabiego wydany jego dziadkowi jakieś pięćdziesiąt lat temu.

Środkowy stos składał się z listów i liścików, z których wiele napisała swym raczej dziecinnym charakterem pisma Jacqueline Esquare. Hrabia był najwyraźniej zakochany po uszy w tej francuskiej kurtyzanie.

Po prawej stronie leżały tylko dwa dokumenty, ale na ich widok Yves wydał okrzyk radości. Były to dwie przepustki pozwalające przekraczać francuskie linie, wydane na nazwisko Fairborne. Jedną podpisał Józef Fouchet, minister policji, na drugiej zaś widniał charakterystyczny podpis Napoleona Bonaparte, byłego cesarza Francji.

Yves bez zastanowienia złożył je starannie, wsunął do kieszeni i przekręcając gałkę, zamknął skrytkę. Nie minęło pięć minut, gdy powiadamiał Jacoba o swoim cudownym znalezisku, a po chwili pędził już do Barton House i Rachel, mając świadomość, że nareszcie będzie mógł decydować o swej przyszłości.

Hrabia Fairborne był pijany. Rachel popełniła błąd, proponując mu kieliszek słynnego domowego wina pani Partridge, co spowodowało, że przestał interesować się jedzeniem, a skoncentrował na winiarskich talentach gospodyni. Tylko że zamiast zasnąć z głową w talerzu, jak to zdarzało się Jacobowi, gdy spożył zbyt wiele mocnego wina, hrabia, im więcej pił, tym bardziej stawał się pobudliwy.

Z człowieka, który błagał o prawo do złożenia kornych przeprosin za swe pożałowania godne zachowanie, szybko zmienił się w zarozumiałego aroganta pewnego, że gdyby tylko zechciał kiwnąć palcem, natychmiast z powrotem oczaruje Rachel. Gdy ukazało się dno butelki, widać było jasno, że zdążył już sam siebie przekonać, iż i dziewczyna i jej fortuna są na jego rozkazy.

Jakże bardzo pragnęła powiedzieć mu prawdę: że jest ostatnim człowiekiem na ziemi, którego skłonna byłaby poślubić. Z jakąż przyjemnością nazwałaby go zdrajcą i wyrachowanym mordercą. Jednak milczała rozsądnie i obserwowała, jak wskazówki zegara nad kominkiem powoli przesuwają się, by wskazać wpół do czwartej, kiedy to Yves przybę-

dzie do Barton House i w jakiś sposób rozprawi się z hrabią.

Druga... w pół do trzeciej... trzecia. Rachel miała wrażenie, że serce jej zamiera wraz z upływem czasu... a Fairborne gadał, gadał i gadał. O czym? Nie miała najmniejszego pojęcia. Dawno już przestała go słuchać.

Zegar nad kominkiem znowu wybił godzinę. A więc nadszedł już czas... a jej obrońca się nie pojawiał. Po upływie następnych piętnastu minut także go nie było. Musiało zdarzyć się coś nieprzewidzianego; Yves już tu powinien być być. Starała się opanować rosnącą panikę... co nie okazało się łatwe na oczach Mary i pani Partridge, które zaniepokojone stały w drzwiach. Najwyraźniej coś było nie tak z jej „prostym planem”.

- Musimy zdecydować, jak będziemy postępować, droga panno - powiedział Fairborne niewyraźnie. - Trzeba umówić się z pastorem, żeby zaczął odczytywać zapowiedzi w tę niedzielę. - Sięgnął przez stół i chwycił ją za rękę. Na jego czerwonej od wypitego alkoholu twarzy widniał triumfujący uśmiech. Rachel nagle zrozumiała, że pijany głupiec uznał jej milczenie za zgodę na jego propozycje.

Wyrwała mu dłoń, czując obrzydzenie na myśl, że ręka jego zbrukana jest ludzką krwią. Nie mogła już dłużej czekać; musi sama poradzić sobie z tym nikczemnikiem.

- Co to za bzdura o czytaniu zapowiedzi? - zapytała. - Skąd przyszedł panu do głowy taki szalony pomysł?

- Ach, moja ukochana, jesteśmy jak zwykle jed-

nomyślni. - Fairborne czknał. - To bardzo sprzyjające; zgadzam się z tobą: powinniśmy po prostu uciec razem.

- Uciec? - Rachel wstała i rzuciła serwetkę na stół. - Masz pan nie po kolei w głowie, jeśli chociaż przez chwilę wierzyłeś, że zechcę cię poślubić.

Hrabia odsunął krzesło i wstał... Wcale się nie zataczał, chociaż wypił tak wiele.

- Ależ o tym właśnie mówiłem przez ostatnie dwie godziny.

- Nie przypominam sobie ani słowa z tego, co pan tu bąbał.

- I naturalnie uznałem twoje milczenie za znak zgody... - Czknął znowu.

- Gdyby nie był pan tak sobą zaabsorbowany, milordzie, uznałby pan moje milczenie za to, czym jest... kompletny brak zainteresowania.

- Żartujesz, oczywiście. - Błyskawicznie jak kot Fairborne obszedł stół i chwycił stalowymi palcami ramiona Rachel. - Chcesz odpłacić mi pięknym za nadobne, moja miła? Proszę bardzo, pozwalam ci na to. Ale po namyśle stwierdzam, że najlepiej będzie, jeśli uciekniemy razem. Miłosna niecierpliwość nie pozwala mi czekać jeszcze przez trzy tygodnie na to, by uczynić cię moją.

Rachel zgrzytnęła zębami. Sytuacja coraz bardziej się pogarszała. Cokolwiek powie, nie przeniknie to do pijanego umysłu Fairborne'a. W rozpacz rzuciła:

- Proszę przestać opowiadać te bajki o ślubie, hrabio Fairborne. Jeśli chcesz wiedzieć, jestem już zaręczona z innym.

Zbyt późno zdała sobie sprawę, że dołała jeszcze oliwy do ognia. Zaczerwieniona twarz hrabiego wykrzywiła się gniewnie, a jego palce z całej siły wbiły się w jej ramiona.

- Kim on jest? Kiedy się to odbyło? - warknął.

- Zaręczyny odbyły się niedawno, a on nie jest nikim, kogo byś znalazł.

- Jak się nazywa, panienko? - Fairborne potrząsał nią jak szmacianą lalką. - Chcę wiedzieć, co mam wypisać na jego nagrobku.

- To... to miejscowy farmer - szepnęła Rachel sparaliżowana lękiem o siebie, ale także i o Yves'a. Gniew zdawał się otrzeźwić Fairborne'a, ale pijany czy trzeźwy był jak wściekły pies i rozumne argumenty nie trafiały mu do przekonania.

- Wolisz kmiotka z brudem za paznokciami ode mnie, para królestwa? Nigdy bym nie uwierzył, że możesz być taka głupia. - Gniewnie zmrużył oczy. - Ale nie martw się tym, że nie potrafiisz właściwie oceniać ludzi, moja droga. Zdecydowałem bowiem chronić cię przed twoją własną głupotą. Na szczęście stąd nie jest tak daleko do granicy Szkocji, a gdy już zostaniemy mężem i żoną, ja będę za ciebie myślał.

Rachel wiedziała, że nie ma co nawet próbować mu się wyrwać. Nie miała szans w walce z tak dużym mężczyzną. Jedyne, co mogła zrobić, to postarać się go przechytryć. Chyba że... kątem oka dostrzegła nożyk leżący obok półmiska z pieczonym kurczakiem. Już raz uzbroiła się w nóż przeciwko napastnikowi, teraz uczyni to samo. Wtedy będzie miała przynajmniej cień szansy na obronę.

- Chęć zdobycia mojego majątku pomieszała ci umysł, milordzie - powiedziała z niesmakiem. - Nawet w Gretna Green będę musiała wyrazić zgodę na zawarcie małżeństwa, a tego nie uczynię nigdy.

- Ależ uczynisz to, moja droga. Do perfekcji opanowałem sztukę perswazji, jak się o tym wkrótce przekonasz, jeśli będziesz upierać się przy stawianiu mi oporu. - Mówiąc to, puścił jej ramiona, cofnął się o krok i rozpiął tużurek, ukazując zatknięty za pas rewolwer, zupełnie taki, jaki miał jej ojciec.

Rachel popatrzyła na broń, a potem podniosła wzrok i spojrzała hrabiemu w oczy.

- Jeśli grozisz mi śmiercią, to daremne twoje wysiłki, milordzie. Nawet ty nie możesz być tak głupi, żeby sądzić, iż zabiwszy mnie, ujrzysz choćby pensa z mojego majątku. - Dziwiła się, że mówi tak spokojnym głosem, gdy ręce jej drżały, a w uszach niczym krople deszczu o blaszany dach łomotał puls.

- Nie spadnie ci nawet jeden włos z głowy, moja najdroższa - powiedział powoli Fairborne. - Ale na pewno zdajesz sobie sprawę, że od pół godziny mamy widownię... a nic nie powstrzyma mnie przed posłaniem kuli w serce jednej z twych wierznych sług. - Mówiąc to chwycił pistolet, odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

Na krótką chwilę Rachel zamarła. Zaraz jednak, nie zwracając uwagi na przerażony krzyk Mary, porwała ze stołu nożyk i wsunęła do kieszeni sukni. Potem podbiegła do hrabiego, wołając:

- Zatrzymaj się! Nie rób im krzywdy! Pojadę z tobą.

- Tak też myślałem. Jednak, aby zapewnić sobie twoją przychylność także w Gretna Green, zabiorę z nami jedną z nich. - Fairborne namyślał się, marszcząc brwi. - Ale którą, starą czy młodą?

Pani Partridge, blada jak ściana, zrobiła krok na przód.

- Ja pojadę. Pani Tucker jest przy nadziei i droga może zaszkodzić dziecku.

Fairborne popatrzył na Mary i na jego twarzy pojawił się błysk rozpoznania.

- Na Jowisza, czyż to nie ta dziwka, która uwiodła mojego lokaja, żeby pomóc w ucieczce swojej pani? To wystarczy. - Wściekłość karykaturalnie zniekształciła jego rysy. - Będziesz świadkiem na naszym ślubie.

- Nie rób tego, milordzie - błagała Rachel. - Powiedziałam, że z tobą pojadę.

- To prawda. Uświadomiłaś mi jednak, że bez twojej współpracy ślub się nie odbędzie. Staram się więc zabezpieczyć. - W głosie hrabiego zabrzmiała niezawołowana groźba. - Poza tym mam z tą dziewczynką rachunki do wyrównania... z jej głupim kochankiem sprawa już zamknięta.

- A ja mam sprawę do ciebie, monsieur.

Rachel natychmiast rozpoznała głos przyjaciela Yves'a, Philippe de Maret. Osłabła z ulgi odwróciła się, by ujrzeć przystojnego Francuza z pistoletem w dłoni, stojącego w drzwiach prowadzących do kuchni. Za późno jednak zdała sobie sprawę, że znajduje się między nim a hrabią i przez to markiz

nie może widzieć pistoletu hrabiego ani też wiedzieć, że kurek jest odwiedziony, a broń gotowa do strzału.

- Uwaga! On ma broń! - krzyknęła. W tym samym momencie Fairborne odepchnął ją i wystrzelił. Mary krzyknęła, pani Partridge zemdlała, a Philippe de Maret osunął się na podłogę z raną od kuli powyżej lewej brwi.

- Wielki Boże! Coś pan uczynił! - jęknęła Rachel.

- Nic poważnego. Uwolniłem świat od jeszcze jednego głupiego Francuza, który popełnił błąd, grożąc mi - odparł hrabia beznamiętnie.

Chora z przerażenia Rachel ruszyła w stronę leżącego bezwładnie markiza, ale stalowe palce chwyciły ją za ramię i odwróciły w przeciwnym kierunku.

- Do karety, jeśli łaska, moja miła. Mamy przed sobą długą drogę. - Machnął pistoletem w stronę Mary. - Ty też. Idź przed nami, a jeśli nie znasz się na broni, wiedz, że muszę tylko odbezpieczyć ten pistolet, żeby z niego znowu wystrzelić.

- Puszczaj mnie, łotrze! - krzyknęła Rachel, bezskutecznie próbując się wyrwać. - Muszę ratować tego nieszczęsnego człowieka.

- Strata czasu. Markiz de Brune sam umrze bez twojej pomocy.

- A więc zawieszysz na szubienicy za morderstwo.

- Bzdura. Jestem angielskim szlachcicem. Wystarczy, że powiem, iż musiałem się bronić przed tym zwariowanym buntownikiem, i zostanę uwolniony od wszelkich zarzutów - odparł Fairborne

i szarpnięciem zmusił ją do marszu. - Ciekawi mnie tylko, jak trafił do twojego domu.

Instykt nakazał Rachel udawać, że nie zna wcale markiza i nie ujawniać udziału Yves'a w intrydze przeciwko hrabiemu. Z wysiłkiem zdobyła się na obojętne wzruszenie ramionami.

- Kimkolwiek jest, nie miał najmniejszych trudności z dostaniem się do środka. Nigdy nie zamykamy na klucz drzwi do Barton House.

- Ale był sam. Znam go i trudno mi uwierzyć, że przyjechał za mną do Yorkshire bez swojego przyjaciela hrabiego de Rochemont. - Zacisnął mocniej palce na ramieniu Rachel. - Mam wrażenie, że wiesz znacznie więcej, niż jesteś skłonna przyznać, moja panno.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi - rzekła Rachel. - Pamiętam, że był w Londynie jakiś Francuz, którego pan nie lubił, ale tutaj, w Yorkshire, cudzoziemcy pojawiają się bardzo rzadko.

Wstrzymała oddech, bojąc się, że przesadziła. Ku jej uldze jednakże hrabia przyjął chyba te wyjaśnienia za dobrą monetę. Wsiadł do karety tuż za plecami jej i Mary, usiadł naprzeciwko, postukał w dach i nakazał woźnicy bez zwłoki ruszać na północ, do Szkocji.

Pokojówka była przerażona i Rachel przypuszczała, że lękała się, jak też hrabia zechce „wyrównać rachunki”. Dla dodania Mary otuchy mogła tylko ukradkiem uścisnąć jej dłoń. Dziewczyna nie była głupia. Zdawała sobie sprawę, że dopóki hrabia trzyma w ręku naładowany pistolet, ma nad nimi przewagę.

Do tej chwili Rachel nie uwierzyłaby, że można tak nienawidzić drugiej istoty ludzkiej, by w głębi serca pragnąć jej śmierci. Jednak zamordowanie markiza zniszczyło resztki współczucia, jakie mogła żywić do człowieka, którego jeszcze niedawno nazywała swoim przyjacielem.

Wreszcie udało jej się zrozumieć, dlaczego Yves nie potrafił wyrzec się myśli o zemście. Pod maską uprzejmości i wdzięku, którą Fairborne tak dobrze umiał nosić, krył się groźny drapieżnik, który będzie zabijał, aż nie znajdzie się ktoś, kto go przed tym powstrzyma.

Wiedziała, że Yves wyruszy za nimi, jeśli trzeba, to i do samej Szkocji, aby wyratować ją ze szponów potwora. Tym razem nic nie przeszkodzi spotkaniu tych dwóch mężczyzn w klasycznym pojedynku dobra ze złem.

Modliła się w duchu, by dobro zwyciężyło. Nie należała jednak do osób, które pozwalają, aby o jej losach decydował przypadek. Dyskretnie pomacała mały, ale ostry nóż ukryty w kieszeni sukni. Do granicy Szkocji jest jeszcze dosyć daleko... a nawet sam diabeł nie zdoła zachować czujności przez tak długi czas.

Droga z majątku Ostranderów do Barton House dłużyła się w nieskończoność, głównie z powodu mizernych umiejętności jeździeckich Jacoba. Yves miał już nadzieję, że nieszczęśnik wreszcie opanował sztukę utrzymywania się w siodle, gdy jego koń przestraszył się kota przebiegającego w poprzek drogi. Jacob poleciał w jedną stronę, jego okulary

w drugą, a Yves musiał gonić konia, podczas gdy nadzorca przedzalni pełzał na czworakach, przeszukując wysoką trawę rosnącą przy drodze. Po dziesięciu minutach posiniaczony nieszczęśnik z powrotem dosiadł niespokojnej klaczy... ale bez okularów. Rozbiły się na drobne kawałki.

Jeśli cierpliwość jest cnotą, to Yves z pewnością zapracował sobie na miejsce w niebie, opiekując się tym niezdarą. W końcu, godzinę później niż mieli się pojawić, ujrzał wysokie kominy Barton House i z ulgą pomyślał, że jest tam Philippe, który strzegł Rachel podczas jego przedłużającej się nieobecności.

Mimo że byli spóźnieni, nie odważyli się podjechać szeroką, wysadzaną drzewami aleją do drzwi frontowych, żeby hrabia nie domyślił się ich przybycia. Jacob wskazywał drogę i w ciągu następnym dziesięciu minut przedostali się pod Barton House, jadąc obok magazynów z wełną, przez dziedziniec przedzalni i obok bukowej alei. Zostawili konie w stajni i podeszli do domu przez ogród warzywny.

Popołudniowe słońce chyliło się już ku zachodowi, ale wciąż jeszcze świeciło jasno. Na chwilę oślepiło więc Yves'a, gdy wchodził do kuchni. Za jego plecami Jacob mruknął:

- Nic nie widzę bez okularów... ale coś jest nie tak.

- Co masz na myśli? - Yves rozejrzał się po nieskazitelnie czystej kuchni.

- O tej porze dnia powinno pachnieć tu świeżo upieczonym chlebem i duszonym na kuchni mięsem. - Ja-

cob skrzywił się. - Gdzie jest pani Partridge? Powinna przygotowywać kolację.

- Dziwnie tu spokojnie - zgodził się Yves i natychmiast potknął się o wiadro stojące na środku podłogi. Hałas rozległ się po całej kuchni, a po nim dało się słyszeć rozbudowane francuskie przekleństwo, gdy Yves pochylał się i podnosił kłopotliwy przedmiot.

- Co to jest, do diaska? - zawołał, widząc jego zawartość.

Jacob popatrzył mu przez ramię, mrużąc oczy.

- Wygląda jak kawałek szmaty. Wielki Boże, cała jest we krwi. Ktoś został poważnie zraniony.

Z wielką starannością Yves postawił wiadro obok dużego dębowego stołu, wydobył z pochwy swój wierny nóż i powoli otworzył drzwi prowadzące do hallu. Nikogo tam nie było, ale usłyszał stłumiony męski głos dobiegający z małego saloniku i coś, co brzmiało bardzo podobnie do kobiecych łkań.

Z bijącym sercem gestem nakazał Jacobowi się cofnąć i bezszelestnie podszedł do drzwi saloniku.

- Jeśli Fairborne ośmielił się choćby dotknąć Rachel, zabiję go, a potem niech go sobie deportują - mruknął pod nosem.

Jeden rzut oka powiedział mu, że dziewczyny w saloniku nie ma, a cicho łkającą w chusteczkę kobietą jest pani Partridge.

Drugi rzut oka sprawił, że zatrzymał się jak wryty. Ktoś noszący parę znajomych, ozdobionych srebrnymi chwastami butów do jazdy konnej leżał na sofie wsparty na dwóch poduszkach. Na głowie

miął poplamiony krwią bandaż. Obok niego stał ogromnej postury mężczyzna o jaskraworudych włosach i okrągłej, młodzieńczej, gęsto pokrytej jasnymi piegami twarzy.

- Przestań stać tu nade mną jak anioł śmierci, ty wielki niezdaro. Idź szukać Yves'a St. Armanda - łąjał owego osobnika ranny rozdrażnionym głosem, który mógł należeć tylko do markiza de Brune.

- Co się tutaj dzieje, do diabła? - zapytał Yves, wchodząc przez otwarte drzwi. - Gdzie Rachel?

- Yves! Jesteś nareszcie, dzięki Bogu. - Philippe usiadł z wysiłkiem i popatrzył na niego jednym okiem. Drugie ukryte było pod bandażem, który był tylko trochę bielszy od jego twarzy.

Zaskoczony, Yves patrzył na swego rannego przyjaciela.

- Jak to się zdażyło stać w ciągu trzech godzin mojej nieobecności? I gdzie jest Rachel?

- Ze wstydem przyznaję, że Fairborne zdołał mnie zaskoczyć - powiedział Philippe ponuro, opadając na poduszki. - Na szczęście tylko mnie drasnął, zamiast posłać mi kulę w głowę. - Wskazał na rudowłosego osiłka. - A to jest nowy policjant przydzielony do śledzenia hrabiego.

- Daniel Monahan do usług, sir - powiedział śledczy. - Niestety przybyłem za późno, aby móc w czymkolwiek pomóc.

- Powiedzieliście mi wszystko poza tym, co najbardziej chciałbym wiedzieć. - Yves poczuł, że ścisnął mu się żołądek.

- Odjechała - jęknęła pani Partridge. - Hrabia za-

brał ją swoją karetą razem z Mary. Panna Rachel nie miała wyboru, bo hrabia przystawił Mary pistolet do głowy.

Yves usłyszał, że Jacob wydał z siebie jęk rozpaczy, i zawtórował mu w duszy. Jak mogło się to stać? Philippe nie był nowicjuszem i nie powinien był dać się przechytrzyć komuś takiemu jak hrabia Fairborne. Yves chciał krzyczeć, coś stłuc, uderzyć kogoś... chwycić Philippe'a za szyję i udusić go za to, że nie potrafił ochronić kobiety którą on, Yves, kocha.

Kobiety, którą kocha. Wstrząs, jaki odczuł, zdając sobie sprawę z ogromu swoich uczuć do Rachel, był prawie tak wielki jak ten, którego doznał, dowiedziawszy się, że Rachel znowu znalazła się w szponach Fairborne'a. To otrzeźwiło go natychmiast. W swoim życiu pokochał tylko dwie kobiety. Hrabia Fairborne odebrał mu jedną z nich; nie pozwolił temu łotrowi skrzywdzić drugiej. Niemiłe ssanie w żołądku powiedziało mu, że gdyby wczoraj zdał sobie sprawę ze swych uczuć, przenigdy nie zgodziłby się wprowadzać w życie „prostego planu” Rachel.

Nie była jednak to pora na gorzkie rozważania.

- Niech pani się dobrze zastanowi, pani Partridge - powiedział cicho. - Czy domyśla się pani, dokąd on mógł je zabrać?

- Tak, panie. Do Szkocji. Do miejscowości zwanej Gretna Green. To tuż za granicą. Słyszałam, jak groził, że zabije Mary, jeśli Rachel nie zgodzi się go poślubić. - Pani Partridge załkała. - Widać było, że nie żartuje.

- Jak dawno odjechali? - Jacob wysunął się naprzód.

- Mniej więcej godzinę temu. - Gospodyni wytarła nos w chusteczkę. - Hrabia miał swą ciężką karetkę podróżną i cztery konie, które wyglądały na bardzo silne.

- Wątpię, żeby były równie szybkie jak mój watach. - Yves wziął głęboki wdech.

- Pojadę z panem, sir, jeśli znajdę świeżego konia - zaofiarował się policjant. - Mój jest już bardzo zmęczony.

- Panna Barton ma oprócz swojej ulubionej klaczy jeszcze dwa konie. - Jacob zmarszczył brwi. - Ja wezmę klacz, jak tylko znajdę w kantorku moje zapasowe okulary.

- Nie pojedzie pan ze mną - zaprotestował Yves. - Nie nadaży pan. - Popatrzył na śledczego. - Na pana też nie będę czekał, Monahan.

- Jeszcze się okaże, że to pan za mną nie nadaży - parsknął policjant. - Gdzie są te dwa konie?

- W stajni na tyłach domu - powiedział Jacob. - Ale wątpię, żeby poradził pan sobie z którymkolwiek z nich. Oba są bardzo narowiste, bo panna Barton kupiła je, gdy się dowiedziała, że właściciel bardzo źle je traktuje.

- Urodziłem się w Anglii, ale w moich żyłach płynie irlandzka krew. Co więcej, jestem synem Jocka Monahana, który prowadzi hodowlę koni markiza Haversham. Nie ma wierzchowca, którego nie potrafiłbym dosiąść - stwierdził stanowczo śledczy. - Poza tym posiadam prywatne powody, dla których chcę, aby sprawiedliwości stało się zadość, i sędzę,

że mamy dosyć dowodów, żeby zabrać tego diabła do Londynu, gdzie zapłaci za swoje grzechy.

Yves poklepał się po kieszeni na piersiach.

- Mam tu coś, co mu to zapewni - powiedział, przypominając sobie, że zamordowany w Dover policjant także nosił nazwisko Monahan.

Spojrzał wymownie na Philippe'a.

- Wydaje się, że hrabia Fairborne wkrótce zapłaci za *wszystkie* swoje grzechy.

Wydawało się, że jada w nieskończoność. Zmrok zamienił się w noc i przez jakiś czas Rachel widziała na zewnątrz karety wyłącznie atramentową czerń przerywaną tylko czasem przez światełko jakiegoś odległego domostwa. W końcu pokazał się księżyc, zalewając okolicę swym niesamowitym srebrzystym blaskiem.

Wewnątrz karety, przez kontrast, było bardzo widno, bo hrabia zapalił obie lampy, jak tylko opuścili Barton House.

- Żeby cię lepiej widzieć, moja droga - powiedział, jakby chciał dać jej do zrozumienia, iż zdaje sobie sprawę z jej zamiarów. Nie wypuszczając z ręki pistoletu, rozsiadł się wygodnie i zachęcił Rachel, aby „odprężyła się i cieszyła przejażdżką” dokładnie tak samo jak wtedy, gdy w słoneczne popołudnie wyruszyli na spacer kareta po Hyde Parku.

- Domyślam się, że uważasz, iż postąpiłem z wami zbyt surowo - zaczął gładko. - Ale za jakiś czas zrozumiesz, że robię to tylko dla twojego dobra. Co ma ci do zaoferowania farmer poza kupą brudnych dzieciaków, nie lepszych od ciebie samej? Mimo twoich licznych braków nadal pragnę uczynić cię moją żoną... to zaszczyt, za który każda kobieta

z twojej sfery powinna być głęboko wdzięczna.

Rachel usłyszała, że Mary zachnęła się z oburzenia, słysząc te słowa, ale zachowała uporczywe milczenie, wyrażając swe uczucia gniewnym wzrokiem.

- Mam też dla ciebie drobną radę - ciągnął hrabia. - Nie próbuj skarżyć się tamtejszemu sędziemu, że zostałaś zmuszona do ślubu wbrew swojej woli. Znam go od czasu, gdy jako młody chłopiec odwiedzałem moją ciotkę, i zgadzamy się obaj, że kobiety nie powinny przekraczać granic, które społeczeństwo wyznaczyło im w swojej mądrości. Prawdę mówiąc, wymieniłem twoje nazwisko jako przykład takiej osoby, gdy ostatni raz podejmował mnie obiadem.

Rachel poczuła narastające przygnębienie. Widać było jasno, że jeśli w obronie swojej cnoty i życia Mary zatopi nóż w ciele tej bestii z piekła rodem, nie może oczekiwać zrozumienia w okolicznych sądach. Yves wiedział, co mówi, kiedy utrzymywał, że plebejuszka, a w dodatku kobieta, nie ma szans w walce ze szlachcicem.

Jednak uczyni to, jeśli Yves ich nie dogoni, zanim dotrą do granicy Szkocji. Nie podda się hrabiemu jak owca idąca na rzeź. A potem, jeśli Yves nie zdołał znaleźć pisemnych dowodów zdrady wymaganych przez Whitehall, to ona będzie musiała uciekać do Ameryki.

- A niech to diabli! - gniewny głos Fairborne'a przerwał jej rozważania. Przez chwilę nie rozumiała, co go rozzłościło, aż wreszcie zauważyła, że kareta zwalnia.

- Hej! Woźnica! - Fairborne postukał w klapę

w dachu karety lufą pistoletu. - Co tam się dzieje?

- To rozbójnicy, milordzie. - Woźnica uniósł kłapę. - Po głosach sądząc, jest ich dwóch.

- A więc dlaczego zwalniasz, głupcze? Uciekaj im!

- I dostanę kulę w łeb? Nic z tego, milordzie! W Londynie czeka na mnie żona i dwoje dzieci. Kłapa zatrzasnęła się, a kareta powoli skręciła i zatrzymała się na poboczu.

Rachel chwyciła nóż. Teraz mogła nadarzyć się okazja, o którą się modliła, chociaż nie mógł to być Yves i jego przyjaciel, skoro widziała, jak zabito nieszczęsnego markiza. Jednak woli raczej przyłączyć się do „rycerzy gościńca”, niż doświadczyć tego, co Fairborne szykował jej i Mary.

- Hej, wy tam, wyłazić z karety!

Serce Rachel zamarło na chwilę. To był Yves. Rozpoznałaby jego głos wszędzie. Niewiele brakowało, a z ulgi roześmiałaby się głośno. Jednak rzut oka na twarz hrabiego powiedział jej, że ten nie podda się łatwo.

- Uważajcie! - zawołała. - Ma broń! - I modliła się, by jej ostrzeżenie przydało się bardziej Yvesowi, niż miało to miejsce w przypadku jego nieszczęsnego przyjaciela.

Hrabia zmiażdżył ją morderczym spojrzeniem.

- Znasz tych ludzi?

- Nie, ale kimkolwiek są, wolę ich od ciebie.

- Masz panna ostry język... z przyjemnością poskromię cię, gdy już będziemy po ślubie. - Odbezpieczył pistolet i zgasił latarnie w karecie. - No cóż, zobaczymy, czego chce ten szubienicznik, bo może się to okazać jego ostatnim życzeniem.

Rachel zadrżała, bojąc się bardziej o Yves'a niż o siebie. Jednak blask księżyca wpadający przez okno wyraźnie oświetlił pistolet, z którego Fairborne do niej mierzył. Wiedziała, że w tej chwili nie ma szans na skuteczne użycie noża.

- Wybacz mój brak manier, skarbie. Jednak z powodu nieprzewidzianych okoliczności obawiam się, że będziesz musiała wysiąść przede mną i zejść po schodach karety bez mojej pomocy. - Machnął bronią w stronę Mary. - Ty zostajesz tutaj i masz siedzieć cicho, chyba że chcesz, aby twoją panią spotkał taki sam los jak tego Francuza w Barton House. - W półmroku panującym w karecie głos hrabiego brzmiał dziwnie bezosobowo... był gładki, ugrzecznony i przerażający. Rachel walczyła z pragnieniem, by krzyknąć.

Odsunął zasuwkę i kopnięciem otworzył drzwi.

- No, jazda, i uważaj, jak idziesz.

Rachel poczuła, że Mary się porusza.

- Niech panienka go posłucha - szepnęła, a potem szybko odsunęła się w drugi kąt siedzenia.

- Wychodzę pierwsza - zawołała Rachel nieoczekiwanie ochrypłym głosem, a potem ostrożnie zeszła po schodkach karety, mając tuż za plecami hrabiego.

W blasku księżyca i zewnętrznych latarni karety było prawie tak widno jak w dzień.

Rachel ujrzała Yves'a i jakiegoś drugiego, nieznanego jej mężczyznę. Obaj siedzieli na koniach w odległości jakichś sześciu metrów od siebie. Światło połyskiwało na lufach ich pistoletów, a ich konie parskały i przebierały nogami, podniecone po długim biegu.

Usłyszała, jak hrabia klnie pod nosem.

- To ty! - zawołał, rozpoznawszy Yves'a. - Powiniennem był wiedzieć!

Yves nie zareagował na gniewne słowa hrabiego.

- Nic pani nie jest? - zapytał Rachel.

- Nic - odpowiedziała, chociaż widać było wyraźnie, że Fairborne wbija jej pistolet w plecy. Yves'a ogarnęła wściekłość. Jakie to podobne do tego tchórza chować się za plecami kobiety... i jakże to charakterystyczne, że Rachel stoi błada i sztywna ze strachu, ale jest dzielna nawet w najgorszych okolicznościach. Żaden mężczyzna nie dorównałby jej odwagą.

Fairborne przyjrzał mu się przez zmrużone powieki.

- A więc znowu się spotykamy, St. Armand. - Nazwisko zabrzmiało w jego ustach jak przekleństwo. - Od kiedy to zajmujesz się napadami na drogach?

- Od czasu, kiedy mój zaprzysięgły wróg zaczął porywać kobiety, skoro nie może już więcej sprzedawać Napoleonowi tajemnic państwowych - odparł Yves, używając rynsztokowej wersji języka francuskiego, który Fairborne opanował doskonale, załatwiając swe cuchnące interesy z hołotą paryską.

Gniewny grymas ust hrabiego powiedział Yvesowi, że obelga trafiła celu.

- Nie wyobrażam sobie człowieka o twojej reputacji w roli błędnego rycerza - odpowiedział starannym angielskim. - A była już pora na nasze spotkanie. Zabawne tylko, że nastąpiło dzięki wspólnemu antidotum z Yorkshire... ale jakże to dla ciebie żenujące, że twoja „rycerskość” pójdzie na marne.

Znajdujemy się bowiem w impasie. Mój woźnica, tak jak ja, ma pistolet, a więc jest dwóch na dwóch.

- Akurat! - stwierdził woźnica, rzucając broń na ziemię i schodząc z kozła. Wyciągnął przed siebie ręce, żeby pokazać, że jest nieuzbrojony. - Widzę, że nie jesteście żadnymi rozbójnikami, panie, a ja nie chcę mieć nic wspólnego z brudnymi sprawkami hrabiego. Do tej pory wykonywałem jego polecenia, bo zapłacił mi za powożenie kareta. Ale nie dostałem zapłaty za kulkę w głowie, więc niech mi-lord radzi sobie sam.

- Bardzo dobrze. - Yves kiwnął głową. - Pilnuj więc koni, żeby w żadnym wypadku nie zerwały się do biegu.

Odwrócił głowę i przyjrzał się nikkzemnikowi, którego ścigał przez trzy lata.

- Zostałeś teraz sam, a jednym z nas dwóch jest policjant, więc chyba zyskaliśmy przewagę.

- Tylko jeśli zechcecie poświęcić kobietę, którą mieliście zamiar uratować - odparł Fairborne drwiąco.

- Wypuść ją, a przekonam śledczego, żeby nie zabił cię na miejscu, na co ma wielką ochotę, bo to brat człowieka, którego zamordowałeś w Dover.

Hrabia na chwilę stracił rezon. Rzucił niepewne spojrzenie na Daniela Monahana, którego postać rysowała się w świetle jednej z latarni karety.

- A cóż ta niepiękna plebejuszka może mieć wspólnego z naszymi sprawami, St. Armand?

- Nic a nic - warknął Yves. - Nawet jej nie znam. Ale jako mężczyzna ogólnie ceniący sobie kobiety mam skłonność do ratowania ich ze szponów sług diabła.

Yves zauważył, że słysząc te słowa Rachel przeżyła wstrząs, i modlił się, żeby pojęła jego intencje. Uśmiech, który na chwilę pojawił się na ustach dziewczyny, powiedział mu, że zrozumiała, o co mu chodziło.

- Daj spokój, St. Armand, nie oszukasz mnie. Obaj znamy świat i pochodzimy z tej samej sfery. Jeśli uważasz, że musisz pomścić śmierć swojej kochanki, uczynź to w sposób honorowy, jak przystało szlachcicowi. Podaj dzień i miejsce, a stawię się niezawodnie. A teraz pozwól mi poślubić moją bogatą pannę.

- Nie mogę, nawet gdybym chciał, milordzie. - Yves wzruszył ramionami. - Obiecałem komuś z Whitehall, że dostarczę dowody wystarczające, by posłać cię do więzienia na resztę życia.

- Whitehall? - Hrabia rzucił ukradkowe spojrzenie na policjanta, a Yves widział, że do Fairborne'a zaczyna docierać już powaga sytuacji. Przedtem nie przyszło mu widocznie do głowy, że śledzący go ludzie nie zostali wysłani przez prywatnego wroga, lecz przez Whitehall.

- Gra skończona hrabio. - powiedział Yves. - Dzięki twej uroczej ciotce i jej zamiłowaniu do francuskiego koniaku dowody są już w moim posiadaniu.

Oczy Yves'a i Rachel spotkały się przez jedną chwilę wspólnego triumfu. Potem Yves zwrócił się do Fairborne'a:

- Ergo, moim zdaniem możesz wybierać między kulą w serce a podróżą statkiem więziennym Jego Królewskiej Mości do Ziemi van Diemena.

W ułamku sekundy wydawało się, że Fairborne maleje w jego oczach. Strach i wściekłość zmieniły jego przystojną twarz w ohydną maskę, a dłoń, która trzymała broń za plecami Rachel, zaczęła gorączkowo drżeć.

Yves przeklął swoją głupotę. Jak mógł zapomnieć, że zapędzony w pułapkę szczur jest znacznie niebezpieczniejszy od osobnika znajdującego się na wolności? Teraz Fairborne tym bardziej zechce użyć Rachel jako tarczy.

Powoli zsiadł z konia i stanął twarzą w twarz z wrogiem.

- Już nie uciekniesz, milordzie. Twoja szczęśliwa gwiazda zgasła. Jedyne, co możesz uczynić, to skrócić swe własne męki. - Urwał, żeby Fairborne miał czas na zrozumienie jego słów, a potem dodał: - Wypuść tę kobietę, ona tu nie odgrywa żadnej roli.

Przez dłuższą chwilę hrabia patrzył na niego z nienawiścią w oczach. Potem zniemacka lewą ręką objął Rachel w talii, a prawą przystawił jej pistolet do głowy.

- Chyba postawię na kulę... a raczej na twoją rycerskość, która nie pozwoli ci ryzykować życie niewinnej kobiety.

- Na szczęście ja nie mam ani kropli szlachetnej krwi w żyłach - warknął Monahan. Yves kątem oka zauważył, że policjant unosi pistolet i mierzy w głowę hrabiego.

- Stój! - krzyknął, ale Monahanowi ręka nawet nie drgnęła.

- Mogę poczekać, aż zdrajca się podda, ale nie-
długo - stwierdził lodowato. Po jego słowach nastą-

piła grobowa cisza i przez dłuższą chwilę czworo aktorów dramatu stało bez ruchu w bladym blasku jesiennego księżyca.

Potem nie wiadomo skąd dobiegł dźwięk końskich kopyt uderzających o twardą nawierzchnię drogi. Yves podniósł wzrok i natychmiast poznał, że jeźdźcem jest Jacob Zimmerman. Widać też było, że ani on, ani jego klacz nie panują nad sytuacją, pędząc prosto jak strzała w stronę Rachel i Fairborne'a.

Rezygnując z wszelkiej ostrożności, Yves rzucił się do przodu, chwycił Rachel za ramię i wciągnął za drzewo, które znajdowało się między nią a nadbiegającym koniem. Tylko przez chwilę widział wylot lufy pistoletu Fairborne'a. Z bijącym sercem przycisnął dziewczynę do pnia i osłonił własnym ciałem.

Odważył się podnieść głowę, gdy jeździec się zbliżył. Powiewając połamami surduta, z włosami stojącymi dęba na głowie, nadzorca przedzalni z całej siły wczepiał się w grzywę swojej klaczy. Na jego kredowobiałej twarzy malowała się determinacja.

- Odwagi, pani Tucker! - zawołał bohatercko. - Oto przybywam, by uratować cię ze szponów tego potwora!

Zmuszony do działania przez zbliżającego się doń coraz bardziej jeźdźca, Fairborne cofnął się o krok, wycelował i wystrzelił. W tej samej chwili rozległ się odgłos jeszcze jednego strzału. Bojowy okrzyk Jacoba zamarł w bolesnym jęku, zaś Fairborne opadł na ziemię obok przedniego koła karety.

- Prr! - krzyknął Yves i chwycił lejce, gdy klacz przebiegała obok niego, gdyż widać było, że Jacob

sam na to nie wpadnie. Posłuszna klacz Rachel zatrzymała się nagle, zaś jeździec został wyrzucony w powietrze, wykonał salto i wylądował na plecach na trawiastym pagórku opodal drogi.

Cudownym zrządzeniem losu jego okulary przetrwały bez szwanku te akrobacje. Jednak z lewego rękawa, gdzie drasnęła go kula Fairborne'a, płynęła strużka krwi.

Yves wyprostował się powoli i mocno objął Rachel. Na twarzy miała smugi brudu, a w potargane włosy wplątały się jej liście i gałązki. Wyglądała niezwykle ponętnie. Wyjął jej gałązkę z włosów, odrzucił na bok i pocałował dziewczynę z całą czułością człowieka, który zdał sobie sprawę z tego, jak bliski był utraty swego największego szczęścia.

Rachel objęła go w pasie i położyła mu głowę na ramieniu. Możliwe, że Yves jej nie kocha; słowa tego używał wyłącznie w odniesieniu do Amalii de Maret. Jednak zależało mu na niej, Rachel, na tyle, żeby ryzykować życie dla ocalenia jej przed nikczemnym hrabią. I pragnął jej. Przytulając się, czuła wyraźne tego dowody. To jej wystarczy, a nawet jest to znacznie więcej, niż oczekiwała w najśmielszych marzeniach, gdy po raz pierwszy zdała sobie sprawę ze swoich uczuć do niego.

- Co się stało? - zapytała. - Nic nie widziałam, miałam twarz wbita w pień drzewa.

Yves wyjął jej z włosów następną gałązkę i wtulił policzek w miejsce, gdzie się przed chwilą znajdowała.

- Nie jestem pewny, ale wydaje mi się, że zwyciężyliśmy. Ale oto nadchodzi Daniel Monahan i wcale nie ma zadowolonej miny, więc może się myłę.

Rachel patrzyła na policjanta zbliżającego się do nich z ponurym wyrazem twarzy. W jednej ręce miał własny pistolet, w drugim hrabiego. Z bijącym sercem wysunęła się z ramion Yves'a i stanęła obok niego.

Monahan powitał ją grzecznym skinieniem głowy, ale zwracał się wyłącznie do mężczyzny.

- Ten dureń nadzorca ma wielkie szczęście, że został ranny - ryknął. - Gdyby nie to, sam miałbym ochotę upuścić mu trochę krwi. Nadjeżdżając, ten idiota spłoszył mi konia, i zamiast trafić Fairborne'a prosto w serce, tak jak zamierzałem, przestrześliłem mu kolano.

- Mimo to Jacob jest w pewnym sensie bohaterem - uśmiechnął się Yves, mówiąc tak głośno, żeby wszyscy usłyszeli. - Byliśmy w impasie. Kto wie, w kogo zechciałby ten łotr wymierzyć swój pistolet, gdyby nasz dzielny nadzorca nie przybył na pomoc pani Tucker. - Mrugnął do Rachel, widząc, jak Mary ostrożnie schodzi po stopniach karety, a potem biegnie do powalonego bohatera, by opatrzeć mu ranę.

- No, niech wam będzie - przyznał niechętnie policjant. - Ale nadal pozostaje pytanie, co mamy zrobić z tym hultajem. - Spojrzał na pistolet, który Yves zatknął za pas. - Ty znalazłeś dowody, że jest zdrajcą. Masz więc prawo zastrzelić nikczemnika.

Rachel popatrzyła na hrabiego pojękującego nad swoim kolanem, a potem na Yves'a, który wydawał się poważnie rozważać propozycję Monahana... i poczuła, że brak jej tchu.

- Niestety - odparł smętnie Yves. - Nie mogę zastrzelić człowieka nawet tak złego jak ten, kie-

dy nie może się bronić. Nie stosuję takich metod.

- I bardzo źle. - Monahan skrzywił się. - Mój brat, gdyby żył, mógłby potwierdzić, że Fairborne zamordowałyby cię bez wahania.

- Wiem. - Yves wzruszył ramionami. - Ale między nami jest pewna różnica. Poza tym, jak powiedział lord Castlereagh, lepsza byłaby śmierć niż życie w jednej z angielskich kolonii więziennych.

- Mimo to zawsze istnieje możliwość, że ten diabeł ucieknie. - Policjant gniewnie zmarszczył brwi. - Lepiej, żeby zapłacił za swoje grzechy tu i teraz.

Rachel musiała przyznać, że śledczy ma sporo racji. Mimo to liczyła, że zwycięży zdanie Yves'a. Przynęła się do niego bliżej i poczuła, że ją obejmuje.

- Najważniejszy powód, dla którego nie mogę się zgodzić na to, co proponujesz - stwierdził Yves - to to, że taki postępek nie wzbudziłby aprobaty mojej dobrej, miłosiernej damy.

- A więc nie spieram się dłużej. Rób, jak uważasz.

- Uważam, że powinieneś przekazać Fairborne'a lokalnemu komisarzowi policji. - Yves uśmiechnął się. - I poprosić go, żeby zapewnił ci paru osiłków, którzy pomogą przewieźć zdrajcę do lorda Castlereagha wraz z tym. - Yves wyjął listy obciążające hrabiego z kieszeni i podał Monahanowi.

- Ale to ty je znalazłeś - zaprotestowała Rachel. - To ty żyłeś dniem, w którym oddasz go sprawiedliwości. To ty powinieneś triumfować w Whitehall.

- Ach, teraz zacząłem żyć dla czego innego, dzięki tobie, i nie mogę udać się do Londynu, bo mu-

szą załatwić bardzo ważną sprawę zupełnie gdzie indziej.

- W takim razie chyba nie mogę odmówić twemu żądaniu. - Policjant wzruszył ramionami. - Ostrzegam tylko, że jeśli Fairborne sprawi mi najmniejszy nawet kłopot, wsadzę mu kulę w serce.

- Czyń, co uważasz za stosowne. Masz moje błogosławieństwo.

- Ja także daję panu błogosławieństwo. - Rachel uśmiechnęła się do wielkiego rudzielca. - Będzie ono jednak bardziej praktyczne. - Sięgnęła do kieszeni i wydobyła z niej nóż, z którego nie zdążyła skorzystać.

- Nóż? - Monahan ze zdumieniem popatrzył na narzędzie, które mu wręczyła, i ryknął śmiechem. - Sądzę, sir, że gdybyśmy zostawili Fairborne'a na łasce twojej dobrej i miłosiernej damy, problem mógłby zostać lepiej rozwiązany.

- Powiniennem być się domyślić, że Rachel znajdzie jakiś sposób, aby się bronić. - Yves pokręcił głową. - Zawsze twierdziłem, że to niezwykła kobieta.

- Święta racja, sir. - Monahan otarł oczy. - Święta racja i życzę panu szczęścia, sir. Będzie panu bardzo potrzebne.

Świtało już, gdy Rachel, obwiązawszy hrabiemu kolano jego własnym krawatem, patrzyła, jak wnoszą go do jego własnej karety, którą zostanie zawieszony do wsi, a stamtąd do Londynu, gdzie zapłaci za swoje zbrodnie. Mimo jego nikkzemności musiała się nad nim litować, albowiem Yves miał rację:

śmierć była lepsza niż przyszłość czekająca hrabiego Fairborne.

- A teraz powiedz mi, co to za umówione spotkanie, na które się wybierasz, i z kim? - zapytała, gdy wraz z Yvesem obserwowali odjazd karety.

- To jest nasze wspólne umówione spotkanie z przeznaczeniem, skoro po raz kolejny ta tajemnicza siła zechciała działać na naszą korzyść. Wyraźniej niż kiedykolwiek pokazała mi sposób spełnienia mych najgorętszych marzeń, i to w chwili, gdy wydawało się to całkiem niemożliwe. - Uśmiechnął się. - A jak już mówiłem, nie należy walczyć z przeznaczeniem.

- Czy jest to jakieś nowe marzenie, czy też jedno z tych, o których wcześniej rozmawialiśmy? - zapytała Rachel, wywołując w oczach Yves'a błysk radości, który powiedział jej, że to ona właśnie jest tą, z którą pragnął dzielić owo marzenie.

- Nie chodzi tu o farmę. - Yves potrząsnął głową. - Wczoraj rano odwiedziłem twojego pastora. - Urwał, jakby chciał lepiej dobrać słów. - Wiem, że nie powinienem wyrażać się nieuprzejmie o duchownym, ale ten człowiek to nadęty głupiec bardziej troszczący się o przepisy i zasady prawne niż czynienie dobra.

- Co się stało? Odmówił czytania zapowiedzi?

- Tak właśnie. Miałem wrażenie, że moja obecność w jego kościele stanowi zbezczeszczenie świętego miejsca.

- Czy sądzisz, że księża katoliccy odnieśliby się inaczej, gdyby mieli poślubić katolika anglikance? - zapytała Rachel.

- Pewnie nie. - Czarne brwi Yves'a uniosły się lekko. - Ale nie musimy o to dbać, skoro anioły są po naszej stronie.

W jasnym świetle chłodnego poranka, z koszulą rozpiętą pod szyją i czarnym jednodniowym zarostem, wyglądał bardziej na pirata z mórz południowych niż francuskiego arystokratę. Rachel uśmiechnęła się w duchu. Pirat, który wierzy w anioły.

- Nasz pierwszy wspólny świt - powiedział Yves z zadowoleniem. - A przed nami całe życie.

Wziął Rachel w ramiona i razem podziwiali wspaniały spektakl.

- Nareszcie mogę zapomnieć o przeszłości - szepnął. - I gdzie przywiódło mnie przeznaczenie, aby mi o tym oznajmić?

- Na drogę do Gretna Green, dzięki temu hultajowi, Fairborne.

- Właśnie. Jest to miejscowość, gdzie, jak mi wiadomo, nikt nie pyta, czy jest się papistą, anglikaninem czy nawet synem Mahometa.

Rachel uśmiechnęła się, wiedząc już, gdzie ma się odbyć to ich tajemnicze umówione spotkanie.

- Z tego co wiem, aby zawrzeć tam związek małżeński, należy przeskoczyć przez kowadło.

- A ja myślałem, że to Francuzi są tacy praktyczni. Jeśli to nie jest znakiem od aniołów, że powinienem poślubić kobietę, którą kocham, to co ma nim być?

Kobietę, którą kocham. W końcu wypowiedział te słowa, choć Rachel straciła nadzieję, że kiedykolwiek je usłyszy. Jaskrawy blask wschodzącego słońca zamglił się, gdy łzy szczęścia wypełniły jej oczy. Jednak, gdy już je wypowiedział, zdała sobie spr-

wę, że są to tylko słowa. Na tysiąc różnych sposobów zdażył jej wcześniej udowodnić, jak bardzo mu na niej zależy.

Przekrzywił głowę, jakby czegoś nasłuchiwał.

- Co to jest? Co usłyszałeś?

- To tylko ptak budzący się o świtaniu. Ale jestem pewien, że za chwilę znowu usłyszę te anielskie dzwonki.

Rachel podniosła głowę i z uśmiechem spojrzała w piękne srebrzyste oczy.

- Ach, tak - westchnęła. - A jeśli chodzi o te dzwonki...

koniec